



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

### **Usage guidelines**

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

### **About Google Book Search**

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

### **Zasady użytkowania**

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych  
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań  
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań  
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa  
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

### **Informacje o usłudze Google Book Search**

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>



82472

сект

X LIBRIS



B8651

1710





L. 1710





JADEUSZ ZAREMBA.

NIEDOBRANA PARA.

POWIEŚĆ.



POZNAŃ.

WYDAWANY I Drukony N. KAMIĘNSKIEGO I SPÓŁKI.

1879.

## Wydawnictwo jubileuszowe na korzyść Jubilata.

### ZŁOTE MYŚLI

z dzieł J. I. Kraszewskiego, zebrał Stanisław Wegner, krytycznym przeglądem pism Jubilata opatrzył Stefan Buszczyński, z fotodrukiem rysunku W. Eliasza.

Dzieło to obejmuje 15 arkuszy druku, na pięknym chińskim papierze.

#### SPIS RZECZY:

##### J. I. Kraszewski w życiu i w pismach

(przez Stefana Buszczyńskiego)

1) Porównanie płodności umysłu Kraszewskiego z innymi pisarzami. 2) Jego curriculum vitae. 3) Plan pracy. Pierwsze jego pisma. Charakter tego pisarza. 4) Cecha powieści Kraszewskiego i ich klasyfikacja. 5) Kraszewski jako badacz narodowych zabytków starożytności i jako poeta. 6) Kraszewski jako archeolog i wydawca pamiętników. 7) Kraszewski jako redaktor i publicysta. 8) Zdwojona działalność Kraszewskiego na polu naukowym. 9) Kraszewski jako dziejopis. 10) Stanowisko krytyki w przeglądzie dzieł Kraszewskiego.

### ZŁOTE MYŚLI

systematycznie ułożone w następujących rozdziałach:

Bóg, Religia, Wiara, Modlitwa. — Świat, Natura. — Ziemia Rodzinna. — Życie. — Człowiek, Mąż. — Kobieta. — Rodzina Imię. — Młodość, Starość. — Charakter — Mowa, język. — Słowo, Czyn, Myśl. — Przyjaźń, Braterstwo. — Praca. — Wychowanie. — Serce. — Miłość. — Natura. — Książki. — Mądrość, Rozum. — Sztuka, Artysta. — Sława. — Prawda, Fałsz. — Szczęście, Nieszczęście, Boleść — Przeszłość, Przyszłość. — Nadzieja. — Czas, Los. — Pieniądz, Majątek. — Gościnność. — Zbytek. — Lud. — Namietności. — Śmierć, Nieśmiertelność. —

Dzieło ozdobione portretem Jubilata z stosownymi do okoliczności emblematami rysunku W. Eliasza.

**Do nabycia w wszystkich księgarniach  
w kraju i zagranicą.**

**Można nabywać także oprawne w angielskie płótno z złotonemi wyciskami i złotym brzegiem.**



# NIEDOBRANA PARA.

POWIEŚĆ.

NAPISAŁ

JADEUSZ ZAREMBA.



POZNAŃ.

NAKŁADEM I DRUKIEM N. KAMIŃSKIEGO I SPÓŁKI.

1879.

TK

PG7158

Z36N4

# Wawrzyńcowi hr. Engeström

w dowód szacunku

poświęca

**AUTOR.**



## ROZDZIAŁ I.

Karnawał roku 185... bardzo się świetnie zapowiada w polskiej kolonii w Dreźnie.

Co dnia prawie na Ślązkim dworcu kolei wylądowuje jakaś polska rodzina nadciągająca z Warszawy, Krakowa albo Poznania. To matka przywozi nieładne ale i niebogie panny, to znów zjawiają się kawalerowie i starzy i młodzi i bogaci albo biedni. Jeden przyjechał dla wyszukania sobie żony z tytułem, drugi — z pieniędzmi, trzeci — wymaga piękności przed którąby mógł w zachwyceniu resztę życia przepędzić — a każdy, raz sobie wynalazłszy pomieszkanie na zimę, biega z wizytami po mieście, robi znajomości i stara sobie naprzód zabezpieczyć wszystkie bale i wieczory.

Nawet dalekie Podole zapłaciło swoją daninę w pannach i kawalerach, a naddniestrzańska młodzież na dwie, wielkie rozdziela się kategorie. Do pierwszej należą ci, którzy już nie pierwszy raz za granicę wyjechawszy, ganią i wyśmiewają wszystko co krajowe, którzy z zachwytem Paryż i Włochy wspominają — a do drugiej — młodzieńce, którzy się po raz pierwszy odważyli granice swojej prowincyi przekroczyć, którzy rodzinne tylko strony opiewać umieją, — tęsknią, za niemi i uporzyciwie, dla nadania

sobie tonu starają się we wszystkim co zagraniczne znaleźć coś zasługującego na nagane. Z pogardą mówią o Dreźnie, o jego wązkich ulicach, o Sasach po niemiecku tylko mówiących jakgdyby ich porządny człowiek był w stanie zrozumieć, a w końcu opisują piękne, równe jak pocztowe drogi — szerokie ulice Odessy, pałace, bulwar, dwieście wspaniałych wschodów prowadzących do morza, do których się nawet porównać nie mogą wschody na Brühlowski taras wiodące. Jeśli im pałac królewski pokazać — ruszają ramionami z wyrazem pełnym pogardy: jeśli ich zaprowadzić do galeryi obrazów, — ruszają ramionami, mówiąc, że i Odessa swoje muzeum posiada. Zapominają jednak, że Odeskie muzeum składa się z dwóch niewielkich pokoi, w których ślepy przez psa prowadzony tyle znajdzie korzyści i przyjemności — ile najlepiej widzący znawca i amator. W teatrze — ruszają ramionami. Wyśmiewają niemieckich mistrzów i opowiadają o włoskiej operze w Odessie, o Normie Lucyii z Lammermoor — tych dwóch filarach na których się przez cały sezon z trudnością utrzymać może dyrektor wraz z swą trupą, czasem niezłą i dobrze dobraną — częściej zaś nie zasługująca nawet na krytykę. Ale odeska opera ma tę wyższość nad innymi, że jest odeską, i dla tej przestępcy przyczyny wszystkie inne błędnać muszą w oczach jej wielbicieli. Były ich tylko zaczepić, a godzinami całemi będą rozprawiali o paniach Brombilla i Basseggie, dwóch dawno już zgasyłych gwiazdach odeskiej opery, które kiedyś przed laty, zdołały miasto na dwie wrogie sobie partye rozdzielić.

... Gdy się przedstawiciele dwóch tych kategorii Po-

dolaków zetkną czasem z sobą, wtedy choćby wśród bała, choćby w obcym salonie, w czasie wizyty wszczynają się między niemi najzaciętsze dyakusyje. Z niestygnącym zapalem rozprawiają o Odlesie, o naddniestrzańskich stronach, o głębokich jarach, widokach z okolic Mohylowa, Kamieńca albo Tulczyna. Gdy jedni ganią, drudzy bronią — a nikt już nie aważa czy to bawi przytomnych. Ale dosyć już o Podolakach.

Ukraina jak zwykle nikogo do Drezna przysłać nie raczyła — i słusznie — bo nikt nie miał ochoty porzucić koni, dzwonków, batożków, sznureczków, rzemyczków i kart. Co to za miasto gdzie czapki na bakier nosić nie można, gdzie nie są dobrze widziane, długie, juchtowe buty, gdzie damy gdy się zejdą z sobą mówią o rzeczach obojętnych, zamiast sobie opowiadać o działkach, o tem w jakim miesiącu każde z nich wiele lat skończy, czy chorowało, jak chorowało, wiele ma zębów itd. — jak na dobrze wychowane i czcigodne matki przystoi.

A Wołyń? ... Wołyniaków przygarnęła do siebie sąsiednia Galicya, zapowiadając szereg pięknych i wesołych zabaw i rozrywek.

Każdy dom stale mieszkającoj w Dreźnie rodziny ma, swoich protegowanych, których po miesiące chwodzi dla zaznajomienia ich z mieszkańcami i ciekawościami przez tyle lat w brudnych i poczerniałych murach Drezna gromadzonemi. Niestety! inaczéj się bawić nie można, bo jeszcze adwent nie minął, a jeżeli w innych miastach cudzoziemey praw przez kościoła do wykonywania podanych nie przestrzegają — Polacy o nich jeszcze pamiętają tak w kraju jak i za granicą — a więc tylko wdychając

skrycie nudzą się i z niecierpliwością końca adwentu wyczekują.

Szereg karnawałowych uciech świetnym otwierają balem państwo Rokowscy, mieszkający od lat kilku w Dreźnie dla wychowania córek. Najstarsza z nich Zofia skończyła lat siedemnaście w Listopadzie, a więc na jej intencją ten bal, na który przeszło sto osób sproszono.

Pierwszy raz w świecie wystąpi. Ojciec i matka niepokoją się myślą jak się ich córka wyda, czy potrafi znaleźć się w tak licznej towarzystwie, czy bardzo ją będą otaczać i kto najwięcej przy niej uwijać się będzie.

Dwom młodszym córkom pozwolili państwo Rokowscy przypatrywać się tańcom przez drzwi zasłonięte firanką — i uradowane panienki będą patrzyły. Rodzice cieszą się w naiwności ducha, że w tak prosty sposób tyle przyjemności dzieciom sprawić mogą — niebaczni na to, że przez też same błogosławione drzwi, z za firanki zwykle zagląda cała garderoba, kuchenne dziewczęta, ich przyjaciółki i znajome, a te tłumiąc śmiechy wesołe, robią sobie wesołe uwagi, dowcipkują kosztem uwijających się po salonie tancerzy — a dowcipy ich choć czasem zabawne i trafne — rzadko kiedy za salonowe ująć mogą. W taki sposób, za firanką, rozpoczyna się nieraz wychowanie niejednej panienki.

Biedaczka słyszy wesołe rozmowy, otwiera ogromne oczy, słucha zdziwiona, a w końcu i sama się śmieje, co widząc garderoba i kuchnia — rade z tego, że panienka nie *dumna* na nowe się wysadzają dowcipy. Tymczasem zaś mama i papa z uśmiechem na ustach, pompatycznie się po salonie przechadzając, witają nowo przybywających



gości i na myśl im nawet nie przyjdzie, że może tam, za firanką, przygotowuje się materiały do dramatu czasem, do dramatu który się za lat kilka lub kilkanaście odegra.

Salon państwa Rokowskich należy do jednego z większych i piękniejszych polskich salonów w Dreźnie. Piękny, kryształowy pajak rozlewa światło po całym pokoju oświecając typowe twarze, widoki i sielankowe sceny licznie z złożonych ram wyglądające, trochę może nawet za ciasno, za gęsto na ścianach pozawieszane. W rogu pokoju wznosi się tradycyjalny, drezdeński, biały kaflowy piec — kominek. Frontowa jego ściana ukryta dużym weneckim zwierciadłem. Salon w dniu powszednie rozmaitemi u antykwaryuszów zbieranemi meblami zapełniony — dziś pusty. Stoły powynoszono. Zostały tylko pod ścianami kanapy i krzeselka, a między oknami — złożone konsole podtrzymujące wazki i wysokie lustra, które do sufitu prawie sięgają. Zresztą, nic dojrzeć nie można — pusto — a świeżo wywoskowana posadzka świeci się w swojej nagości jak szklana powierzchnia jeziora. Salon gotów na przyjęcie licznych gości.

Piękny, staroświecki zegar na kominku stojący, dziewiątą wskazuje godzinę. Państwo Rokowscy siedzą na kanapie i gdy się pani na gwałtowne bicie serca, niepokój i wzruszenia uskarża — nie mniej od niej wzruszony mąż usiłuje się ją uspokoić.

— Wielebym dała aby już było po balu! — mówi pani Rokowska.

— Ach! Nie mam! woła z wymówką, niedaleko siedząca Zosia.

Pomówimy o tem, Zosiu gdy swoją córkę w świat

będziesz wprowadzała — rzekła matka z słabym uśmiechem.

Zosia rusza ramionami, wstaje z krzesła i podszedłszy do lustra poczyina sobie fałdy sukni i kwiaty na głowie poprawiać.

— Nie rusz, Zosiu! Nie rusz!... Wszystko popsujesz! — woła niespokojnie matka.

— Ależ, mamó! muszę poprawić to co mi ten fryzyer na głowie porobił. To okropne! Głowa zupełnie przygnieciona. — I uderzywszy dłonią w pęk włosów poprzepłatanych kwiatami — rzekła z uśmiechem się do matki zwróciwszy:

— A co, mamó! Tak lepiej? ... Prawda?...

— Nieszczęsne dziecko! Cożś zrobiła! — zawołała pani Rokowska z przestraczem.

— Zostaw ją — rzekł ojciec — ma słusznosc. Tak jest, lepiej... daleko lepiej..... i dodał ciszej: — Zupełnie twój portret, wtedy, kiedyś się starał o ciebie. Śliczne dziecko! Uspokój się, moja droga, ona będzie balu królową.

— Zosiu! Daj swoim włosom pokój! — błagała matka.

Ale Zosia nie słucha. Szarpie włosy w prawo i w lewo, uderza po nich ręką, przygląda, poprawia. Zosia wypieszczona, kapryśna bardzo lubi robić to co się jój podoba, gdyż mając niezłe o swojej osobie i swoim guście wyobrażenie, przekonana jest że co robi będzie dobrze i pięknie zrobionem.

— Jużem gotowa! — woła odwracając się od lustra —

Co Wolf nie zrobił ja dokończyłam. — I wesoło się uśmiechając na dawne powróciła miejsce.

— Zupełnie dobrze! — mówił ojciec, — zupełnie dobrze! — i z rozrzewnieniem patrzył na piękną i kapryśną córkę.

— Ach! moja Zosiu! — zawołała znów nie mogąca się uspokoić matka. — Uciekaj! bo ktoś jeszcze nadejść może!.. Uciekaj ztąd co prędzej!

— Co się stało? — zapytał pan Rokowski.

— Co?... Patrz!.. Rękawiczki! Świecą się od pomady.

— Ach prawda! — zawołała Zosia i wybiegła z salonu.

Nieszczęście wkrótce naprawionem zostało, i gdy Zosia przez drzwi jedne do salonu, powracała, drugie — do przedpokoju wiodące otwierały się jednocześnie, a w nich ukazał się pan Ignacy, obywatel z Podola, dobry, zacny i powszechnie szanowany gospodarz. Za nim się wsunęły trzy ni piękne, ni brzydkie córki, bardzo uzdolnione i posażne panny, z których starsza grała, druga śpiewała, a trzecia malowała. Z których jedna drugim była Lisztem, druga Tamberlickim, a trzecia — Raphaelem. Tak o nich mówił ojciec, a za nim każdy, chcąc niechcąc, to samo musiał powtarzać. Jakież to nieocenione szczęście mieć podobnie uzdolnione córki, bo talent może bogactwa i wdzięki zastąpić. A jednak pan Ignacy bardzo dobrze zrobił, że przy lekcyach muzyki, śpiewu i malarstwa, o które się dla córek zaraz po przybyciu do Drezna wy- starał nie zważając na ich nieocenione talenta, równie się

wystarał nie bez biedy i nie bez wycięcia w pień pięknego i starego lasu o to, aby im kragłe pozapewniać posagi.

Panny Ignacówny za wcale znośne mogły uchodzić, a zatem śmiało liczyły na niebardzo jeszcze łysych i starych kawalerów, pragnących się ustatkować i pomyśleć o dalszym ciągu rozpoczętego przez praojców dzieła — a mianowicie o zabezpieczeniu się nadal w potomków, ażeby ród nie wygasł przypadkiem. Panny Ignacówny śmiało zatem liczyć mogły nie robiąc sobie żadnych iluzji, na tego rodzaju kawalerów, pomimo znacznie wysokiego procentu kobiet w stosunku do ilości mężczyzn w Europie i Ameryce — społecznej niedokładności, która się szczególnie w czasie karnawałów czuć daje. W Australii znalazłyby panny Ignacówny i młodych i bogatych, w przymusowym celibacie pozostających kawalerów, ale najmniejszej nie miały ochoty puszczania się na zdradzieckie oceanów bałwany, a zresztą, przy całej swojej zacności może też nawet i nie wiedział poczciwy pan Łosusi o istnieniu jakiegós Australii na naszej kuli ziemskiej.

Zresztą... wszedł do salonu, a za nim się trzyjgo córki wsunęły. Państwo Rokowscy pospieszyli na ich przyjęcie, a Zosia już przy nich stojąc poczęła je z wrodzoną zabawiać łatwością, jak gdyby przez całe życie nie nudne lekcye ale honory salonu tylko robiła. Każdej z nowoprzybyłych umiała dogodzić gdy jedną o śpiew wypytywała, już dla drugiej dotyczącą malarstwa gotową miała odpowiedź. W końcu, jakby się zmówiwszy wpadły na najulubieńszy temat panięńskiej rozmowy i porzuciwszy fortepian, nuty i malarstwo poczęły mówić o lodzie i łyżwowaniu. Zosia doskonale łyżwowała swoją zgrabnością w za-

dziwienie wprawiając licznie nawiedzających ślizgawkę w Grossgartenie — Anglików i Amerykanów — tych mistrzów w sztuce łyżwowowania. Może się też zatrzymywali aby się przypatrzeć jej pięknej, wesoło uśmiechniętej twarzyce, gdy pędziła po szklistej powierzchni sadzawki, gdy wiatr rostrzepywał jej jasne, miękkie i naturalnie karbowane włosy, — aby się przypatrzeć tym ładnie zarysowanym ciemnym brwiom, tym oczom, z których wesołość i życie tryskały, temu trochę zadartemu noskowi i, w końcu, — ustom niewielkim, mocno zafarbowanym, z za których białe wyglądały peretki.

Salon począł się powoli napełniać. Już się zjawiał stary pan Konstanty z Galicyi, ten wiecznie coś z ogniem dowodzący jegomość, zawsze niezadowolony i mocno gestykulujący. Przyprowadził z sobą niemłodą i kochającą żonę, której może i dla tego że niema dzieci — dotąd się wydaje że jeszcze nie minęły dla niej miodowe miesiące, gdyż piorunującego i niespokojnego męża najczulszymi obsypując przymiotnikami, z uwagą, z chciwością, — jakby żarłocznie uchem każde jego słowo pożera, każdym z zachwytem potakuje pokornie... Jest i hrabina Helena — ten żyd wieczny tułacz, która nigdzie stale zamieszkać nie może, którą znają wszystkie hotele całej Europy, która się do Włoch wybrawszy jedzie do Paryża, ale po drodze do Kopenhagi wstąpiwszy znajduje się raptem w Madrycie i Algerze, która się kazawszy Napoleonowi III przedstawić wkrótce potem u wód hrabiego Chamborda spotyka i zapewnia go najsolenniejszym o swoim dla niego współczuciu. Przyprowadziła na wieczór córkę śliczną, ośmnastoletnią Różę, która pomimo młodego wieku

wygląda jak gdyby ją już świat i ludzie męczyli, którą matka za sobą wlecze po wszystkich kątach, dla niej niby szukając rozrywki zamęcza ją najnielitościwiej, ale sama się bawi i śmieje wesoło.

Wszystkie prowinye Polski począwszy od dalekiej Litwy a skończywszy na Podolu, (zawsze jednak z wyjątkiem Ukrainy) — świetnie widzimy przedstawione w salonie państwa Rokowskich. Ale jak w Europie i Ameryce, tak i u nas w Polsce procent kobiet znacznie przemaga, a więc musiano sprosić kilku Anglików i Amerykanów aby pannom na tancerzach nie zabrakło przypadkiem. Jest nawet trzech Niemców: jeden z nich słowa nie rozumiejąc po francuzku — tańczy i nie mówi. Drugi tańczy i słów szuka, a trzeci, który dość płynnie może się dać zrozumieć w nadsekwaniem narzeczu — za najmniej nudnego w oczach pańienek uchodzi.

Do pierwszego kadryla trzydzieści cztery par stanęło. Pani Rokowska przerachowała je szybkim dokoła salonu spojrzaniem. Uśmiechnęła się zadowolona i do męża się zbliżywszy szepnęła mu na ucho:

— Trzydzieści cztery pary!.. Więcej niż się spodziewałam... Bardzo jestem z tego zadowolona! — I powróciła do dam nietańczących, które bawić wypadało.

Tymczasem Zosia czegoś zachmurzona. Znikł uśmiech z jej twarzy. Ledwo odpowiada na wesołe dowcipy swojego tancerza. Biedny tancerz! Widzi jasno, że mu się nie udaje rozwiać chmury z tego ślicznego czoła, a tak się męczy aby swoją damę zabawić. To młodzik, student mało ze światem obył — nie bardzo jeszcze wygadany. Nim się zdecyduje aby coś powiedzieć, długo, długo myśli, a gdy

w końcu usta otworzy, uśmiecha się tak szczerze jak gdyby chciał Zosię uprzedzić że dowcipkuje, że to co mówi jest bardzo zabawnem. Zosia nie słucha i od czasu do czasu niespokojnie ku drzwiom wchodowym spoziera, jak gdyby kogo wyglądała. Choć Zosia od razu umiała gości zabawić jak gdyby była damą najbardziej światową — nie zna jednak wszystkich odcieni przyzwoitego zachowywania się w salonie, nie wie nawet co uchodzi, nie wie że to bardzo nieładnie, że wcale nie wypada tak widocznie ku drzwiom wchodowym spoglądać.

W świecie trzeba umieć panować nad sobą, nie wolno aby ludzie wiedzieli co kto myśleć lub odczuwać może. A tym czasem, gdyby ktokolwiek chciał trochę sobie zadać pracy, mógłby bez trudności odgadnąć dla czego tak Zosia niespokojnie ku drzwiom spoziera, wtedy, gdy możeby się jej wcale niepodobało gdyby kto odgadł, iż czeka na kogoś i to niecierpliwie.

Skorzystałem ze sposobności i powiedziałem mu wtedy bardzo zimno: „więcej poufałości niż znajomości“ — mówi śmiejąc się kończący jakieś opowiadanie kawaler, i patrzy czy nie wywoła uśmiechu na usta swjej tancerki. Nie! Wszystko daremne! Wygląda jakby nic nie słyszała. Machinalnie powstaje, przechodzi na drugą stronę, powraca na miejsce, machinalnie jak nakręcona lalka wykonywa wszystkie kroki drugiej figury kadryla, jak gdyby nie widziała i nie słyszała tego wszystkiego co się w koło niej dzieje. Biedny kawaler! Ona taki ma urok dla niego w téj ślicznej różowej sukience, z tymi kwiatami na trochę roztrzepanych włosach. Biedny kawaler! Daremnie się męczy! nie zabawi swej damy — tak jest roztargniona. Ha! cóż robić! W nowym kadrylu,

innój tancerce swoje dowcipy powtórzy. Ona może ich głębokość zrozumie i potrafi na dnie ich umiejętnie ukrytą sól odszukać. Nie warto nawet z Zosią rozmawiać. Od razu poznać można, że to jój pierwszy bal w życiu, że tańczy jedynie dla tańca a nie dla rozmowy z dowcipnymi kawalerami. Niech jeszcze ten pierwszy karnawał odbędzie, niech się nacieszy swojemi ogonami u balowych sukien, a na rok przyszły może już będzie umiała ocenić te tysiączne inne przyjemności, które się na balu oprócz tańca mieć może.

Po skończonym kadrylu nieukontentowany kawaler odprowadza Zosię na miejsce i nisko się jój skłoniwszy znika w tłumie czarnych fraków.

Zosia zawsze zamyślona nie przestaje ku dwiom spoglądać, a z każdą chwilą, z każdą minutą, niepokój jój wzrasta i staje się coraz widoczniejszym.

Już po drugim kadrylu zbliża się do niój młody człowiek z zapytaniem czy może ją do mazur zaprosić, i na odmowną odpowiedź oddala się z miną zafrasowaną, jak gdyby się podobnój nie spodziewał odpowiedzi, jak gdyby przypuszczał, że wśród rozpoczętego już balu mogą być młode i piękne panny nie mające jeszcze tancerzy.

Kawalerowie na balach dzielą się na dwie ogólne kategorie — na tańczących z powołania i — tańczących dla zrobienia przyjemności gospodarstwu. Tańczący z powołania, zwykle jeżeli nie kilka dni naprzód, nim się tańce rozpoczną, już mają na cały wieczór pozamawiane damy, gdy tamci, przeciwnie, przychodzą zwykle gdy się spodziewają że już tańce rozpoczęte oddawna. Jeżeli zaś przyjdą przypadkiem za wcześnie — znikają z salonu i ukry-



wają się przez czas jakiś bądź przy bufecie, bądź w pokoju przeznaczonym dla mężczyzn, gdzie palą i w karty grają. Oni przychodzą na bal, albo jedynie dla tego, aby ich za dzikich nie miano, aby nie zrywać stosunków z ludźmi, albo też aby się bawić, ale tak jak to oni rozumieją, to jest, błąkać się od salonu do salonu, przywitać się z jednym, pogawędzić z drugim, zrobić o kim uwagę trzeciemu. Pomiędzy nimi znajduje się wiele młodych nie lubiących tańca, a których nieraz gospodarz wyprasza z ukrytego kąta i pół żartem ku drzwiom popychając wprowadza do salonu prosząc, błagając, zaklinając, aby tańczyli. Kiedy młodzi i kiedy są jeszcze damy nie mające tancerzy. Zrywa się wtedy taki młody człowiek dla dogodzenia gospodarzowi podbiega do kilku naprzód upatrzonych panien, zaprasza, ale daremnie, udaje zdziwionego, zafrasowanego i czempredzej się z salonu wymyka. Zna on wszystkie panny, wie które więcej albo mniej tańczą, wie do których się z prośbą udawać i spieszy dla zrobienia przyjemności gospodarzowi. Gdzie tylko upatrzy pannę młodą, ładną a nadto posażną do niej podbiega i naturalnie odmowną dostaje odpowiedź. Czasem jednak musi się poświęcić i tańczy, gdy bardzo dba o względy gospodarza domu, a wtedy los jego godzien jest politowania, gdyż naturalnie już wybiórkami tylko zadawałniać się musi.

Do téj drugiej kategorii nie tańczących kawalerów należał młody Janusz Madzicki, przed którym w téj chwili kamerdyner państwa Kokowskich drzwi do salonu otwierał. Janusz stanął w progu, obejrzał się do koła, uśmiechnął się z zadowoleniem na widok rozpoczętych już tańców, i począł się po pod ściany przeciskać dla wyszuka-

nia pani domu. Nie wiedział nawet o tem, że go dwoje oczu ścigało, dwoje wesołych, pełnych życia oczu. Zosia na niego patrzyła, a z twarzy jój znikł wyraz niepokoju, znowu na niój dawny uśmiech zagościł i bawiącemu ją tancerzowi wydało się że był genjuszem, lub żywo, bez przerwy tryskającym fajerwerkiem, gdyż Zosia nie przestawała wesoło się uśmiechać.

Złożywszy hołdy pani Kokowskiej, Janusz wycofał się z niewielkiego saloniku gdzie z starszemi paniami siedziała, a stanąwszy w progu balowej sali, począł kogoś widocznie szukać oczami.

Pan Madzicki ma lat dwadzieścia sześć, włosy, oczy i wąsy ciemne, a w oczach — wiele wyrazu. Bardzo się różnie o jego twarzy odzywają. Jedni utrzymują, że wcale pięknym nie jest, gdy drudzy przeciwnie, dowodzą, że jest bardzo przystojnym młodzianem. Zosia, która się mitologii uczyła, gotowa się na śmierć pokłócić z każdym, któryby nie był jój zdania, że Janusz z twarzy — z twarzy tylko niezawodnie pięknego Narcyza przypominać musi. Widocznie Zosia zapomniała już trochę swoją mitologią, gdyż twarzy Narcyza malować się musiało to zadowolenie ze swojej osoby, czego u Janusza nie widać równie jak i pięknych, mitologicznie zachwycających rysów. Za nim jednak przemawia dobre wychowanie, naturalny dowcip, oryginalny sposób zapatrywania się na świat i na ludzi, a w końcu posiada spory zapas rozmaitych salonowych wad i przymiotów, które go czynią wcale przyjemnym i zawsze pożądanym gościem na wszystkich drezdeńskich wieczorach. Rozmawia bardzo dobrze i o wszystkim, a chociaż nigdy gruntownych nie odbywał nauk czytał



wiele, więcej od niejednego młodzieńca doktorskim w Niemczech opatrzonego dyplomem, i wszelkie swoje niedostatki dowcipem zamaskować umie. Więcej się w świecie nie wymaga, bo by zresztą, bardzo było nudno na balach i zebraniach z samymi tylko profesorami rozmawiać.

Janusz stoi w progu i ogląda się dokoła. Czy jego oczy Zosi spotkały, podchodzi do niej z uśmiechem i — co się może niestósownem wyda — bardzo ją poufale za rękę ściska.

Ale Janusz zna Zosię oddawna. Zresztą, dwa wieki temu jakaś Brygida Madzička dożywotnią się z Onufrym Kokowskim połączyła przyjaźnią, a więc między nimi zachodzą nawet jakieś związki pokrewieństwa. Matka Janusza jest przyjaciółką pani Kokowskiej, często z sobą korespondują, te panie, a Janusz jakby u siebie w salonie państwa Kokowskich. Znał Zosię dzieckiem jeszcze. Gdy miała pięć lat a on — czternaście, nieraz dla dogodzenia jój kaprysom musiał się z nią całemi bawić godzinami. Bawili się w Ojca Wirgiliusza, w konika, bawili się też w męża i żonę. Janusz już dawno o tem wszystkiem zapomniał, ale Zosia pamięta i od dzieciństwa pana Janusza nad wszystkich dotąd widzianych kawalerów przenosi. Dawniej go jak brata kochała, lecz z wiekiem zmieniły się jój uczucia i dziś przyszła do przekonania że lepiej go kochać uczuciem, jakim . . . dorosłe już panny kochają. Janusz jest częstym gościem w domu państwa Kokowskich, z Zosią nieraz na wesołych żartach i śmiechach całe przepędza godziny. ale mu nigdy przez myśl nawet nie przyszło, aby na nią inaczej jak na przyjaciółkę, na siostrę się patrzeć. Nigdy nie miał zamiaru

starania się o jój rękę, a gdyby mu nawet myśl podobna przyszła do głowy, pewnieby się bardzo rodzice Zosi skrzywili, gdyż wiedzą, że nie jest bogatym. Ma dosyć na jednego, ale by nie wystarczyło na dwoje, a państwo Kokowscy, choć za majątnych uchodzą, mają, aż trzy córki do wyposażenia. Janusz jest dobrym Zosi przyjacielem, ale biedaczka nie zna jeszcze ludzi i świata tak dobrze, aby umieć rozpoznać gdzie się kończy przyjaźń dla ustąpienia miejsca miłości. I Zosi się roi, że Janusz dla tego więcej z nią, niż z innymi panienkami rozmawia, że się dla tego na jój widok tak wesoło uśmiecha, aby jój dowiedzieć, że jój uczucia podziela, że serce jego nie jest wolnem od więzów miłości, téj pięknej, powabnej i wzniosłej miłości, o której tak wiele piszą w zajmujących francuzkich powieściach dostarczanych jój w sekrecie przez usłużną bonę francuzką, której pieczy niebaczni państwo Kokowscy powierzyli wychowanie najmłodszej córeczki. I Zosia w myśli odczytuje powieści, które ją bardziej zajęły, a naturalnie wszyscy ich bohaterowie do Janusza podobni bądź z twarzy, bądź z przymiotów, rozumu i dowcipu. Janusz często się jój sprzeciwia, z umysłu zapominając co chwilę, że ma do czynienia nie z dzieckiem, lecz z dorosłą już panną, która nosi suknie z długimi ogonami; — wysmiewa ją, wyszydza, ale to wszystko robi tak dowcipnie, tak przyjemnie i mile, że się nawet nie można gniewać za to na niego. Owszem, kocha go jeszcze więcej za to złośliwe dokuczanie, a dzięki francuzkim książkom, wtajemniczona we wszelkie odcienia prawdziwej miłości, Zosia jest przekonana, że się jój Janusz sprzeciwia powodowany li tylko uczuciem niewinnej zazdrości, uczuciem zawsze każdej

schlebiającem kobiecie. I nie w tem nie ma dziwnego, że się Zosi podobne myśli roić mogą po głowie. Tyle jest panien starszych od niej; takich nawet, które już dawno zapomniały wiele im srebrnych włosów służąca przy cesaniu wyrwać musiała, a które jednak nie są wolnemi od rozmaitych tym podobnych iluzji — i byle się do nich z grzecznem zwrócić słówkiem, już im się zaraz wydaje, że liczyć mogą jednym adoratorem więcej. Zosia nie zna ludzi, nie zna jeszcze świata i jego zwyczajów, a zatem o wielu rzeczach najdziwaczniejsze ma wyobrażenia. I tak, chociaż jój sumienie trochę wymawia krok, na jaki się zdecydowała, chociaż czuje że niewłaściwie postępuje, gdy się tylko Janusz do niej zbliżył, woła radośnie:

— Siadaj pan koło mnie, bo zaraz tańczyć zacząną.

— Szkoda, — mówi Janusz — gdyż w takim razie uciekam. Ja nie tańczę. Pani wieś o tem. Jak widzę, przygotowują się do mazura, a tego tańca nie umiem i nie znoszę. Obawiam się aby mnie nie wybrano w figurze, a zatem uciekam. — To mówiąc chciał odejść, ale go Zosia wstrzymała.

— Siadaj pan, — rzekła zaśmiewszy się wesoło.

— Kilku panom odmówiłam mazura. Pozostawiłam go dla pana.

— Bardzo mnie to schlebia . . . zresztą to nie wypada.

— Wszystkie pary! zawołał ten, któremu powierzono kłopoty prowadzenia tańców, który jednak rad z zaszczytu spadającego na niego, przez kilka chwil w ciągu wieczoru mógł zajaśnieć w salonie, mógł zwrócić na siebie uwagę wysunawszy się z ukrycia, w któremby inaczej

w towarzystwie balowych podpieraczy ścian i pieców musiał pozostać.

Na to pożądane hasło Zosia schwyciła Janusza za rękę i śmiejąc się za sobą, go pociągnęła. Nie umiał biedak mazura i najzabawniej w świecie płatał nogami.

— To ładna historia! — mruzczał półgłównie, przeskakując z nogi na nogę. — Ja tańczę mazura!

Obiegli parę razy do koła salonu i powrócili na swoje miejsca, które szczęściem nie były zajęte — rzadki wypadek na balu. Zwykle bowiem, nietańczący, starsi, korzystając z zamieszania powstającego na hasło: „wszystkie pary!“ wciskają się do salonu, znudzeni rozmową w bocznych się toczącą pokojach, i najnaturalniej w świecie zajmują miejsca tańczących, aby się pięknemu widowisku przypatrzeć, aby zobaczyć jak się córki albo synowie wydają, kto z nimi tańczy, czy można jakie wnioski z tego mazura albo kotyliona wysnuwać, czy wnioski, jeżeli uzasadnione, będą, mogły pod każdym względem być zadawalniającymi itd.

Tańczące pary do zajętych już miejsc powracają, wszczyna się bieganie i szukanie krzesel, które ledwo pomiędzy mamy i papy powciskawszy służą tylko tancerkom, gdy biedni kawalerowie kontentować się muszą, ciasnem i niewygodnem pomieszczeniem, czasem wąską szparą między ścianą i krzesłem damy. Często też z żalem albo radością, opuścić muszą tancerkę i przy drzwiach albo piecu znalazłszy schronienie wyczekują na kolej prze-tańczenia z nią w około salonu. Niektóre mamy robią to najnaiwniej w świecie, gdy drugie — dla dyplomatycznych powodów. I tak pan X. bardzo jest dobrą partyą. Siedzi

obok panny J. i zdaje się z nią z wielką przyjemnością rozmawiać. Czcigodną panią Z. to zadowolnić nie może, bo swoją córkę słusznie za daleko przyjemniejszą od panny J. uważa. Sunie przeto przez pokój, przechodzi obok pana X. i jakby od niechcenia zatrzymuje się przed nim na chwilę. Pan X. będąc dobrze wychowanym, zrywa się naturalnie z miejsca uprzejmie je sędziwej pani Z. ofiarowując. Zaczyna matrona poczyną się wymawiać, żywo protestuje z początku, a w końcu serdecznie dziękując, siada na ofiarowanym krzeselku i tem samym pana X. od panny J. oddziela. Dobrze wychowany młodzieniec nie może na środku salonu pozostać, ogląda się do koła i po chwili pospiesza ku drzwiom, gdzie się już cisną podobni jemu wygnańcy. Dziwny traf zrządza, że właśnie przy drzwiach panna Z. siedzi, a będąc zawsze dobrze wychowanym pan X. z nią rozmawiać poczyną, i śledzącą pilnie za nim lornetka pani Z. wnet swojej właścicielce zwiastuje że się nie zawiodła w oczekiwaniach, że jest drugim Metternichem, albo Bismarckiem — dyplomatycznym genjuszem. Nie zawsze jednak udają się podobne macierzyńskie manewra, bo też nie każdemu jest dane być na tym świecie genjuszem.

— Jak można było spłatać mi podobnego figla! — mówi śmiejąc się Janusz. — Nie podejrzewałem podobnej złościwości w pannie Zosi . . . ach! przepraszam . . . w pannie Zofii. Zawsze zapominam, że mówię do panny, która posiada już długie u sukień ugony, która już wystąpiła w końcu w ten bawiący się świat, do którego przez tak długi czas wzdychała.

— Nie dla tego najpiękniejszy dla pana zatrzyma-

łam taniec, aby mi pan dokuczał. Powinienbyś umieć moje względy ocenić i zamiast udawać niezadowolonego — dziękować mi za niespodziankę.

— Prawda — rzekł Janusz. — Masz pani zupełną słuszność. Byłem niewdzięcznym, ale postaram się być miłym, przyjemnym i grzecznym, co mi zresztą, bez trudności przyjdzie w towarzystwie tak wesołej i pięknej tancerki. Zaczynam więc od tego, że muszę pochwalić przesliczną suknię, z takim gustem uszytą. Cudowny kolor! . . . Zachwycający krój, przedziwna forma! . . . Ach! od kiedy żyję, nie równie nie widziałem pięknego! . . . Cóż? Panna Zofia kontenta?

— Jeszcze nie.

— Przystąpmy teraz do kwiatów na głowie. Nie spodziewałem się, aby coś równie artystycznego można było w Dreźnie wynaleźć. Zdają się żyć i oddychać, zdają się pachnąć jakby prawdziwe, zdają się świeżo z łona potężnej natury wyrosłe. Ach! pani, jakież te kwiaty cudowne!..

— Ach! panie, — rzekła Zosia z wymówką — przestań już.

— Kto panią czesał! — mówił Janusz z zapalem. — To nie zwyczajny miejski fryzyer mógł z takim smakiem wznieść to całe, lekkie rusztowanie! To mistrz jakiś, albo może czarownik z złotą różczką! . . . Ja bym pani radził na wieki już z nietkniętą pozostać fryzurą, bo raz zburzona, nikt jej naśladować nie będzie w stanie. To w swoim rodzaju arcydzieło! To ósmy cud świata, a gdyby ręka profana, barbarzyńcy, Wandała ośmieliła się go zburzyć — wieleby na tem ucierpiały sztuki, a najstroż-



sze tortury i katusze nie byłyby dostatecznymi dla ukarania nowego Herostrata!.. Pomówmy o rękawiczkach.

— Dosyć, dosyć, — prosiła Zofia — mów pan o czem innym.

— Posłuszny woli téj, która mnie swoimi względami zaszczyca, która mnie nieproszona mazurem unieszczęśliwić raczyła, przez co się na śmiechy całego salon narażam, zmieniam temat rozmowy i jeśli wolno, zapytam Panią o lekcje, o *miss* Hazel, o panów Schulz i Dreifuss. Czyś już pani zupełnie z nimi zerwała?.. Czy niepowrócisz więcej na łono nauki, która jak matka, w osamotnionej klassie, tęsknić musi za tobą, która jak matka płacze nad utratą ukochanego dziecięcia.

Zbliżył się jakiś kawaler do Zosi i do figury ją poprosił. Rzuciła wachlarz na krzesło, mówiąc:

— Panie Januszu! Pilnuj pan mego wachlarza za karę.

Sposób przypomnienia raz jeszcze, że się jest dorosłą już panną, kiedy się wachlarz posiada, — rzekł Janusz do odchodzącej już Zosi. — Będę go pilnował.

Gdy powróciła na swoje miejsce, zapytała:

— Cóż pan nieprzyjemnego wynalazłeś do powiedzenia? Miałeś pan czas wiele frazesów ułożyć, a słowa ich szpilkami pospinać.

— Wcale nieźle; — odparł Janusz, poważnie, — wcale nieźle powiedziano jak na panienkę, która pierwszy raz w świat występuje. To bardzo wiele obiecuje na przyszłość.

— Pan inaczej nie mówisz, jak tylko złośliwie.

— O nie, pani! — zawołał Janusz. — Nie chcesz brać na seryo to, co najpoważniej w świecie mówię. Gdym się zachwycał nad suknią, kwiatami, fryzurą, byłem

równie szczerem, jak pan Albert, który w czasie figury z tak słodkim i rzewnym uśmiechem prawil pani grzeczności.

— Pan slyszales co mi mowil?

— Nie. Malo mnie rozczula to, co pan Albert powiedziec moze. Ale po skladzie ust, po uśmiechu odgadlem co mowil.

— On bardzo przyjemny! — rzekla z naiwna, kokieterya, Zosia.

— O! — zawolal Janusz. — Bardzo mi to przykro z ust pani slyszec.

— Dla czego? — zapytala Zosia i spojrzala mu w oczy.

— Dla czego? . . . Bo mialem lepsze wyobrazenie o Pani.

— Pan wygladasz jakby . . . jakbys byl zazdrośnym — zaryzykowala Zosia i zawstydzona swojemi slowami, ktorych juz cofnac nie mogla, odwrócila sie od Janusza.

— Ja, pani? . . . Dla czego? — pytal śmiejąc się zagadniony, a nieodebrawszy żadnej odpowiedzi dodal po chwili: — Za wiele by to bylo dla pana Alberta honoru. Ugiął by się pod jego ciężar m.

— Jak uważam, pan wcale nie masz złego o sobie wyobrazenia. Ci artyści tak są zarozumiałymi . . .

— Sama mnie pani w dumę wbijasz; zatrzymujesz dla mnie mazura, a nadto — nazywasz mnie artystą.

— Wszakże pan malujesz, grasz i śpiewasz. Nawet wiersze czasem piszesz. Każdemu oddaję, co się komu należy, pan jesteś artystą, poetą, genjuszem.

— Na mnie kolój, jak widzę, slychać słodkich przy-

czków. Nawet się nie bronię i gotów jestem, nie przerywając słów pani, słuchać ich do końca tego przebrzydłego mazura.

— O! Nie jestem tak złośliwą, jak panu się zdawać może. Co się zaś tyczy mazura, proszę przy mnie nie o niza złego nie mówić. To najpiękniejszy w świecie taniec.

— Tak . . . dla *Vollblutów*, bo mi pani przyznasz, że to zupełnie koński taniec.

— Nie pojmuję tego, że pan, polak, nie lubisz mazura.

— Gdybyśmy się oddawna nie znali zaraz bym panią zapytał z jakiego jesteś powiatu, lub też z jakiej parafii. Uprzedzam panią tylko że to frazes bardzo przeklepany, że dawno już wyszedł z mody; zresztą, nadto się nim gorszyć nie należy, bo przecie pamiętam, że to pierwszy pani bal w życiu, a zatem trzeba być pobłażliwym.

— Bardzo panu za naukę dziękuję.

— O! Nie ma za co. Nasze matki żyją z sobą w przyjaźni, czemuż więc my byśmy nie mieli z sobą jak przyjaciele zostawać. Jestem starszy od pani, jako starszy zatem będę panią wśród wiru karnawałowych uciech najchętniej wspierał radami, jakby to brat, albo ojciec czynił. Będąc dziećmi musieliśmy nieraz grywać w Ojca Wirgiliusza. Dziś, jesteśmy już dorosłymi . . . oboje — dodał z naciskiem, — a gra może trwać dalej. Będę zatem zawsze powtarzał, abyś robiła tak jak ja, jakem powtarzał grając w ojca Wirgiliusza.

— Wiesz pan co? — zawołała Zosia i śmiać się

poczęła. Lepiej nie grajmy . . . Naśladować pana wyrobiłabym tylko w sobie złośliwość, a sądzę, że toby się nikomu podobać nie mogło. Póki byliśmy dziećmi zabawa ta uchodziła — teraz zaś dajmy jej pokój. Nadto jestem rozsądną . . .

— Więc z ogonem u sukni przybył i rozsądek? . . . Nie mogę sobie pannę Zosię jako rozsądną przedstawić osobę. To jakoś nie może iść w parze z jej twarzą, a szczególnie z jej charakterem, który, zdaje mi się, znam bardzo dobrze.

— Owszem, panie. Ja jestem rozsądną. Doszłam już lat, w których . . . w których . . . panna . . . i — i zatrzymała się.

— Proszę dalej mówić. Ciekawy jestem, jak pani z zaczętego wybrniesz frazesu. Myślę że się to bez trudności uda, bo panna, która już tych lat doszła, wysokie mająca wyobrażenie o sobie powinna umieć coś rozsądnego powiedzieć, i męczyć się nie potrzebuje nad odszukaniem odpowiadających jej myśli wyrazów. Proszę mówić dalej.

— Już zapomniałam! — rzekła Zosia z uśmiechem.

— W samą porę — odparł Janusz, — gdyż w każdym razie byłbym pozbawionym dosłyszania końca rozpoczętego frazesu. Widzę że pan Albert szuka damy do figury. Uważaj pani na jego ruchy. Szuka niby tancerki w drugim końcu salonu, a założyłbym się, że panią wybrać przyjdzie. Udaje roztargnionego i nieznacznie się do nas przybliża. Udaje, że nie widzi przed nim siedzących panien, — że nie może damy znaleźć. Jeszcze parę kro-

ków i niby nagle panią spostrzeże, uśmiechnie się, podejdzie i — ukłonem do figury poprosi.

Jak Janusz przepowiedział — tak się też stało. Ledwo mówić skończył a Albert już się Zofii kłaniał.

Znowu porzuciła swe miejsce i wesoło za panem Albertem podążyła.

Gdy po skończonej figurze przy Januszu usiadła, rzekła z podziwieniem:

— Jak pan mogłeś odgadnąć, że pan Albert do mnie podejdzie? .. Nigdybym tego nie była myślała.

— O! to niewielka sztuka być podobnym prorokiem... Kilka wieczorów, a pani tyle będziesz wiedziała ile ja wiem dotąd. Kobiety bardzo łatwo podobne rzeczy pojmują, — daleko łatwiej od mężczyzn, którzy w pewnych razach znacznie od nich niżej stoją. Zwykła kobieta daleko więcej i lepiej widzi od zwyczajnego człowieka.

— A pan jesteś nadzwyczajnym człowiekiem?

— Nie mam do tego pretensyi, ale mam tę wyższość nad innymi mężczyznami na balu, że ja prawie nigdy nie tańczę, a przeto niczem nie zajęty, więcej patrzę od innych. Drugi, zakłopotany tem co ma robić z nogami, jak je na posadzce postawić nie ma czasu na studyowanie towarzystwa. Ja zaś, przepędzam godziny na tego rodzaju zabawie i ręczę pani, że mi daleko weselej czas upływa niżeli tym, którzy w tańcu przyjemności szukają.

— Kiedy pan tak odgadywać umiesz, co kto myśli, umiesz także zapewne poznawać co kto mówi na balu?

— Czasem.

— Zobaczymy . . . Co mówił pan Albert, gdy ze mną tańczył przed chwilą?

— O! Nie bardzo się jemu przypatrywałem, ale, o ile sobie przypominam, naprzód powiedział, że taniec bardzo idzie ochoczo. Poznałem to po ruchu rąk jego. Po tem zaczął piękność salonu wychwalać, gdyż parę razy pokręciwszy głową po pokoju się obejrzał . . . Czy zgadłem?

Zofia z zadziwieniem na Janusza spojrzała i rzekła:

— Doprawdy! to zabawne . . . ale pan odgadłeś . . . nie rozumiem jak można . . .

— O! zapewniam panią, że w tem najmniejszych nie ma czarów. Co mógł taki pan Albert w ciągu kilku minut powiedzieć! Podziwianie ochoczości w tańcu i chwalenie balowej sali — to się co chwilę w czasie balu powtarza. Dziesięć razy Panią do figury wybiorą, i dziesięć razy pani to samo w tych samych prawie słowach usłyszysz. Nie mógł przecie pani zapytać podskakując w mazurze, czy pani lubisz ser albo śliwki. To zapytanie dosyć stósowne przy stole zupełnie byłoby nie na miejscu w czasie tańca. Jeszcze jest kilka innych, tym podobnych frazesów, i tak usłyszysz Pani dzisiaj z pewnością: „jaka to śliczna figura!“ — albo: — „jakeż pan Emil dobrze tańce prowadził!“ — albo też: „mazur, to król wszystkich tańców!“ itp. To samo będzie podczas kotyliciona. Języki zawsze jedno i to samo trzepią, zawsze się już naprzód przygotowanym okręcają sposobem, uderzają w podniebienie i dotykają zębów. Wiele jest osób w salonie, naturalnie o tańczących tylko mówię, tyle jest nakręconych zegarków, w których iglice — zrozum pani języki —

ciągle się w koło obracają. Od dwunastej przejdą na pierwszą, drugą, trzecią i t. d. — aż dopóki znowu do dwunastej nie powrócą, gdzie je zawsze jedna i ta sama podróż oczekuje. Te bale — to ładne, świecące, pstre i wesołe, ale w gruncie — bardzo głupie.

Pan balów nie lubisz? — zapytała Zosia.

— Owszem, bawią mnie. Chodzę na nie z równą przyjemnością, może nawet z większą, — niż do teatru. Tu i tam komedia. Tu i tam uśmieć się mogę. Wszyscy na balu odgrywają nieraz mozolnie wyuczoną i wystudyowaną komedią.

O panie! wszyscy! . — oburzyła się Zosia.

— Z małym wyjątkiem; — odparł Janusz. — Z wyjątkiem niewinnych duszyczek jak pani, które po raz pierwszy widzą ten ponętny świat, te tańce, te stroje i uśmiechy . . . które na bal idą jedynie dla tego, aby się wytańczyć.

— O! nie koniecznie! — poważnie zaprotestowała Zosia.

— Więc nie mamy czego się sprzeczać, skoro mi pani słusność przyznajesz. Wszyscy, których tutaj widzimy są mniej więcej niezłymi aktorami, którzy się już długo o świat i o ludzi ocierając doszli do pewnej doskonałości.

— Powiedz mi pan, dla czego sądzisz, że te uśmiechy, te rozmowy i ruchy mają być wyuczone? . . . dla czego ich nie uważasz za naturalne? . . .

— Inaczej być na tym świecie nie może, bo już dawno minęły te czasy, kiedy się prosto i serdecznie

niówiło . . . Bo dziś każdy, czy chce czy niechce, musi odegrywać komedię dla zastosowania się do ogółu ludzi. W żadnym salonie, na żadnym balu nie znajdziesz szczerości, słowa prawdy nie znajdziesz. Patrz pani na tę starą i grubą damę, która się tak słodko uśmiecha rozmawiając z tym wysokim i starym mężczyzną.

— Widzę . . . To pani Melanja. Cóż pan w niej odkryłeś? . . .

— Gra komedią.

— Z kim? . . . Z panem Karolem? . . .

— Tak, z panem Karolem. Pani Melanja jest nadzwyczajnie ambitną, ma córkę niebrzydką i dosyć poważną. Przywiozła ją do Drezna aby męża dla niej wyszukać, — męża z tytułami i pięknym majątkiem. Tymczasem zauważyła, że się jej córce bardzo syn pana Karola podobał.

— Pan Zdzisław? — zawołała Zosia.

— Tak jest.

— Zkąd pan wiesz o tem?

— Ach! . . . To się widzi, to bije w oczy . . . Córka pani Melanii po raz pierwszy na balu i nie umie jeszcze się ze swojemi uczuciami ukrywać. Pan Zdzisław bardzo się jej podobał, nieustannie go w figurach wybiera, co chwilę na niego, niby ukradkiem, bardzo widocznie, spogląda. Matka wszystko zauważyła od razu, gdyż córki z oka nie spuszcza, a jednak uśmiecha się i widocznie panu Karolowi prawi grzeczności, bo się staruszek kłania, kłania i śmieje z twarzą rozpromienioną jak słońce. Mówią o Zdzisławie, który niegłupi, dobrze wychowany, ale niemajątny, a co go gorsze dosyć pospolite nosi nazwisko.

— Ależ . . . któż panu mówił, że mowa o Zdzisławie?



— I to się widzi: Pan Karol niedawno wieś opuścił i progi miasta przestąpił. Kto wie? .. może to pierwsze jego w świat wystąpienie. Należy do rzędu niewinnych duszyczek, o których wspominałem przed chwilą. Niewinność wyradza naiwność, i dla téj przyczyny, w miarę tego jak go grzecznościami obsypuje pani Melania, z uśmiechem w którym się wiele szyderstwa przebija, pan Karol co chwilę głowę obraca z dumą spoglądając na syna, a oczy jego świecą się coraz więcej. Wygląda jakby go odurzyły słodycze, których mu pani Melania nie szczędzi. Wygląda jakby był pijanym.

— Dobry wieczór, Januszu! O czymże tak gorąco z Zosią rozprawiasz? — pyta podchodząc pan Rokowski. — Uważam, żeś dzisiaj straszliwie wymowny. A! ... spóźniłeś się .. to bardzo nieładnie.

— Spóźniłem się, gdyż mam swój system, od którego nigdy odstępować nie myślę. Co się zaś tyczy mojej wymowy, panna Zofia słucha odczytu o świecie, balach i ludziach. Zmusiła mnie do tego, abym tańczył mazura, i za karę słuchać mnie teraz musi cierpliwie. Ja panu córkę formuję. — dodał śmiejąc się Janusz.

— Piękną mi wyrządzasz przysługę! .. Już wiem o czym jej prawisz. Znam dobrze twoje teorye i naprzód pewny jestem, że starasz się jój ten świat w najczarniejszych wykazać kolorach

— Nie, przeciwnie. Chcę odkryć przed nią te tysięczne przyjemności i rozrywki, jakie oprócz głupich tańców, można mieć na balu.

— Pan Janusz dowodzi, że wszyscy w świecie odgrywają komedią — zawołała Zosia.

Pan Rokowski pokiwał głową i odszedł śmiejąc się.

— A widzi pani! — rzekł Janusz.

— Co?.. Nic nie widzę.

— Nie śmiał powiedzieć, że się myłę.

— Papa? . . . Bo dobrze wychowany, bo grzeczny.

— Znamy się od tak dawna, żeby się przedemną z prawdą nie ukrywał i najszczerzej, gdybym nato zasługiwał, wypowiedziałby mi, że nie mam słuszości.

— Czy i pan grywasz komedią?

— Z dobrymi znajomymi — nigdy, ale z obcymi — często, chociaż to robię zawsze ze wstrętem.

Rozmowa była urywana. Co chwilę Zosia porzucać musiała Janusza, bo ją, jako piękną córkę gospodarstwa bez ustannie wybierano w figurach. I Janusza czasem pociągała za sobą jakaś błakająca się po salonie tancerka. Biegł za nią, płatał nogami i niejedną z uśmiechem patrzył na niego. Starsi serdecznie się śmieli, młodzi — ironicznie. Damy lubiły Janusza, ale młodzieży nie przypadł do smaku, bo mało z kim żył w ściślejszych stosunkach, z młodzikami szczególnie był zimnym, obojętnym i zwykle uszczypliwym. Każdy przeto miał sposobność wylania żółci przeciw niemu od dawna nagromadzonej, więc czasu nie tracąc swojej tancerce złośliwie komunikował spostrzeżenia nad śmiesznym sposobem tańczenia Janusza, mając nadzieję zabicia w ten sposób wszelkich dla niego sympatyj. Tymczasem Janusz tańczył, płatał nogami, a nie przestawano go w figurach wybierać. Szczególnie był w łaskach u mężatek lubiących taniec dla tych krótkich, urywanych rozmów, w których niezaprzeczenie

celował, wychwalanie sali, ochoczości w tańcu, piękności figury pozostawiając reszcie młodzieży.

Podano kolacją. Muzyka ucichła, a goście postąpili parami do pokoi, w których bogato zastawione stoły do wykwintnej zapraszały kolacyi. Każdy tancerz swoją damę prowadził, a Janusz — Zosię. Przy stole rozmowa była dosyć ogólną, wymuszenie wesołą i dowcipną. Naprzeciw Janusza siedział zhasany pan Emil, ten, któremu zwykle powierzano prowadzenie tańców na polskich balach w Dreźnie. Był tryumfującym — bo się mazur udał nadspodziewanie dobrze dzięki jego wrodzonym zdolnościom do spamiętania najzawikłańszych figur. Ocierał pot z czoła i uśmiechał się z zadowoleniem, jak przystawało na bohatera wieczoru, na *konduktora tańczących pociągów*. Zresztą, pan Emil w dniu nawet powszednie z wielkiem się zawsze zadowoleniem uśmiechał. Takim go składem ust obdarzyła natura. Musiał się zapewne przez sen nawet uśmiechać. Pan Emil był jednym z najzaciętszych wrogów Janusza, który nic o tem nawet nie wiedział, bo go sobie bardzo lekceważąc mało i rzadko o nim myślał, a jeszcze mu się rzadziej przypatrywał.

Tego jednak wieczoru, gdy go ujrzał na przeciw siebie siedzącego za stołem, zapytał go Janusz :

— Czy już mazur skończony?

— O, nie! — odparł Emil. — Jeszcze z godzinę po kolacyi trwać będzie. Wielu figur jeszcześmy nie tańczyli.

— Szkoda! — mruknął Janusz i zwrócił się do Zosi.

Pan Emil z uśmiechem, któremu starał się wyraz złośliwości nadać, rzekł do swojej sąsiadki:

— Będzie musiał tańczyć. Gdyby to zależało odemnie,

mazur by trwał do białego dnia, abyśmy mogli dłużej patrzeć na niego jak płacze nogami i — podskakuje zabawnie.

Sąsiadka poczuła się w obowiązku odpowiedzenia bladym uśmiechem na tę niespodziewanie długą tyradę pana Emila; uśmiechnęła się przeto, czem się bardzo rozradowała chciwa okłasków osoba pana Emila.

Tymczasem Janusz nic nie widząc i niczego się nie domyślając rozmawiał bądź z Zosią, bądź z piękną córeczką hrabiny Heleny, która po drugiej jego stronie siedziała. Tej ostatniej więcej miał nawet do powiedzenia niż Zosi, i bardzo tem zaniepokojona biedaczka co chwilę na niego i na hrabiankę zazdrosnym spoglądała okiem.

Kolacya ciągnęła się bardzo długo, a z każdą minutą gwar stawał się coraz głośniejszym, coraz się weselej różnorodnie toczyły rozmowy. Najnieśmielsi nawet panice ożywiali się i dosyć odważnie swoim sąsiadkom jakieś słówka szeptali. Nie było nic złego w tych podejrzanych szeptach, gdyż mówiono o . . . zawsze o tańcu i figurach mazura, o kotylionie do którego dekoracye zakupiono u Wenzla, o walcu, galopie i polce. Panny uśmiechały się przez grzeczność, lub też przez przyzwyczajenie, i każdemu się zdawało, że nikt równie dobrze swojej damy zabawić nie umie.

Wstano wreszcie od stołu i znowu, w mniejszym już porządku pary posunęły za parami. Pan Emil spieszenie otarłszy serwetą pełne jeszcze usta, odchrząkiwał prowadząc swoją tancerkę, bo go znów wesołe do dźwigania krzyże czekały, bo znów miał za chwilę wykrzykując przewodniczyć tańcom.

Janusz Zosię prowadził. Gdy weszli do salonu dawne ich miejsca już były zajęte. Usadowili się w framudze okna.

— Nadzwyczajnie miła panienka — rzekł Janusz, wskazując na przechodzącą przez pokój hrabiankę Różę. — Rozmawia bardzo dowcipnie.

— O! mnie się ona wcale nie podoba! — zawołała Zosia z widoczną niechęcią.

— Dla czego?

— Nie znajduję aby była przyjemną. Nie jest nawet ładną.

Janusz ze zdziwieniem popatrzał na Zosię.

— A! — rzekł po chwili. — I pani już zaczynasz grać komedią! To bardzo wczesnie.

— Żadnej nie odegrywam roli — ale mówię to co czuję. Różia bardzo mi się nie podoba. Uważałam, żeś pan ję przy kolacyi na chwilę nie dał spokoju. Ciągłeście rozmawiali, śmieliście się nieustannie . . .

— I dla tego się panna Zosia już gniewa? — odparł śmiejąc się Janusz. — To bardzo nieładnie i niesłusznie. Byłoby egoizmem z mojej strony, gdybym, niezadowolony tem, żeśmy już przed kolacją półtorej godziny przegawędzili, że jeszcze dzięki temu panu Emilowi z godzinę rozmawiać będziemy, — chciał panią jeszcze przy stole sobą zanudzać. Ja egoistą nie jestem, pragnę zawsze każdemu dogodzić, a żeś mi powiedziała dziś wieczór, iż pana Alberta za bardzo przyjemnego uważasz, najspokojniej i z największą radością panią na pastwę jego wielomowności zostawiłem, bo przecież on — z panią sąsiedował przy stole. Tymczasem, zamiast mi być wdzię-

czną, gniewasz się jeszcze na mnie. Ależ to niewdzięczność czarna, ohydna niewdzięczność, a, wiedz pani, że ona jest matką wszelkiego złego.

— l'an wiesz doskonale, że mnie wcale pan Albert nie bawi. On okropnie jest nudny, i z dziwną wytrwałością, z rzadką sumiennością, przez całą, mnie kolacją straszliwie wymęczył.

— Pierwszy raz o tem słyszę. Myślałem, że pan Albert jest bardzo przyjemnym i miłym młodzianem. Sama mi pani o tem mówiłaś.

— Ach! mówiłam, ale tego nie myślałam wcale! — z niecierpliwością, zawołała Zosia. — Wiele się mówi rzeczy . . .

— A więc komedia! Już komedia! Miałem zatem słuszność.

— Chciałam tylko zobaczyć . . . jakie na panu te pochwały zrobią wrażenie, — zdecydowała się powiedzieć Zosia.

— Wrażenie? . . . Cóż z tego wynika?

— Nie . . . Chciałam tylko zobaczyć . . . mruknęła Zosia piękne swe oczy spuszcżając.

— Widzę, że niepotrzebne były moje wykłady o świecie i ludziach. Pani masz wrodzony talent do aktor-skiego zawodu, i od razu przeczułaś to, do czego drudzy po długich studyach dochodzą. Zrzuciłaś krótką, atramentem poplamioną sukienkę, włożyłaś natomiast lekkie muszliny, kwiaty na głowę, przestąpiłaś próg oświeconego i zapełnionego salonu i stanęłaś w nim od razu jako doświadczona i wymusztrowana dama, a nawet. . . .

— Nawet? — zapytała Zosia z mocnem bijącym sercem.

— Kokietka! — wycedził Janusz z powagą. — To może za wcześnie, ale mniejsza o to. Prędkiej czy później to przyjść musi.

— O! kokietka! — zaprotestowała Zosia, a łzy się jej zakręciły w oczach. — Kokietka! ..

— Tak jest — kokietka. Pani nie znasz może jeszcze tego wyrazu, bo ani *miss* Harriel, ani panowie Schulz i Dreifuss nie nauczyli pani jego znaczenia. A jednak ta zabawka, tak na pozór niewinna, została przez kokieteryą, wywołaną. Boś piękna, młoda, dowcipna — zdaje ci się, że tobie każdy hołdować powinien, że chwalać pana Alberta śmierć drugiemu przyniesiesz. Kiedym się podjął panią uformować, muszę ją uprzedzić, żeś wcale niepięknie postąpiła przed chwilą. Daleko były piękniejsze nasze dziecinne zabawy!

Biedna Zosia nie wiedziała co z sobą począć. Zarumieniona, ze spuszczonei oczami słów Janusza w milczeniu słuchając, nie mogła mu nie przyznać słuszności. Poczowała się do winy, a nie śmiała nawet się bronić. Nie znalazłaby słów dla wytłumaczenia siebie przed nim.

— Lepszy był ojciec *Virgiliusz*, pierścioneł, cztery kąty, — ciągnął dalej Janusz. — Alebyśmy się już nie chcieli w te gry dziecinne dzisiaj bawić. To nadto naiwne i nudne. Dziś się w kokieteryą bawimy, a powtarzam, — to brzydka i często niebezpieczna zabawa.

— Niebezpieczna? .. — nieśmiało szepnęła Zosia.

— Tak jest — niebezpieczna. To szczęście, żeś pani na mnie trafiła. Jestem starym i wiernym przyjacielem, umiem w porę ostrą wypowiedzieć prawdę . . . ale też umiem zabawę rozróżnić od prawdy. Tymczasem

inny na mojem miejscu, mniej dobrze panią znający, mógłby się dać złapać w zastawione nań sidła, mógłby wziąć za prawdę te złożone słówka, któremi kobiety tak igrać nieraz lubią, i wtedy, gdybyś się pani tylko bawiła, gdybyś tylko żartowała, on biedak, myślać . .

— Nie . . nie . . — przerwała Zosia z wzruszeniem. — To by było szkaradnem! . . to żarty niestosowne i okrutne! . . Nie miałam żartów na myśli.

— Chwilę temu przyznałaś się pani do tego.

— Mówiłam zupełnie poważnie . . wcale nie żartowałam — drżącym głosem szepnęła Zosia, i mocno zarumieniona, zmięszana, w dół oczy spuściła.

Janusz z niepokojem na nią popatrzał.

— Co ona sobie myśli? — dumał pilnie się jój przypatrując. — Czyżby? . . Zkąd? . . . Ha! Trzeba się z nią rozmówić, bo jeżeli dalej się bawi — na dobrą zasługuje nauczkę, a jeżeli się jój doprawdy coś roi po głowie — wypada ją z jój marzeń, póki czas, obudzić. — I głośno zapytał:

Jak mam słowa pani rozumieć?

— Jaknajnaturalniej w świecie — cicho odparła zmięszana dziewczyna. —

— Nie pojmuję jeszcze . . .

— Ha! Pocóż się dłużej przed panem ukrywać. Rozumiemy się . . Wiem, że mnie pan kochasz, i śmiało pana mogę zapewnić, że ja . . także . . — I biedne dziecko znów oczy spuściło, a głos zamarł mu w gardle.

Janusz oniemiał z podziwienia i strachu.

— Co ja z nią teraz zrobię? — myślał z rozpaczą. Zosia podniosła oczy, spojrzała na niego z uśmie-



chem i rzekła dosyć odważnie, chociaż głos jój drżał jeszcze:

Nie potrafiłam dokończyć, ale mnie pan rozumiesz. Już najtrudniejsze zrobione. Wiemy oboje o wszystkim. Ja dawno odgadłam . . . — I z miłością patrzyła mu w oczy.

— Pani — wybąknął szukając słów Janusz. — Nie pojmuję doprawdy jak mogłaś odgadnąć . . . we mnie uczucie . . . — i zatrzymał się nie wiedząc jak dalej mówić.

— Odgadłam sercem — rzekła Zosia z prostotą.

— Niestety . . . — zaczął Janusz.

Zosia z zadziwieniem na niego spojrzała.

— Niestety . . . pani . . . się mylisz.

Słabo się biednej dziewczynie zrobiło. Oparłszy piękną głowę o wysoki poręcz fotela silnie i szybko się wachlować zaczęła, a pierś jój nierówno się kołysząca, zdradzała gwałtowność miotających ją uczuć.

— Pani się mylisz — mówił wachając się Janusz. — Nie pojmuję z kąd pani mogłaś wnioskować, że ja . . . ja . . . panią . . . kochałem i kocham.

Zosia nagle się z fotela zerwała.

— Podaj mi pan rękę. Odprowadź mnie. Wyjdźmy z salonu, bo nie potrafię dłużej panować nad sobą. — drżącym zawołała głosem i schwyćwszy go pod rękę pociągnęła za sobą. Przeszli parę pokoi.

— Dokąd idziecie? — zapytała pani Rokowska.

— Suknia . . . muszę poprawić . . . — wybąkała Zosia i dalej spieszonym krokiem pobięła.

Gdy stanęli przy drzwiach do jój pokoju wiodących,

rzekła ledwie mogąc do oczu się cisnące łyzy powstrzymać:

— Dziękuję panu . . . Żegnam pana . . .

— Pani! — zawołał Janusz — muszę się wytłumaczyć . . .

— Niepotrzeba! — odparła szybko, — i nim zdołał słowo wymówić drzwi za sobą zamknęła.

Janusz pozostał sam jeden w pokoju. Usłyszał, że Zosia drzwi na klucz zamyka.

— Głupia historia! mruknął. — Żal mi biednej Zosi. Ale co miałem robić? . . . Nie mogłem nie powiedzieć jej prawdy . . . Biedne, biedne dziecko! — I ze zwieszoną głową do salonu powrócił.

— Szukamy pana wszędzie! Na pana kolej! — zawołał przyskakując do niego pan Emil.

Janusz zimno popatrzał na niego, poczem nie mówiąc słowa, do bocznego wyszedł salonu.

— Pary szósta i siódma! — zagrzmiął Emil mocno postępowaniem Janusza zgorzony, a nawet obrażony, co jednak nie przeszkadzało, że się jak zwykle uśmiechał.

Janusz wszedł do pokoju, w którym za zielonymi stołami mężczyźni grali w karty.

— A cóż! porzuciłeś damę? — zapytał pan Rokowski.

— Panie, — rzekł Janusz, — chciałbym z panem na osobności pomówić.

— Słucham ciebie, — odparł gospodarz, — ale, jeżeli to nie pilnego, wolę abyś rozmowę na inny czas odłożył. Jestem zajęty.

— Owszem. To bardzo pilne — rzekł Janusz



stanowczo, i wzięwszy pana Rokowskiego pod ramię wyszedł z nim do przyległego pokoju. Ostrożnie drzwi zamknął za sobą i wyrzekł wolnym głosem.

— Bardzo mi boleśnie, że muszę panu smutne zakomunikować odkrycie. Panna Zofia kocha się we mnie.

— Jeszcze nic w tem złego nie widzę — dobrodusznie i bardzo naturalnie odparł gospodarz. — Nie wiem co na to powie moja żona, ale chociażbyśmy u niej opór znaleźć mieli, — nie należy jeszcze rozpaczać. Ja tobie szczerze będę pomagał.

— Nie o tem mowa; — przerwał Janusz. — Sama mnie powiedziała że mnie kocha, a lubo się to niejednemu dziwnem wydać może, lepiej jest, że się tak stało bo od razu mogłem złemu zaradzić. Wypłacze się przez kilka dni, a potem zapomni . . to długo trwać nie może.

— Nie rozumiem ciebie, Januszu.

— Ja nigdy jój nie kochałem. Miałem i mam dla niej wiele przyjaźni jak i dla całej jój rodziny, alem nigdy nie myślał o tem, aby się kiedykolwiek o jój rękę starać.

Pan Rokowski spuścił głowę i począł frasobliwie przechadzać się po pokoju.

— Nie pojmuję nawet, — ciągnął Janusz dalej, — zkąd Zosi przyjść mogły podobne myśli do głowy. Nie przypominam sobie abym kiedykolwiek mógł jój dać do myślenia . . Ale mniejsza o to. Dosyć że jest złe . . . musiałem jój powiedzieć że się zawiodła. Bardzo mnie to bolało, ale cóż innego miałem uczynić? . . .

Biedna Zosia! Biedna Zosia! — mruczał pan Rokowski.

— Możeby inny uciekł, gdyby się w mojem poło-

żeniu znajdował, ale ja czułem się w obowiązku uprzedzenia jój rodziców o tem co zaszło.

— Tak . . tak dobrześ postąpił . . . biedna moja Zosia!

— Państwo najlepiej potraficie zaradzić złemu. Będzie trochę płakała, ale to z czasem przejść musi. Zapomni, a wkrótce może, znowu, szczęśliwiej pokocha. Wtedy wszystko naprawionem będzie.

— Tak . . tak . . — powtarzał pan Rokowski.

— Przeszanę bywać u państwa, przeszanę nawet bywać w świecie, abyśmy się nigdzie spotkać nie mogli, a wtedy mnie tem prędzej zapomni . . . Nazwą mię ludzie dziwakiem, tetrykiem, ale mniejsza o to, byleby się kuracya Zosi udała.

Pan Rokowski ścisnął Janusza za rękę i wyrzekł głosem wruszonym:

— Dobrze! Dziękuję ci . . Drugiego bym już na pojedynek wyzwiał, ale ciebie nie można . . . jesteś prawdziwym przyjacielem . . . trudno się gniewać na ciebie, i przed tobą znika obrażona duma kochającego ojca.

— To by tylko panu i Zosi zaszkodzić mogło, gdybyś mnie chciał wyzywać. W podobnych razach potrzeba jak najciszej działać . . A teraz, wracajmy do ludzi . . Dziwią się zapewne, żem tak pana nagle na stronę wywołał; może się już cieszą, ze sposobności rozniesienia po mieście jakiej nowej ploteczki.

— Chodźby, chodźby — westchnął pan Rokowski.

— Jeszcze chwilę! — odparł Janusz. — Pan

wyglądasz bardzo smutnie. Jakaś chmura wisi na pańskim czole, ludzie ją zaraz zauważą.

Cóż mam robić? Na rozkaz jej nie spędzę.

— Postaram się o to, — rzekł Janusz, i począł panu Rokowskiemu opowiadać jakąś anegdotę, bardzo zabawną, dowcipną, dosyć słoną i nie koniecznie przyzwoitą.

Po chwili nasi panowie najserdeczniej się śmiejąc powracali do pokoju, w którym zebrani mężczyźni z niecierpliwą ciekawością na ich powrót oczekiwali. Bardzo się zawiedli w swoich oczekiwaniach i kombinacjach, bo zamiast długich, nadąsanych twarzy ujrzeli wesołe, tak szczerze, bez najmniejszego przymusu wesołe, że każdemu ręce z rozpaczy opadły. Jakto! Nic nie będzie nowego do opowiadania w Dreźnie!..

Na długiej, niskiej i szerokiej sofie siedziało kilku mężczyzn. Palili cygara i wesoło po angielsku gwarzyli. Znudzeni widokiem nieskończonego mazura wysunęli się z salonu aby trochę odpocząć. Janusz podszedł do nich.

— John! — rzekł do młodego i przystojnego, żywo dyskutującego Amerykanina. — Rzuć swoje cygaro; przejdziemy się po salonie.

— Czego?

— To grzecznie! Naprzód będziesz w mojem towarzystwie, a powtóre będziesz patrzył na kołyszące się w tańcu kwiaty z nad Wisły, Warty, Niemna i Dniestru.

John James powstał z sofy i wyrzuciwszy cygaro, wziął Janusza pod rękę.

— Chodźmy! — rzekł, — kiedy tak bardzo tego pragniesz. Co do mnie — wolałbym zostać i moją Habanę

dokończyć. Pan Rokowski ma doskonale cygara. Nie wiem gdzie je dostaje, ale takich nie paliłem w Dreznie.

— Wcale dobre, — odparł Janusz. — Bierze je w magazynie jak każdy, ale je dobrze płaci.... Chodźmy patrzeć jak tańczą, mazura. Jakże się tobie ten taniec podoba?

— Prawdziwe wyścigi. Hałas okropny. Wasz pan Emil na pierwszą zasłużył nagrodę.

— Idź mu to powiedz, a ciebie uściska.

I weszli do salonu.

Janusz obejrzał się do koła — Zosi nie było.

— Biedne dziecko! — pomyślał, i rzekł po chwili do towarzysza: — Mój kochany John. Baw mnie. Oповідаj mi coś bardzo śmiesznego. Trzeba abyśmy na siebie naszą wesołością zwrócili uwagę.

— Cóż ci powiem? — zapytał John. — Nie umiem tak na rozkaz być zabawnym. Mogę ci naprzykład powiedzieć, że ta wysoka i chuda panna, która tak śmiesznie na środku salonu podskakuje podobna do żurawia, ale to raczej smutne.

— Trafne, lecz przeklepane. Ta panna nieraz już widziała jak lilije kwitną, i zapewne nie jeden tę samą już uwagę o niej zrobić musiał.

— Czegoż ci tak chodzi o to aby widziano, że się śmiejesz.

— Bo jestem smutny, John.

— Smutny? Dla czego?

— Potem ci powiem.

— Nie wierzę w twój smutek, — odparł Amerykanin. — Możesz zły, może masz *spleena*. Ale on się

u ciebie nie smutkiem, lecz gwałtowną złośliwością objawia.

— Nie, John. Jam smutny doprawdy, — okropnie smutny, — smutny jak ten bal, na który patrzymy.

— No! nie rozumiem ciebie, Januszu. Bardzo się przecie bawią, wesoło.

— Może być, a jednak to obrzydliwie wygląda.

— Co się tobie stało?

— Bal jest prześliczny przed kolacją. Wtedy suknie, fraki, fryzury, kwiaty i umysł — wszystko jeszcze świeże. Dowcipy łatwiej się sypią, niezmięte sukienki lekko i wesoło się uwijają po szklistej posadzce. Ręce, które się w tych ogromnych, jak wieńce z kwiatów, kołach splatają, ubrane jeszcze w rękawiczki białe i świeże. Do kolacyi, każdy przyzna, że to się ludzie bawią.

— A teraz? — Spytał z uśmiechem Amerykanin.

— Teraz?... Zwierzęta. Patrz na te wszystkie rękawiczki, jak już nie świeże; patrz na tę pannę w zielonej sukni — jakaś źle wprawiona świeca niemiłosiernie jej włosy stearyną skropiła; to szczęście, że przyprawione; patrz na naszego sąsiada: — nie rozumiem nawet gdzie sobie mógł tak okropnie plecy zabielić, bo przecie ściany szpalerem obite; czy widzisz tę blondynkę, nad której białą, niewinną sukienką tak się przed kilku zachwycali godzinami? To ścierka! w koło wiszą łachmanki brudne, pełne kurzu i wosku. — Patrz na te wszystkie panny. Czego one tak skaczą, w swoich sukniach porwanych?... a słyhać tylko muzykę, — nikt już prawie nie mówi, nikomu już sił nie starczy aby się trochę pofatygować i choć jeden frazes ułożyć. Każdy z głupim uśmiechem,

z oczami obłąkanemi patrzy na kręcące się w środku salonu pary, wyglądające jak gdyby przez wiatr niesione śmiecie. Jedni patrzą, a drudzy skaczą, a wszyscy się uśmiechają, chociaż, ledwo dychać mogą; ociężeli po dobrej kolacyi i niustających tańcach. . . . Idź do jednej z tych panien, powiedz jej, że jest aniołem, a uśmiech nie zniknie z jej twarzy; powiedz jej, że jest gęsią, że jest głupią i brzydką, a tak samo wpółotwarte usta uśmiechać się będą. . . .

Janusz zatrzymał się na chwilę.

— Cóż jeszcze? zapytał Amerykanin.

— Jeszcze?... chcesz jeszcze?... wciągnij w siebie powietrze — to trucizna!

— Oh! — zawołał John ze zgrozą.

— Tak, John. To obrzydliwe!... Ale na tem nie koniec. Po mazurze nastąpią walce, polki, kadryle. Wreszcie przyjdzie na kotylicioną kolej. Co to będzie wtedy?... Sam mi teraz powiedz, czy to się ludzie bawią?

— Do czegoż to wszystko zmierza, Januszu?

— Do tego, abyśmy ztąd uciekali co prędzej. Trzeba nam było dawno już to uczynić.

— Nie mogę. Mam zamówionego kotyliciona.

— Z kim?

— Z panną Zofią.

— To możesz iść ze mną. Panna Zofia już tutaj nie wróci.

— Dla czego? Co się jej stało?

— Niezdrowa... chodźmy, John.

I nasi przyjaciele wysunęli się do przedpokoju.



— Wiesz, Januszu, że mi nie dobrze, — mówił naciągając palto Amerykanin. W tak żywych kolorach opisałeś mi odwrotną stronę balów, że mi do téj pory twój opis z głowy wyjść nie może.

— Świeże powietrze i czarna kawa najlepiej ciębie uzdrowią. Nie posadzałem nawet w tobie, dziecku wolnej Ameryki, takich arystokratycznych, europejskich nerwów.

— O! mój kochany. Nie potrzeba być nerwowym aby się rozchorować na samą myśl tego coś mi z takim talentem przedstawił. Brrr! To okropne!

I wyszli na ulicę.

— Dokąd idziemy? — zapytał John.

— Trzeba się gdzieś czarnej kawy napić.

— Wszystkie cukierńie zamknięte.

— Hm!.. Pójdziemy na Czeski dworzec. Tam całą noc otwarto. Nie chce mi się spać, potrzebuję gadać... Ty także pewnie spać nie chcesz, a więc ze mną pójdziesz.

— Uważam, że sobie strasznie despotycznie ze mną poczynasz. Jako Amerykanin jestem wrogiem despotyzmu, i chociażby na złość tobie, gotów jestem powiedzieć, że mi się spać chce straszliwie, aby nie zrobić tak, jak się tobie podoba.

— No! Chodź! chodź! — mówił Janusz biorąc go pod rękę. — Nie marnuj słów, ani czasu; daremnie rozprawiasz, a wiesz przecie, że *time is money*, jak to u was mówią.

— Masz słusność, Januszu — odparł śmiejąc się Amerykanin, — i, zapaliwszy cygara, nasi przyjaciele podążyli spieszonym krokiem ku Czeskiemu dworcowi.

## R O Z D Z I A Ł II.

— Może mi raczysz wytłumaczyć swoją posepność?  
— mówił John siedząc za stołem i z wolna, leniwie puszczając za każdym słowem z ust błękitne kłęby dymu. Nie po to z tobą tutaj przyszedłem, aby patrzeć na twoje zachmurzone oblicze, aby słuchać tego, czego mi nie mówisz. Nie na tom opuścił wesoły bal i przyjemną gawędę aby się wraz z tobą nudzić na tym dworcu.

Janusz ręką potarł czoło i rzekł po chwili.

— Nie wiem co to jest, ale z tobą mi dobrze John. . . .

— Nic w tem nadzwyczajnego nie widzę, — zaśmiał się Amerykanin. — Znam swoją wartość i nie wątpię . . .

— Dajmy pokój żartom, mój kochany. Gdybyś wiedział jakie mnie dzisiaj nieszczęście spotkało, pewnie byś wszedł w moje położenie, i . . .

— Urwał ci się guzik od fraka? — zapytał John drwiąco.

— Cicho, John. Powtarzam, że niestosowne te

żarty... Miałem ciężką chwilę do przebycia i do téj pory oprzytomnieć nie mogę; czuję potrzebę wynurzenia się i dla tego cię z salonu Rokowskich wyciągnąłem. Znamy się od kilku lat, i ja, com nigdy nie miał przyjaciół, — gdym cię po raz pierwszy ujrzał, — powiedziałem sobie, że ty jeden będziesz tym, któremu się będę zwierzał ze wszystkiego. Wkrótce też zostaliśmy przyjaciółmi. Do dziś dnia pędziłem życie spokojne, od wszelkich trosk wolne i nie miałem z czem się przed tobą spowiadać, nie znalazłem nic do powierzenia twojej dyskretyi. Dziś potrzebuję wygadać się, a znając ciebie, jestem spokojny o to, że przed nikim słowa z naszej rozmowy nie powtórzysz.

— Jakaś sercowa sprawa? — zapytał Amerykanin. Janusz milczał i zbierał myśli.

— O! Januszu! Januszu!... Ty zawsze zimny, drwiący, szyderski, miałbyś się w końcu zakochać?... Nie! To być nie może. U ciebie nie ma serca, ale grzechotka arlekina na jego miejscu. Prawda?... Tyś nie zakochany?... Milczysz!... Ha! Widzę że nigdy za siebie zaręczyć nie można.

— Chociaż mnie za zimnego i obojętnego uważasz, jestem zdolny zakochać się jak każdy inny, a może nawet i łatwiej... Ale mam swój wymarzony ideał i ktokolwiek różni się od niego choćby na jedną jotę — ten już mego serca podbić nie zdoła.. Na zapytanie tyjące się tego co sercową sprawą nazywasz — nie wiem jaką ci dać odpowiedź. Po części się nie mylisz, a po części bardzo jesteś dalekim od prawdy. Dziś, wcale nie przewidując zbliżającego się do mnie, mającego wó mnie jak piorun

uderzyć nieszczęściu, najspokojniej przy Zosi Rokowskiej siedziałem wyczekując z niecierpliwością końca szalonego mazura. Wtem Zosia, do téj pory wyjść z podziwienia nie mogę, oświadczyła mi się bardzo wyraźnie... Jakże ci się to podoba?

— O! Mnie by się to bardzo podobało! — zawołał śmiejąc się John. — I ty to nieszczęściem nazywasz? . . . Taka piękna, taka czarująca panienka!

— Na wszystko się z wesołej zapatrujesz strony, — odparł Janusz westchnieniem. Ale mną inne uczucia miotały.

— I tu ze wszystkimi szczegółami opowiedział przyjacielowi całe nieprzyjemne przejście, jakie miał z biedną Zosią, wśród balu, w pośród hałasu muzyki i tańców.

— Szaleńcze! — wołał John ze zgrozą. — Dobrowolnieś od siebie skarby szczęścia odtrącił.

— Wiem o tem że piękna, miła, dowcipna i niezłe wychowana, ale jój nie kochałem a zatem i szczęście nie było możliwem. Nie mogłem inaczej postąpić.

— Szaleńcze! — powtórzył Amerykanin. — Ślepy i głuchy szaleńcze! Można się było zakochać słuchając jój wyznania. . . Wystawiam sobie jak cudowną być musiała, gdy się z jój ust wyznanie miłości wyrывało! . . . Wyobrażam sobie ten rumieniec, ten uroczy rumieniec dziewczicy, który w téj chwili jój piękną, pochyloną główkę oblewał! Jakże jój biedne serce gwałtownie bić wtedy musiało! Biedne, biedne dziecko! Januszu! jesteś kawałkiem łożu, albo waryatem! . . . Wybieraj.

Nazywaj mnie jak chcesz, mam jedną tylko odpowiedź.

— Zosia nie jest moim ideałem.

— I jakże się ta scena skończyła?

— Odprowadziłem ją do jej pokoju, zamknęła się w nim na klucz i musi płakać biedaczka.

— A ty masz serce tak obojętnie podobne mi opowiadać rzeczy! Gotów jestem z tobą się pokłócić, Januszu, za wszystko co się stało — za jej łzy i cierpienia

— Daj pokój John. Ja sam z sobą dotąd w zgodzie nie jestem, ale nic innego uczynić nie mogłem. Trudnoż wymagać odemnie, abym się na całe życie wiązał z osobą, której nie kocham tem uczuciem, jakie ja miłością nazywam. W moich oczach, miłość powinna przejść przez rozum, przez tę retortę, w której przeważone być muszą wszelkie nasze myśli nim je do praktyki zastosujemy. Miłość powinna być obmyślana i wyrozumowana naprzód. Gdybym się nawet przypadkiem kochał w Zosi, uciekłbym, starałbym się o nią zapomnieć. Cobyśmy we dwoje robili? . . . Klepalibyśmy biedę jak tylu innych. Ona nie bardzo posażna, a ja nie bardzo bogaty. Cobyśmy dali jeść naszym dzieciom? . . . Odebraliśmy oboje dobre i staranne wychowanie, ale wraz z wychowaniem przyzwyczajono nas do rozmaitych płochych potrzeb i wymagań, bez których nie umielibyśmy się obejść w przyszłości, a których zaspokajanie doprowadziłoby nas z czasem do nędzy. Dajmy na to, że jabym się jeszcze mógł od nich odzwyczaić, mając nieustannie na widoku cel ważny, święty, bo zapewnienie powszedniego chleba żonie i dzieciom. Ale ona . . . onaby jedynie na swoje stroje traciła całoroczne dochody. Bardzoby rozsądnie o oszczędności mówiła, o potrzebie zastosowania się do trudnej pozycyi, a nie wytrzymałaby, żeby sobie ładnej i drogiej sukni nie

kupić, bo jój takie rodzice sprawiali, bo ją od samego dzieciństwa ubierano z przepychem, bo wreszcie panie X. Y. Z. noszą koronki i atłasy. Tuby zawsze najsilniejszym było argumentem . . . Ładniebyśmy wyszli w krótkim czasie.

— Mógłbyś pracować, — rzekł John.

— I cóżby moja praca przyniosła? . . . Gram trochę i śpiewam. To nie przynosi, a choćbym nadzwyczajny talent posiadał, choćby głos mój, albo gra, nie miały sobie równych w Europie, mąż panny Zofii Rokowskiej, pan Janusz Sreniawa Madzicki, mający stosunki z pierwszorzędnym, najarystokratyczniejszym polskim Towarzystwem, nie miałby prawa jako śpiewak lub pianista za pieniądze występować na deskach. Bardzo jest pięknem śpiewać lub grać na korzyść ubogich, ale za pieniądze . . . fe!

John wybuchnął serdecznym śmiechem.

— Śmieję się, śmieję, mój przyjacielu. Wybaczam tobie ten śmiech, bo jesteś z innego kraju, z innego nawet świata, w którym zupełnie odrębne mają obyczaje, w którym się zupełnie inaczej na wszystko zapatrywać umieją. Ale w naszej starzej Europie, staremi na wszystko patrzą oczyma. . . Zresztą nie ma co mówić o muzyce; talencik mój jest bardzo mierny, a choćbym chciał za pieniądze występować. wątpię, abym mógł w ciągu roku na parę trzewików zarobić. Mój głos pozwoliłby mnie na ulicach śpiewać, ale to także nie więcej przynosi. Jak gram i śpiewam, tak samo maluję, tak samo i wiersze piszę. Wszystko nadzwyczajnie miernie i moja praca nicby nie była wartą, a innego nic robić nie umiem. Nie, nie, John ty nie masz słuszności.

— Znalazłbyś zajęcie w jakim biurze, lub banku.

— Mało mam do rachunków zdolności. Przypuśćmy jednak, żebym znalazł zajęcie, o jakim mnie wspominasz. Coby o tem powiedzieli znajomi i krewni? . . . Pan Janusz Madzicki, mąż panny Zofii Rokowskięj został rachmistrzem!

Pan Janusz Madzicki rejestra liniuje! . . .

— To u was Polaków, wcale nie pracują?

— Owszem. Jedna jest praca, która szlachcicowi nie ubliża — to gospodarstwo. Siedzieć na wsi i gospodarować — wcale nie jest źle widzianem.

— Masz przecie w kraju majątek.

— Mam . . . nędzota.

— A więc osiądziesz na wsi i będziesz gospodarował.

— Nie lubię i nie umiem gospodarować. Wolę przeto majątek wypuścić w dzierżawę. To mi więcęj przynosi, ale to „więcej“ bardzo małą stanowi różnicę, gdyż za ledwie tyle, ile mnie jednemu na wygodne życie wystarczyć może. A choćbym nawet gospodarował. — Zaraz by moja żona poczęła tęsknić za miastem gdzie wychowanie odebrała, — za znajomymi, — balami i tysiącznemi uciechami, których bym jęj nie mógł na wsi dostarczać, równie jakbym nie był w możności sprawiania jęj tych kosztownych strojów, do których nawykła . . .

Coby wtedy wynikło? . . . Poczęłaby tęsknić za niemożliwymi rzeczami — nic by w tem nie było dziwnego, bo na to młoda. A gdy ona by tęskniła ja bym się gryzł i martwił, patrząc na jęj smutek. Ztąd kwasy,

nudy... I cóżby się z tego w końcu wyrodziło? — Szczęście?... Nie! Nie!

— A więc się nigdy nie ożenisz?

— Owszem, John. Jak znajdę ideał.

— Ale twój ideał może być bez posagu.

Janusz się uśmiechnął.

— Co?... Sprzedasz się? — zapytał John. — Nie! To do ciebie nie podobne, chociaż wszystko tak niby zimno obrachowujesz... Nie. Ty się nie sprzedasz.

— Nigdy! — odparł Janusz. — Chociażby ta żona miała być piękną, dobrą i cnotliwą. Nie sprzedam się, bo wtedy położenie moje stało by się nadto delikatnem i nieprzyjemnem. Czuwałbym nieustannie, a jednak, doczekałbym się w końcu chwili, w której skutkiem niezna- czącej często sprzeczki, albo płochój fantazyi, moja żona by mi moją biedę i swoje bogactwo przypomniała. Te- gobym przemieść nie umiał, a jednak toby było nieuni- knionem. Nie, John, ja się nigdy nie sprzedam.

— A więc?... — zapytał Amerykanin.

— Wezmę żonę nie nawykłą, do zbytków, której jedna skromna sukienka wystarczy na zimę, a druga na lato, która nie będzie tęskniła za zabawami, za pociągają- cemi za sobą koszta balami, bo ich nigdy, nigdy nie zakosztowawszy, nie będzie nawet wiedziała jak smakują. Wezmę żonę, która będzie wolała czas swój w domu spędzać przy robocie, mężu i dzieciach, niż latać z wizy- tami po mieście, niż uganiać się za zabawą, powierzwszy wychowanie dzieci płatnym guwernerom i nauczycielkom.

— I gdzież taką perłę znajdziesz?

— Oto nietrudno, — rzekł Janusz.



— Wiesz co? — zawołał John śmiejąc się. — Jedź ze mną do Nowego Orleanu, albo na Kubę. Tam tobie tyle żon wyszukam, ile ich tylko zamarzysz. Tamtejsze murzynki, a szczególnie indyanki mało na stroje wydają. Niejeden pęk piórek, albo sznur pocierek zupełnie zadowolnić potrafi. Rodzą się przytem mamkami, niankami. Zdaje mi się, że nic innego nie szukasz.

Ale Janusz się nie śmiał. Odpowiedział poważnie:

— Nie jesteś od prawdy dalekim, John, chociaż niby ze mnie żartujesz. Murzynki za żonę nie wezmę, ale może coś podobnego. Zerwę jakiś piękny, wonny, polny kwiatek i ten będę szczęśliwie przez resztę dni życia hodował.

I John śmiać się przestał. Patrzył wielkimi oczami na przyjaciela i uszom swoim wierzyć nie chciał.

— Żartujesz, Januszu, — rzekł po chwili.

— Nie, John, nie żartuję. Wezmę żonę pod słomianą strzechą. Wezmę prostą, ubogą, wiejską dziewczynę, która ledwie czytać i pisać będzie umiała. Wolałbym nawet aby wcale nie czytała, bo z książek najwięcej złego po świecie się roznosi. Im prostszą będzie, tem mnie więcej dogodzi. Po złożonych salonach szczęścia nie znajdziesz. Kryje się ono, jak fijołki w frawie. Kryje się po wieśniaczych chatach; tam prostota i naiwność, a dzięki tym coraz rzadszym przymiotom — tam spokój i wesele. Im mniej ludzie potrzeb mają, tem się za szczęśliwszych uważać mogą, gdyż najmniejsza rzecz wielką im sprawia przyjemność.

— Januszu, Januszu! — wołał John. — Co ty mówisz! Sam siebie oszukujesz.

ciebie nie bolało. Twoi znajomi i krewni, a jój familia, to będą dwa zupełnie odrębne światy, i podczas gdy ty w jednym bywać będziesz, ona — w drugim, w swoim. Przy podobnych warunkach szczęście już nie jest możliwem, bo was co chwilę towarzyskie obowiązki będą rozdzielały.

— I na to mam odpowiedź, John. Mogę zerwać z moim światem, a uczynię to najchętniej, najweseliej, bez najmniejszego nawet żalu. Ja lubię prawdę, ja jój tylko szukam, a niestety nie mogę jój znaleźć w pośród osób mojego towarzystwa. Kłamstwo, obłuda, ambicje, chciwość, zawiść.... nic innego nie widzę. Czyż mogę tęsknić za takimi ludźmi? za ludźmi, którzy gdy się nieraz najczuliej ściskają chętnie by siebie rozszarpać gotowi.

— Gdym cię przed chwilą do pracy namawiał, oglądałeś się na to co ludzie powiedzą. Kiedy zaś idzie o krok daleko ważniejszy, który tobie nigdy nie przebaczą ludzie, nie wahasz się im wszystkim rękawicę rzucić. Jakże mi wytłumaczysz tą sprzeczność? Jesteś chyba leniwym, Januszu?

Janusz nic na to nie odrzekł.

— Milczysz? — rzekł Amerykanin. — Mam zatem słuszność. Ale wróćmy do twoich urojeń. Czy sądzisz, że u prostych, naiwnych, cichych, na małym poprzestających wieśniaków nie znajdziesz tych samych wad, jakieś przed chwilą z takim upodobaniem wyliczałeś? Wszystko znajdziesz takim samem, z tą tylko różnicą, że gdy w naszym świecie dzięki starannemu wychowaniu pozory zachowane przynajmniej, tam zaś znajdziesz nagie, ni-



czém nieosłonięte namiętności. Z dwojga złego wybrałbym pierwsze.

— Ja nie znoszę obłudy, — rzekł Janusz.

Nagle się z trzaskiem otwały drzwi wchodowe i weszło do sali, śmiejąc się i gawędząc, kilku młodych ludzi. Mówili po polsku.

— O! Bardzo już późno, albo bardzo rano, — rzekł Janusz. Bal u Rokowskich skończony.

Młodzi ludzie zbliżyli się do stołu, przy którym nasi przyjaciele siedzieli. Na ich przedzie szedł pan Emil. Uśmiechał się według zwyczaju. Rzekł do Janusza:

— Panowie się tak z balu wymknęli... Ślicznie się udało... kotylion był wspaniały!

— Nie dziwię się temu, — odparł Janusz, — skoro go Pan prowadziłeś.

Emil uśmiechał się. Rozpiął palto i oczom wszystkim ukazał piersi okryte kotylionowemi dekoracyami.

— Każdy szuka szczęścia podług tego jak je sobie wystawia, — mruknął Janusz do przyjaciela.

John roześmiał się i spojrzął na Emila z ukosa.

— A my dopiero z balu... — rzekł ten ostatni aby coś powiedzieć. — My dopiero z balu...

— Odgadłem od razu, — odparł zimno Janusz.

Emil uderzył laską po stole, a gdy na stuk ten nadbiegł służący, młodzież poczęła się upominać o rozmaite napoje i przekąski, poczem się w koło stołu rozsiadła i potoczyła się żywa, śmiechami przerywana rozmowa. Janusz rzekł po chwili do towarzysza:

Oni nam nie dadzą spokojnie rozmawiać. Wynosimy

się, — i powstał z krzesła. John poszedł za jego przykładem.

Wszyscy się na nich ze zdziwieniem spojrzeli, a Emil wysadził się na bardzo uprzejmy frazes:

— Mam nadzieję, że my Panów nie wypędzamy?

— O! nie panie, — odparł Janusz z ironicznym uśmiechem, i odwróciwszy się spostrzegł przyjaciela, który już do drzwi podchodził.

— John! — zawołał.

John się obejrzał.

— Uciekasz, a nie skończyliśmy naszej kawy. — I wzięwszy filiżanki ze stołu przeniósł się z niemi na drugi koniec sali. John zdziwiony jego postępowaniem podążył za nim i począł mu wymawiać niewłaściwość zachowania się.

— Trzeba im dać naukę, — powiedział Janusz siadając.

— Zabrali nam nasz stół nie pytając się nawet o pozwolenie.

*Kellner!* Jeszcze kawy!

— Co ci jest, Januszu? Uważam, żeś nie w różowym humorze. W czymże zawinili przed tobą ci młodzi ludzie?

— To gbury! — zawołał Janusz. — To chłopcy bez wychowania.

John wybuchnął głośnym śmiechem, a Janusz ze zdziwieniem popatrzał na niego.

— Udało ci się, Januszu! Wszak ty to lubisz? to przecie tak proste, naiwne, szczere, nieklamane.

I Janusz się roześmiał, ale dodał po chwili

— To żaden argument. Widzę, że chwytasz za

słowa . . . Ale dajmy temu pokój. Jeżeli nie potrafię cię przekonać, twoje słowa równie marnie, bez śladu zaginą. Widzę, że cię jak i mnie natura krasomównem obdarzyć nie raczyła. Mówmy o czem innem.

— Idźmy lepiej spać, — rzekł John poziewając.

— O nie! Nadtobyśmy tam wielką zrobili przyjemność tamtym paniczom, którzy się na nas patrzą jak na wilki. Jeden Emil uśmiecha się, ale to jego fach równie jak i prowadzenie tańców. Patrz, jak się na jego piersi świecą gwiazdy i krzyże, jak uradowany, że się na niego gapią fagasy i dama za bufetem. Temu mało do szczęścia potrzeba i, w ciągu długich lat które go czekają, bo prowadzenie tańców jak każda gimnastyka podtrzymuje zdrowie, nigdy nie będzie nawet wiedział co to przykreść albo smutek. Zawsze jak dotąd, będzie się jednako uśmiechał. Szczęśliwy chłopiec!

— Mówisz, jak gdybyś mu doprawdy zazdrościł, jakbyś się chciał z nim pomieniać.

— No .. tak dalece nie . . . Straciłbym pod każdym względem.

I długo gawędzili przyjaciele. Nieznacznie znowu poczęli mówić o tem co jest szczęście, gdzie go szukać należy i jak go znaleźć. Janusz twardo stał przy swoich przekonaniach i daremnie się biedny John wysiłał, aby mu wykazać, że te marzenia, te marne iluzje i teorie były do niczego nieprowadzącą, na niczem się kończącą utopią.

Młodzi udekorowani panicze dawno już opuścili salę, kilka razy zmienilo się towarzystwo podróżnych, a Janusz z przyjacielem wciąż żywą toczą dyskusję. Zwykle zimny i obojętny Janusz rozprawia z zapałem, który chłodzić nie

mogą szyderstwem często zaprawione odpowiedzi i dowodzenia Amerykanina. Pogaszono już światła. Dzień od dawna przez wielkie okna zagląda do sali. Wypalają cygara po cygarach i zapomniawszy o tém gdzie się znajdują z nieustającym ogniem, głośno swoje argumenta wywodzą.

Zbliża się do nich kolejowy Szwajcar.

— Dokąd panowie jadą? — pyta. — Za chwilę odchodzi pociąg do Bodenbach.

— Do Bodenbach! — zawołał John, — któraż to godzina?

— Trzy kwadransy na dziesiątą. Za kwadrans pociąg odchodzi. Panowie do Czech jadą? . .

— Nigdzie nie jedziemy, — sucho rzekł Janusz.

— Januszu, idźmy ztąd w końcu. Już biały dzień.

Dziesiątą, — mówił Amerykanin.

Powstawszy ze swoich miejsc i rozplaciwszy się przy bufecie nasi przyjaciele wyszli z sali, minęli pokój trzeciej klasy i stanęli w drzwiach obszernego, o kamiennej posadzce korytarza.

— Idziesz do siebie? — zapytał John.

— Patrzaj! — nagle zawołał jego towarzysz. — Patrz jaki śliczny, jaki uroczy obrazek!

Na drewnianej ławce pod oknem siedziała stara kobieta. Na plecach jej przymocowany wisiał duży pleciony kosz białym płótnem nakryty. Ubrana była w prostą, wyszarzaną suknię ciemnego koloru. Przy niej siedziała młoda dziewczyna niepospolitej urody; ciemne jej oczy były łzami zalane, a na twarzy świeżej, trochę ogorzałej, płonął powabny rumieniec. Stara kobieta zdawała się coś swojej towarzyszce tłumaczyć. Mówiła spokojnie, ręką

często wskazywała do góry, albo ukradkiem ocierała rzadką, łzę po pomarszczonej twarzy zwolna spływającą.

Patrz, John! Czyż to nie piękne?... To stara matka, która przywiozła córkę do miasta, bo już czas nadszedł aby i ona pomyślała o zapewnieniu sobie niezależnego kawałka chleba. Matka przywiozła dziecko, a jednak boi się tego miasta gdzie się tyle nieznanym ludzi spotyka. Patrz, jak jej gorąco, ale łagodnie tłumaczy niebezpieczeństwa na jakie będzie narażoną teraz, pomiędzy tysiącami zepsutych ludzi, z których może niejeden zechce ją z drogi cnoty sprowadzić... a czeka ją to bez wątpienia, bo piękna... bardzo piękna!... Biedne dziewczę! Za chwilę zadzwonią, matka oddali się, a ono same zostanie, same w tem strasznie i ogromnie mieście. Patrz jak płacze, jaka wzruszona, jak się tuli do matki... Strach mnie ogarnia, gdy sobie pomyślę ile to takich niewinnych i pięknych ofiar wieś miastu co roku, co dnia w daninie dostawia. A jakież losy każdą z nich czekają w tych murach, gdzie się cywilizacja i postęp gromadzą! Na tysiące — jedna może zostanie taką, jaką dom swoich rodziców opuściła... Każdy, nie chcący za idyotę uchodzić, musi chwalić ten postęp i tę cywilizację... A ja ci powiadam, John, że to plaga naszego wieku, że was postęp — to demoralizacja, to trucizna. Przyznaj mi sam, czy nie mam słuszności, gdy wieś i ciche życie na wsi pomiędzy prostymi ludźmi przekładam nad miasta zamieszkałe przez ludzi bardzo cywilizowanych, przyznaję im to najchętniej, ale popsutych do gruntu i przegniłych do szpiku... Nasze polskie dzieje opiewają nam piękną legendę o żarłocznym i okrutnym

smoka, którego z całej okolicy na pożarcie sprowadzać musiano młode dziewczęta. Tym głodnym potworem jest każde miasto, mój przyjacielu.

Zadzwoniono.

Stara kobieta powstawszy z ławki skierowała się ku drzwiom na platformę wiodącym, a młoda dziewczyna pospieszyła za matką. Przeszły obok naszych przyjaciół. Janusz patrzył na nią z zachwytem.

— Powiedz mi, John, czyś kiedykolwiek gdzie spotkał twarz równie piękną i uroczą? O! żadna z tych lalek, które wysnurowane zwijają się po weskokowanych posadzkach, nie sprosta tój ślicznej dziewczynie.

— Rzeczywiście bardzo jest ładna, ale to jeszcze nie wszystko.

— Zapewne... Przyznasz mi, jednak, że się de-  
syć znam na ludziach. Spojrzawszy na nią tylko, mogę  
ciębie zapewnić, że to dziecko poczciwe i niewinne.

— Januszu!... Wyglądasz jakbyś się już kochał.  
Mówisz z dziwnym zapalem, z jakim ciebie, dotąd nigdy  
nie slyszalem mówiącego.

— O! Jeszcze się nie kocham. Muszę ją, pierwej  
poznać i przekonać się czy na kochanie zasługuje.

— Więc nie żartowałeś, gdyś mówił, że u ciebie  
miłość będzie wyrozumowana. W takim razie uczucie to  
już nie będzie miłością, ale raczej jakąś geometryczną  
teorema, która wyprowadzić potrafisz.

Zadzwoniono na platformie. Dał się slyszec prze-



raźliwy świst, i pociąg począł się powoli oddalać. W parę minut potem piękna dziewczyna powracała na korytarz.

Gwałtownie szlochając starała się łzy swoje ukryć za świeżym, jak śnieg białym fartuszkim. Szła wolnym krokiem. Jak na Niemkę i kobietę niskiego stanu — mogła za dość zgrabną; nawet uchodzić; nogi nie miała zbyt wielkie i płaskie, ręce nie bardzo form pozbawione. Wzrostu była średniego. Przeszła obok naszych przyjaciół i podniosłszy głowę spojrziała na nich dużemi, pięknymi oczami, które nieotarte, jeszcze łez pełne, świeciły jak dyamenty.

Dla dokończenia jój portretu, dodać należy, że Gretchen, tak się nazywała, włosy miała jasne, gęste, splecione w warkocze i w koło jój głowy upięte. Jednem słowem, była wcale piękną dziewczyną, a twarz jój, choć nie zbyt inteligentna, bardzo przyjemne na wstępie robiła wrażenie. Usta świeże, krągły zdawały się tylko do uśmiechu stworzone, chociaż w tój chwili zaciśnięte, twarzy jój nadawały wyraz żalości.

— Wcale mi brzydka jak na Niemkę, — odezwał się John tonem znawcy. — Trochę może masywna, ale trudno wymagać od mieszkanek z nad Elby aby były takimi, jakimi ich nigdy matka natura stworzyć nie chciała. Płęcy ma dobrze zaokrąglone, ani za nadto, ani też za mało... Ramiona?... Bardzo mnie to dziwi, ale wyznać muszę, że nie pozostawiają nic do życzenia. Chód jednak trochę ciężki... niby jakiś Herkules stąpa.

— To właśnie dobrze, — rzekł Janusz. — Tak chodzić powinna matka rodziny i gospodyni domu. Ja lubię taki chód. Co mi po tych lekich suwaniach Francuzek i naszych panienek, które nam tylko przypominają płochość kobiety. Ta dziewczyna jest śliczna! . . . Muszę się przekonać, czy moralnie także jest podobna do wynalezionej przezemnie, za pomocą rozmyślań, ideału.

— Coż myślisz robić?

— Pójdę za nią. Chcę wiedzieć gdzie mieszka.

— Nie radzę . . . Pewnie już ją gdzieś na rogu ulicy wyczekuje jakiś pobrzękujący szabelką narzeczony. Każda niemiecka dziewczyna ma swego narzeczonego.

— Tego się nie obawiam. Do widzenia!

— A jeżeli moralnie równie jak i fizycznie do twego ideału podobna? . . .

— Wtedy cię zawiadomię o dniu naszego ślubu, abyś tego dnia nie był w kościele.

— A więc się kryć myślisz?

— Tak jest, dopóki wszystko skończonem nie będzie, a raz po ślubie zaprowadzam teoretycznie wzorowe małżeństwo, jak inni zakładają wzorowe fermy.

— Ładne będą wzory! — rzekł John smutnie kiwając głową. — Żal mi ciebie, Januszu.

— I mnie także, bo się zagadałem, a ona gdzieś znikła. Ale ja ją odzyskam. Do widzenia, John!

I Janusz wybiegł na ulicę aby odzyskać ślady pięknej dziewczyny. John chwilę jeszcze na korytarzu pozostał.

— Biedny chłopiec! — mruknął. — Ilu się już w ten sposób zawiodło! On tylko ich liczbę pomnoży . . . Aż włosy stają ze zgrozy na głowie, gdy sobie przypomnę, że miał różami usianą drogę do szczęścia przed sobą . . . Sam ją odrzucił; zimno, dobrowolnie, z rozwagą zranił serce biednej Zosi, aby za jakąś utopią pogonić . . . Biedny! . . . biedny i szalony! . . .

I John ze zwieszoną głową poszedł w swoją stronę.

---

### ROZDZIAŁ III.

John siedzi na kanapie w swoim niewielkim i niegustownie umeblowanym salonie. Nogi wyciągnięte oparł na stole; na nich jaskrawością kolorów uderzają w oczy miękkie safianowe pantofle. Pali cygaro, wypuszcza wolno z ust kółka błękitnego dymu, ale robi to machinalnie, widocznie ważnemi myślami zaprzątniętą ma głowę. W pokoju pomału się ściemnia, ostatnie promienie słońca znikają, a John nie zdając się nawet uważać, ni widzieć tego co się dzieje dokoła, duma z wzrokiem utkwionym w koniec jasno żółtego pantofla.

Daje się nagle słyszeć pukanie do drzwi.

— *Herein!* — woła John nie ruszając się z miejsca.

Drzwi się uchylają, i wchodzi do pokoju Janusz, ale Janusz uśmiechnięty, wesoly, rozpromieniony.

— A! to ty... — mówi John. — Jak się masz?

Właśnie o tobie myślałem. Nigdzie ciebie nie widać. Twoi rodacy balują aż miło, a ty zupełnie się jak kret zagrzebałeś. Gdzie się obracasz? . . . kilka razy byłem

u ciebie, a nigdy się w domu zastać nie mogłem. Gdzieś się obracał? . . .

Janusz rzucił się na fotel.

— Naprzód, daj mi co palić, a potem tobie wszystko opowiem.

— Więc jest doprawdy coś do opowiedzenia? To smutne! — rzekł Amerykanin przysuwając mu pudełko z cygarami, — a w głosie jego można było zauważyć jakiś niepokój, pewien nawet smutek.

— O! Bardzo wiele! Naprzód . . .

— Naprzód mi powiedz dla jakiej przyczyny ciębie nigdzie nie widać. Każdy mnie o ciebie pyta, a nikomu nie odpowiedzieć nie umiem. Dzisiaj wieczór znowu bal, ogromny bal w saskim hotelu, u pana Ignacego Ke . . . Ko . . . Ka . . . e! mniejsza o to! Nigdy nie spańniętam tych waszych polskich nazwisk . . . a tego pana Ignacego, który ma trzy córki artystki. Przyjdiesz?

— Ani mi to w głowie! — odparł Janusz. — Gdy ciębie o mnie pytają, mów żeś zdziwaczał, żeś się nagłe stał dzikim człowiekiem . . . ludźmiercą — jeżeli chcesz. Powiedz, że do mnie przystąpić nie można; mów co ci przez myśl przejdzie. Nie mogę być w świecie gdzie balują, gdzie się niby bawią, bo bym naturalnie spotkał Zosię, a to by w niej tylko przykre wspomnienia obudzić mogło. Od balu Rokowskich nie widziałem ani jej, ani nikogo z jej towarzystwa. W ten sposób prędzej zapomni. Już trzy tygodnie minęły od czasu naszej rozmowy i nie wątpię że jej kuracja szybkim postępującym krokiem. Ty ją prawie codziennie w świecie musisz spotykać, a znając

cały nasz niewinny romansik, mogłeś robić doskonale studia i spostrzeżenia.

— Rzeczywiście się nie mylisz. Spotykam ją bardzo często bądź wieczorem na balach, bądź też w dzień na ślizgawce. Przez pierwszych trzy dni miała oczy czerwone, a uśmiechu nie można było na jej twarzy dojrzeć. Ja myślę, że już dziś po części zapomniała o niewdzięcznym szaleńcu, a przynajmniej nie rozpacza jak w pierwszych chwilach, bo się uśmiecha jak dawniej, a czasem się nawet bardzo serdecznie śmieje.

— Chwała Bogu! — rzekł Janusz. — Czy się nikt o nią nie stara?

— Owszem. Pan Witold Sa, . . . So . . .

— Satowicz, wiem. To bardzo porządny i dobrze wychowany chłopiec. Ma jedną tylko wadę.

— Ciekawy jestem jaką?

— Nie jest milionerem. Posiada niewielki, dobrze zagospodarowany majątek pod Krakowem. Pominąwszy ten defekt, jest bardzo dobrą partją i chociaż sam żadnego nie posiada tytułu, zkoligacony jest z najpierszymi domami w Krakowskiem . . . Jakże go Zosia przyjmuje?

— Uważałem, że pomiędzy nimi stosunki bardzo są przyjacielskie. Nie dojrzałem u panny Zofii miłości, ale nie wątpię, że kiedyś, zapomniawszy o okrutnym Januszu, pokocha pana Witolda.

— Bardzo pięknie! Osiedlą sobie na wsi i będą gospodarowali. Szkoda tylko, że Witold nie jest bogatym.

— Jak się nimi serdecznie zajmujesz, Januszu! — zawołał śmiejąc się John. — Nie zadziwisz mnie, gdy

im pewnego dnia cały swój majątek darujesz dla polepszenia ich dobrobytu . . . A teraz, opowiedz mi co o sobie.

— Po tom tylko tu przyszedł.

— To grzecznie!

— Wiedz naprzód, zem bardzo szczęśliwy od kiedy z tym światem, z temi tysiącznemi kłamstwami, etykietami i grymasami zerwałem. Z początku wydawało mi się trochę dziwnem, że po teatrze, zamiast iść gdzie na wieczór, wracałem spokojnie do domu, ale wkrótce się do tego tak przyzwyczailem, że już wcale za ludźmi nie tęsknię.

— A ta . . . wiejska różyczka?

— Wiejska różyczka nazywa się Gretchen. Jest rodem z okolic Königssteinu, ma ojca i matkę. Ojciec orze sieje i zbiera, a matka pierze bieliznę i co tydzień z koszem na plecach do Drezna przyjeżdża, odwiedzając przy zręczności piękną swoją córkę. Gretchen pracuje u jakiejś szwaczki z *Trompeterstrasse*, całe dni przy robocie spędza, a wieczory — na swoim poddaszu na *Frauenstrasse*. Nie ma narzeczonego, jak to zapowiadałeś, nie ma nawet znajomych w mieście, nie chodzi w święta do tych piwiarni, gdzie za kilka fenygów można walca przetańczyć, bo wychowana bardzo moralnie i instynktownie stroni od wszelkich zabaw, w których by mogła być narażoną na rozmaite nieprzyjemności. Odebrała nawet pewne religijne wychowanie i nigdy nabożeństwa w święto nie opuści. Chociaż jest protestantką, a zatem, różnymi się w wyznaniach, nie wątpię, że ją bez trudu na swoją wiarę nawrócę, a wtedy wszystko się będzie przedstawiało w jak najświetniejszych kolorach.

— Czy żeś się już z nią może ożenił?

— Zabawny jesteś, John! Poczekaj jeszcze trochę. Dopiero wiem kim jest ta śliczna Gretchen. Znam jej łagodny i miły charakter bo się wywiadywałem na wszystkie strony. Byłem nawet parę razy w Königsteinie dla powzięcia rozmaitych dotyczących jej przeszłości szczegółów, i każdą razą powróciłem zupełnie zadowolonym z odebranych wiadomości.

— Warto było ciebie zamknąć tam w sąsiedztwie na czas jakiś przynajmniej, — rzekł śmiejąc się John i strzepnął popiół z cygara. — Dziwi mnie, żeś przez samą ciekawość nie odwiedził sąsiedniej Pirny, której zakład słynie na całą Europę. Z Königsteinu bardzo blisko do Pirny.

— O! ślepy! zawsze ślepy! — zawołał Janusz. — Bierzesz za szalenstwo rozum, bo przecie wszystkie moje kroki były naprzd mozołnie obmyślane. Nimm zrobił cokolwiek, myślałem i rozważałem. Ale mniejsza o twoje niewczesne dowcipy... opowiadał dalej: Pewnego dnia wybrałem się z wizytą do rodziców pięknej Gretchen. Pocziwi ludziska! Trochę tam śmierdzi w tych ciasnych izdebkach, ale woń cnoty i pocziwości wszystkie inne zapachy zagłusza. Stary jest dosyć typowym i oryginalnym człowiekiem; rzadko bywa w mieście i całą wiejską rubasznosc zachował. Zona — to zaena kobieta! Ma jednak więcej poloru; co tygodnia w Dreźnie bywając, miała dosyć czasu otarcia się o ludzi.

— Z koszem brudnej bielizny na plecach! — dorzucił John.

— Zartuj, zartuj mój kochany! Jestem szczęśliwy, bo bez trudności odszukałem dawno wymarzony . . .



— I wyrachowany z cyrklem ideał. Słyszałem już ten frazes, Januszu.

— Tak jest, John! Znalazłem piękność a przy niej dobroć, cnotę, prawdę i prostotę, czego nie widziałem, nie spotkałem w moim świecie.

— Kiedyż ślub?

— Ach! poczekaj jeszcze! .. trochę cierpliwości! .. Od tygodnia ledwo znam Gretchen. Małom z nią jeszcze rozmawiał i nawet się nie domyśla jakie moje względem niej zamiary. Traktuje mnie bardzo zimno, boi się mnie, widocznie nie zapomniła ostrzeżeń starzej matki. Wczoraj dopiero pozwoliła mi wejść do swojej małej izdebki. Tam prawie nędzę zastałem, ale nędzę niemal powabną. Jak na tęp poddaszu wesoło, chociaż tak bardzo ubogo! Jaka tam wzorowa czystość panuje!

— A sama? .. Gretchen?

— Jak wszystko do koła. Fartuszek zawsze świeży, kołnierzyk oslniewający.

— To mnie dziwi, bo te Niemcy . . .

— Ależ to wzory porządku! — zawołał Janusz z zapożyczeniem, zapominając w tej chwili, że nieraz Niemców przeklinał, nieustannie w nich nieporządek, brak czystości upatrując. — To wzory porządku! — powtórzył.

— Niemka przypomina mi mnie miotkę, — odparł John nadając sobie tony profesora mówiącego z katedry. — Nieustannie coś ściera i zmiata, ale im więcej zmiata i ściera, im czystiej w około niej, tym sama się staje brudniejszą. Czy nie mam słuszności?

— Bardzo to ładne, ale mylne, — odrzekł Fartusz. — Mogłbyś jednak lampę zapalić, bo nie mam nawet przy-

jemności oglądania twojej postaci, a szczególnie twojej miłej, ironicznie uśmiechniętej twarzyczki. Wiele razy patrzę na ciebie zdaje mi się, że widzę satyra, ale bez rogów.

— O te nietrudno i znam kogoś, którego bardzo one korcą, — mruknął John, i zapaliwszy lampę postawił ją na stole. — Powiedz mi, Januszu, czyś zupełnie zdecydowany zrobić głupstwo?

— Naprzód nie uważam tego za głupstwo. Jestem zdecydowanym ożenić się z Małgorzatą Schliess dla poparcia czynem wszystkich moich teorii.

— Kochasz ją?

— Tak. Kocham ją tém uczuciem, które się w moich przekonaniach miłością nazywa.

John zamyślił się. Po chwili, westchnąwszy, zapytał:

— Nie będziesz się gniewał za to co ci powiem?

— Nie żenuj się przyjacielu. — Wiesz przecie, że oddawna sobie takie nieraz prawdy mówimy, żebyśmy je drugiemu płazem nie puścili. Mów, słucham, i naprzód mówię „nie“.

— Januszu! Zaklinam ciebie! Otwórz już raz oczy! Januszu, ty jesteś tym dwudziestoletnim młokosem, który się kocha w jaskrawych spodnicach.

Janusz ruszył ramionami i począł się śmiać wesoło.

— Ja swoje powiedziałem, — rzekł John. — Upzedziłem ciebie, bo mnie obchodzisz, bo jestem twoim przyjacielem. Daléj . . nie mam żadnego prawa . . .

— Nie mam tobie za złe, żeś mnie tak moralizował. Wierzę twojej przyjaźni i twojej prawdziwej dla mnie życzliwości, ale pomimo twoich uwag i twoich morałów przekonani moich nie zmienię, gdyż wierzę w nie jaknaj-

święcej. Nie jestem upartym, wiesz o tem dobrze, lecz ponieważ odkryłem, a raczej wyrachowałem gdzie jest ta droga wiodąca do szczęścia, byłbym szalonym, gdybym wbrew moim przekonaniom chciał kroczyć po innéj dla tego tylko, aby się od innych nie odróżniać. Nie myślę zważać na to co o mnie ludzie powiedzą, nie żenię się dla drugich, jak to każdy inny czyni. Nie biorę żony dla tego, aby ją na balach pokazywać ludziom, aby patrzeć jak jéj każdy nadskakuje, jak każdy z nią tańczy, rozmawia i żartuje. Ja chcę mieć żonę dla siebie, wyłącznie dla siebie i dla moich dzieci. Taką kobietę znalazłszy, ją wezmę za żonę bardzo się mało troszcząc o to, co świat o tém powie i czy mu to się podoba.

— Januszu . . masz matkę. Czy wie o twoich zamiarach.

Janusz się zachmurzył i odparł po chwili:

— Nie wie i nie będzie wiedziała, aż się wszystko skończy; na co ją niepotrzebnie martwić? Siedzi spokojnie w Krakowie, o niczem nie wie i nie słyszy. Gdyby się dowiedziała, że chcę zrobić to, co ludzie mezalijanssem nazywają, bardzo by się zgryzła i mam przekonanie, żeby tu zaraz przybyła w nadziei zaradzenia złemu. Mielibyśmy nieprzyjemne rozmowy, narzekania, prośby, bez których wolę się obejść. Gdy wszystko będzie skończonem, zawiadomię moję matkę o tém, że ma synową i już będzie za późno na te bezskuteczne i przykre dla obojga stron rozmowy i dyskusye.

— A jednak matka by powinna wiedzieć o wszystkim.

— Póki byłem dzieckiem, miałem zwyczaj ze wszy-

stkiego się przed nią zwierzać. To naturalnie z wiekiem ustało. Na wiele rzeczy zupełnie się różnie zapatrujemy. Mam tyle szacunku i uszanowania dla matki, tak ją kocham, że dobrowolnie nie mogę podsuwać tematu do tyśiącznych dyskusyi, nieuniknionych, gdybym jak dawniej chciał jój opowiadać wszystko co myślę i robię. Dziś bardzo się zawsze kochamy, pisujemy do siebie najserdeczniejsze listy, ale nigdy w nich nie znajdziesz wzmianki o kwestyach, które mnie bliżej mogą dotyczyć.

— Może w ten sposób zyskasz trochę spokoju i ciszy, ale to nie jest zachowanie się syna względem matki, — mruknął Amerykanin. — Nie znam twojej matki, a jednak jestem pewnym, że na tém cierpieć musi.

— Wątpię, — odparł Janusz. — Nigdy mi o tém nie wspomina, — i powstawszy z fotelu począł się po pokoju przechadzać. Czoło miał zachmurzone, a na twarzy malował się wyraz nieukontentowania. John nie przerywał jego dumania

— Nie! — rzekł w końcu Janusz, zatrzymując się na środku pokoju. — Nie! . . . Ja nie napiszę do matki, nie mogę tego uczynić; nie pozwala na to rozsądek.

— A serce, Januszu?

— Serce nic nie warto — suchy odparł

Janusz.

I znowu nastąpił

nin, który, spojrzaw

— Już po

— Cóż

— A

ubrać się.

— E! Odłóż to na później. Pogadamy jeszcze.

— Nie mogę. Muszę być na balu o naznaczonej godzinie. Mam wszystkie tańce już zamówione i nie mam prawa się spóźnić.

Janusz uśmiechnął się z politowaniem.

— Niewolniku! — zawołał kiwając głową. — Niewolniku! Patrz na mnie! Jestem wolny jak ptak, bom na zawsze zrzucił z siebie pęta, które każdy z nas dobrowolnie dźwiga na sobie w tym życiu, które raz na siebie włożywszy musi przez długie lata z wymuszonym uśmiechem znosić w milczeniu. Ja miałem odwagę zrzucić je z siebie, ale ty jesteś niewolnikiem i niewolnikiem umrzesz!

— Mam tego nadzieję! — zaśmiał się John wesoło.

— To bardzo przyjemna niewola.

— Jak co kto lubi! — mruknął Janusz, i dość zimno pożegnawszy przyjaciela opuścił jego mieszkanie.

— Mogę bez kłamania powiedzieć każdemu, że biedny mój przyjaciel zdziwaczał... Biedny! Nie wiem nawet czy jest dla niego ratunek, — myślał smucąc się Amerykanin.

\* \* \*

...wał  
...ó  
...ra  
...wo  
...u,  
...tku  
...ę

...iódł licznie  
...kolonii  
...co da  
...jak  
...bez  
...am, g  
...ryse

...nych w Dre-  
...doskonałe,  
...olskie to-  
...epędzenia  
...ch zawsze  
...ystwo jest  
...sobą wi-

o

dując wieczorem, spotykając się po kilka razy na dzień na ulicy, na wizytach albo w magazynach. Znali się jaknajlepiej. Kojarzyły się związki, zawierały się przyjaźnie i, pomimo teorii Janusza, mało kto był zmuszonym do odegrywania komedyi. Dokoła panowała swoboda a z nią naturalnie szła w parze wesołość.

Wszyscy się dziwili z początku, że na żadnym balu spotkać nie było można pana Madzickiego. Damy szczególnie, napróżno sobie głowę łamały aby, odgadnąć dla jakiej przyczyny młody, dobrze wychowany i dowcipny człowiek przestał nagle uczęszczać na bale i oddawać w mieście wizyty. Każdy widział dobrze, że Janusz Drezna nie opuścił; spotykano go czasem na ulicy, ale się nawet nie zatrzymywał dla zamienienia kilku słów, kłaniał się z pośpiechem jeżeli mu się nie udało przejść nie postrzeżonym, i uciekał co prędzej jakby miał jakie pilne interesa. John najskrupulatniej mówił każdemu, że jego przyjaciel zdziwaczał.

Tymczasem Janusz rozumując, rachując i rozważając wierzył bardzo szczerze w to, że znajdzie szczęście, gdy się z piękną Gretchen ożeni. Już mu Amerykanin przestał dokuczać, przestał go strofować i moralizować, przekonawszy się, że jego zabiegi na nic się nie zdadzą.

Janusz regularnie co dzień się przechadzał pod oknami magazynu, w którym pracował jego wyrozumowany ideał, a Gretchen uśmiechała się za swoim oknem, gdyż jej nie mogło być obojętnem to, że ją *ein polnischer Graf* zauważyć raczył. Im dłużej zostawała w Dreźnie, tem więcej ulatywały jej z pamięci poźegnalne przestrogi stariej matki. W magazynie miała kilka koleżanek

a każda z nich zaręczona, po skończonej robocie spieszyła, aby ze swoim narzeczonym resztę dnia wesoło spędzić. Czemużby Gretchen nie miała pójść za ich przykładem?... Uspiona dotąd ambicya wskazywała jej modne i elegancko ubranego Janusza. I często uśmiech dawał się spostrzedz na jej pięknej twarzy, gdy pochylona nad robotą, poddawała się kuszącym ambitnym marzeniom.

Janusz w początkach zrzadka chodził do jej mieszkania; obawiał się, aby prosta, ale uczciwa i prawa dziewczyna, zauważywszy jego natarczywość i źle ją sobie wytłumaczywszy, z rąk mu się nie wymknęła.

— Biedne dziecko! — myślał nieraz. — Może się mnie boi, bom porządnie ubrany, bo wyglądam jak człowiek z wyższej sfery. Może się obawia, że jak tyłu innych to czyni, zechcę wystąpić w roli szatana kusiciela, gdyż mnie podobni ludzie dla tego się jedynie wdają, z temi biednymi dziewczętami ze wsi. Muszę ją do siebie oswoić, ale zwolna, aby jej nie spłoszyć. Muszę ją przekonać widując ją, rozmawiając z nią, że odemnie żadnego złego słowa nigdy nie usłyszy, ale owszem — we mnie będzie miała wiernego i pewnego opiekuna.

I podczas gdy inni młodzi ludzie biegali z wizytami, tańczyli i zamawiali sobie kotyliony i mazury, Janusz, z nieklamana litością o nich myśląc, bawił się po swojemu. Począł coraz częściej bywać u ładnej dziewczyny, coraz dłuższe chwile spędzał z nią na rozmowach. O czem mówili — trudno powiedzieć, bo Gretchen żadnego nie miała wykształcenia, ledwo czytać i pisać umiała. Nawet w gronie równych sobie wieśniaków nie mogła pretendować do wielkiego dowcipu, a jednak to

cieszyło i bawiło Janusza. Rozrzewniał się słuchając jég naiwnych, często nawet głupich zapytań. Cieszył się jak dziecko, powtarzając: „to ideał żony, gospodyni i matki... to ideał za którym przez tyle lat gonilem... naiwna, prosta i dobra... więcej mi nie trzeba!”

Pewnego dnia powrócił do domu w nadzwyczajnie wesołym humorze. Śmiał się, poświstywał i nucił. Nie bez powodów tak się weselił. Gretchen obiecała mu bez wahania, że mu odda swoją rękę, że zostanie panią Januszową Sreniawa-Madzicką.

W nieoświetlonym pokoju Janusza siedział John, według zwyczaju rozwalony na kanapie, z nogami spoczywającymi na stole. Janusz otworzył drzwi, a spostrzegłszy gościa, zatrzymał się w progu i wesoło zawołał:

— Nogi ciębie zdradzają! Ślicznie się ich profil rysuje na oknie oświetlonym od ulicy. Serce moje nie wie nawet na jakie zakolatać ma *tempo*! Raduje się z niespodziewanej wizyty. Opowiedz człowieku z nadwód Mississipi czy ma zabić na *tempo* skoczego walca, czy też szalonego galopa. O! Powiedz, powiedz obywatelu potężnych Zjednoczonych Stanów w jaki sposób ciębie uczcić wypada.

John słuchał przez czas jakiś, i przerwał w końcu słowa przyjaciela, mówiąc:

— Jesteś dziś poetyczny, jakby jaki nieudany Don Kiszot. Uczcij mnie cygarem i zapaloną lampą. Nie mogłem znaleźć zapalek.

— Prozaiczny młodzieńcze, stanie się twojej woli załość. Bardzo tobie jestem wdzięczny, żeś o mnie nie zapomniał. Myślałem nawet o tem aby pójść do ciębie,



gdyż potrzebuję podzielić się z przyjacielem wesołą nowiną.

— Cóż?... może z swoją Duleynea zerwałeś? — zapytał John.

— Nie zupełnie.

— Cóż więc?

— Oświadczyłem się jój podług wszelkich form, od jakich się przyzwoity człowiek uwolnić nie może. Prośba moja została przyjęta. Gretchen będzie moją żoną.

— Raczyla się na to zgodzić? — spytał Amerykanin z ironią.

— Raczyla. Nie śmieję się, mój drogi. Była chwila, w której zwątpiłem o tem czy dopnę przedsięwziętego celu. Zdawało mi się, że mnie Gretchen nie kocha i — nigdy moją zostać nie zechce.

— Mój drogi Januszu! — zawołał John. — Przyznaj żeś skłamał w tej chwili.

— Nie, John. Zaręczam ci to pod słowem honoru. John zerwał się na równe nogi.

— Jakto! Nie skłamałeś?... Wiesz, że ciebie poznać nie mogę! O! co się stało z tego szyderskiego, dosyć dotąd jasnovidzącego Janusza! — wołał kiwając głową. — Doszedł do tego, że nie wie czy prosta, wiejska dziewczyna zechce pójść za niego! Januszu, ty sobie drwisz ze mnie.

— Nie, nie, mój kochany. Mówię bardzo poważnie. Jój towarzystwo dobry tylko wpływ na mnie wywarło. Stałem się równie jak ona naiwny i prosty. Kto wie?...

możęym nawet przy zručności potrafił zarumienić się jak ona.

— Czy kocha ciebie przynajmniej?

— Tak, mówiła mnie, że mnie kocha i jestem przekonany, że gdyby było inaczej toby się nigdy nie skłoniła do wysłuchania mojej prośby. Kocha mnie tak jak ja ją Kocham....

— Skutkiem wyrachowań, — dorzucił Amerykanin.

— Nie... bo jęj tak serce każe. Głowa mnie powiedziała, że ją mam kochać, a potem już tylko serce mówiło. Dziś, chociażbym nawet nie miał o nięj tak wysokiego wyobrażenia, nie mógłbym nic innego zrobić jak tylko u nóg jęj złożyć nazwisko i rękę. Dziś ją tylko sercem Kocham.

— Często ją widzujesz?

— Co dnia.

— Co dnia! To straszna rzecz! — zawołał John. —

A o czemże z sobą rozmawiacie? O czemże ty, rozumny, wykształcony i dowcipny, możesz z biedną chłopką rozmawiać?

— O czem?... Dwie osoby, które się prawdziwie Kochają nie potrzebują suszyć sobie głowy dla wynajdywania przedmiotów do miłej gawędy. Gdybym jęj nie kochał, — nie wiedziałbym jak z nią rozmawiać, nie wiedziałbym nawet co jęj powiedzieć. Kocham, — a godziny upływają mi przy nięj jakby minuty. Pojmujesz mnie John?

— Jeszcze jedno pytanie, Januszu....

— Proszę cię... nie rób ceremonii.

— Kiedyż ślub?



— Zaraz po Wielkiéjnocy.

— Tu w Dreźnie?

— Nie... w Czechach, w Niedergrund albo Bodenbach... niedaleko, skromnie i cicho.

— A teraz mam prośbę do ciebie, Januszu.

— Słucham.

— Odkłóć ślub do jesieni.

— Wiem już do czego zdążasz. Masz nadzieję, że do téj pory zerwę z biedną Gretchen, że mnie zbrzydnie i znudzi. Gdybym zaręczywszy się z sobą z mojego towarzystwa chciał z nią zerwać bez ważnych powodów, postąpiłbym niecie, sam mi to przyznasz. Cóżbyś myślał o tem, gdybym w ten sposób miał oszukać biedną i naiwną dziewczynę, która mnie zaufała i która mnie całym sercem kocha. Zaliczyłybyś mnie do rzędu tych paniczów, którzy kłamanemi obietnicami ludzi tylko umieją dziewczęta, którzy je oszukując w sposób ohydny chcieliby ich trwożliwość i brak zaufania pokonać. Gdybym i ja miał tak postąpić — sam byś mnie pierwszy nazwał podłym. Nie chcę się kalać i mam zamiar nadal pozostać uczciwym człowiekiem. Ślub nasz odbędzie się zaraz po świętach, — im prędzej, tem lepiej i chciałbym, aby to wszystko już było skończone. Biedna moja Gretchen!... Chcieliby nas rozdzielić, ale to się nikomu nie uda. Kochamy się i nie zważając na złość nieprzyjaciół nam ludzi, naprzekór im będziemy żyli szczęśliwie.

John słuchał słów przyjaciela i mimowoli nasuwała mu się myśl, że może Janusz ze swemi dość dziwnymi teoryjami potrafi być przy boku Gretchen szczęśliwym.

— Co zrobisz jutro wieczorem? — zapytał Janusz.

— Naturalnie baluję. Wszak jutro tłusty wtorek. Młodzież wydaje bal, aby podziękować damom za mile z nimi ubiegły karnawał. Ja także do tego balu należę, i mam już wszystkie tańce naprzód zamówione.

— Ja chciałem... — zaczął Janusz.

— Co?... mów....

— Chciałem ciebie zaprowadzić do mojej narzeczonej. Jak ją poznasz, to ci się oczy otworzą, i zobaczysz jakie się nieraz skarby ukrywają, na nędznych poddaszach.

— Idę na bal, — odparł John wymawiając się.

— O której?

— O szóstej wieczorem, bo już o północy tańce ustaną.

— A zatem, przyjdź do mnie przed piątą, i razem do Gretchen pójdziemy. Chciałbym abyś ją poznał.

John zamyślił się i odrzekł po chwili:

— Zgoda Januszu. Uczynię to dla ciebie i dla siebie zarazem. Jestem tej dziewczyny ciekawy. Może zmienię moje przekonania gdy ją poznam.

— Dziękuję ci, mój kochany! — zawołał Janusz. Ściskając dłoń przyjaciela.

— Muszę ją zobaczyć, — myślał John. — Może doprawdy potrafi uszczęśliwić tego dziwaka wbrew wszelkim moim przewidywaniom.

— Cóż robi Zosia? — zapytał Janusz przerywając milczenie. — Dawno już o niej wiadomości nie miałem.

— Pan Witold nie przestaje być u jej rodziców i wytańcowywać z nią na wszystkich balach. Państwo Rokowscy bardzo go sobie życzą, podobno dla córki, a panną Zofia coraz weselsza i z coraz większą przyjemno-

ścią zdaje się z nim rozmawiać i żartować. Już w Dreźnie o tém bąkają.

— I wybąkają.... zobaczysz! — rzekł Janusz. — To bardzo porządny chłopiec, ten Witold. Znam jego od dawna. Wart Zosi a Zosia jego. — Czy jest kto z nowo przybyłych Polaków w Dreźnie?

— Są jakieś nowe figury. Naturalnie nazwisk nie pamiętam. O ciebie się zawsze wszyscy dopytują z zajęciem. Każdemu mówię, żeś nagle zdziwaczał, i że się na pustelnika kierujesz. Nie gniewasz się za to?

— Bynajmniej, — odparł śmiejąc się Janusz.

Nazajutrz o piątą wieczorem nasi przyjaciele wspinali się po ciemnych i niewygodnych wschodach wiodących na poddasze, na którym Gretchen mieszkała.

Powitała Janusza z uśmiechem, ale spostrzegłszy stojącego za nim Amerykanina, z zadziwieniem na narzuczonego spojrzała.

— To mój przyjaciel, dla którego nie mam żadnych tajemnic. Przeprowadziłem go z sobą, aby ciebie poznał.

Gretchen dygnęła dosyć niezgrabnie, co wywołało uśmiech na twarz Janusza. Zwrócił się do przyjaciela i rzekł po angielsku:

— A co?... Jak idealnie prosta i niezgrabna!

Dziewczyna otarła fartuszką stół i parę krzesel, poczem poprosiła gości aby usiedli. Nastąpiło długie milczenie. Im dłużej trwało tem nieprzyjemniej na każdym ciężyło. Janusz kręcił się niespokojnie na swoim krześle i po raz pierwszy może nie wiedział jak zacząć rozmowę. Kłopotał się o to co mu wypadało powiedzieć.

— Jak dzisiaj zimno, — rzekła w końcu Gretchen.

I znowu nastąpiło milczenie. Zdawało się, że się Janusz swojego głosu obawiał. John śmiał się w duchu z téj całej sceny, ale także milczał nieustannie, to na Janusza to na jego narzeczoną szyderskie rzucając spojżenia.

W końcu Janusz się na kilka słów zdobył.

— John! — rzekł z wymuszonym uśmiechem na twarzy. — Przyprawdzam cię do mojej przyszłej żony, a ty jak mruk milczysz. To nieładnie.

— Nie chcę przerywać twojej zajmującej rozmowy, Januszu. Naturalną jest rzeczą, że w obec dwojga kochanków obcy człowiek stara się dyskretnie usunąć i zostawać na boku.

Janusz się serdecznie roześmiał, a Gretchen przyłączyła się po chwili do niego. Głos miała dźwięczny, przyjemny i śmiech jój wcale uszów nie raził.

Po téj uwadze Amerykanina rozmowa stała się nie ożywioną, ale przynajmniej dość znośnie kulejącą. Mówiono o mrozie, ciepłe o niewygodnych wschodach, o tém że Frauenstrasse nie może być nawet porównaną do Wilsdrufferstrasse, a w końcu znowu powrócono na temat mrozu. A jednak, chociaż już rozmawiano, Janusz nie czuł się zadowolonym; wstydził się przyjaciela, wstydził się nawet Gretchen. W końcu rzekł po angielsku;

— John! Wszyscy trzej wyglądamy jak głupcy.... Tyś temu przyczyną.... Poznałeś ją, widzisz jaka prosta, szczerą i miłą, widzisz jaka ładna. Dosyć będzie na dzisiaj.... Chodźmy już sobie ztąd.

— Chodźmy! — rzekł John i powstał z krzesła. —

Albo, może ja sam pójde... Ty zostań z nią i nie rób ze mną żadnych ceremonii.

— Ja pójde z tobą, — rzekł Janusz, i pożegnawszy Gretchen, dosyć zadziwioną, tak krótką wizytą, zbliżył się do drzwi.

Tymczasem John kłaniał się z uszanowaniem przed narzeczoną przyjaciela. Uśmiechnęła się i podała mu rękę bez żadnej ceremonii. John był już na bal ubrany, miał białe rękawiczki i zawahał się przez chwilę, i w końcu zdecydował się bardzo lekko ścisnąć końce palców młodej dziewczyny.

— Ja przyjde jutro, — rzekł Janusz i wyszedł do sieni. John za nim pospieszył i zaraz go zapytał:

— Czegozes z nią, nie został? Doprawdy jest bardzo sympatyczna. Co ona sobie pomyśli, żeś ją tak porzucił.

— Nie jestem dziś w humorze, John... Żałuję że cię przyprowadził; sam sobie cały wieczór popsulem. Jeżeli z nią, sam na sam umiem godzinami rozmawiać, ty — nie potrafisz, a ja w twojej obecności także się na nic wysadzić nie umiem. Żenujesz mnie... słowa znaleźć nie mogę... mięszam się...

— Ale nie... — uspokajał go John. — Przeciwnie uważałem, żeś z wielką znajomością rzeczy mówił o Wilsdrufferstrasse.

— John. Daj pokój drwinkom — odparł śmiejąc się Janusz. — Powiedźże mi jak się tobie podoba? — zapytał po chwili.

— Ładna, wygląda na pocziwą dziewczynę, ale... chłopka! — i Amerykanin zlekka się skrzywił.

— To najmniejsza rzecz.... Czy mogę być z nią szczęśliwym, John?

Hm! Hm, Januszu. Myślę, że...

— Że tak! Prawda?

— Odpowiem ci szczerze. Raz zerwawszy z tym światem, nawet ze starą Europą, zamieszkawszy z nią jako plantator w naszych odludnych sawanach, lub — niezgłębionych dziewiczych lasach, przy zajęciu fizycznym, przy pracy, mógłbyś z pewnością z nią najszczęśliwsze dni spędzić. W Europie, wśród ludzi sobie równych, w pośród tysiącznych dawnych wspomnień i coraz nowych pokus — nie wiem, wątpię....

— A więc przyznajesz, że mógłbym jednak być szczęśliwym?

— Tak Januszu, na pustyni, w roli nowego Robinsona. Na pustyni mógłbym być nawet z Hotentotką szczęśliwym.

— Ja sobie zrobię w Europie pustynię, a zaręczam cię, że te pokusy, ci ludzie, te wspomnienia, o których mówisz, najmniejszego nawet wrażenia nie będą sprawiały. W centrum Europy będę miał cichą pustynię, a w ciszy znajdę szczęście.

— Czegoż tak dbasz o tę Europę, kiedy nie chcesz mieć do czynienia z jej mieszkańcami. Jedź lepiej w nasze sawany, w nasze odludne lasy.

— Nie, tego nie uczynię. Nie chciałbym się tak od świata dobrowolnie oddalać. Lubię książki, sztuki piękne, wszystko mnie zajmuje wyjąwszy samych ludzi. Kiedyś po moim ślubie, odwiedzisz mnie w moim gniazdku, a zobaczysz dwoje ludzi prawdziwie szczęśliwych; może sam wtedy zamarzysz o tém, aby uwolniwszy się raz od tych



uciażliwych więzów światowych, osiąść gdzie w jakim głuchym zakątku, przy boku ładnej, naiwnej i dobrej wieśniaczki. Wtedy dopiero poznasz szczęście, John, szczęście nieklamane, proste, prawdziwe!

— Mnóstwo przymiotników! sam się w nie zaplątałeś. Tak się zapalasz, żeś omal mnie nie nawrócił do swoich przekonań. Januszu! — zaśmiał się John ironicznie.

— John! Masz strasznie wiele Mefistofelesowskich tendencji. Śmiejesz się ze wszystkiego, wszystko chciałbyś wyszydzić, ale pomimo twych żartów, zostaję przy moich przekonaniach, a zobaczysz sam jak będę szczęśliwym! Trudno o tém mówić zawczasu, ale za kilka lat . . . zobaczysz!

— Daj to Boże! — westchnął Amerykanin. — Jeżeli nie ma wyjścia z téj całej brzydkiej historii, niechże tak będzie przynajmniej. Żal mi jednak ciebie, Januszu.

— Żadnego nie ma wyjścia, John, ale chociażby nawet jakie było — nie zechcę z niego korzystać. Ożenię się dla tego samego, aby ludziom pokazać, że się mylą gdy ze zgorzeniem o mezalijansach rozprawiają, chcę ludziom pokazać, że są głupcami.

— Strasznie dużo odwagi, albo . . . uporu, — rzekł John.

— Chodźmy gdzie na kawę! — zagadnął Janusz po chwili.

— O! nie mogę. Pora na bal. Dobranoc.

— Zostań ze mną, przyjacielu. Będę się nudził sam jeden.

— Powracaj do Gretchen, albo, chodź ze mną, na

bal. Powitają cię jak gdybyś zmartwychwstał. Radość będzie ogromna. Chodź, Januszu.

— Nie . . . nie . . . Zerwałem przecie ze światem,  
— odparł Janusz szybko. — Sambyś mnie wyśmiał  
gdybym się dał namówić. Nie pójdę.

— Cieszyłbym się tylko.

— Nie, John, nie. Zresztą nie mam prawa, Zosia...

— Powita ciebie jakby starego przyjaciela. Zaręczę ci, że już dawno zapomniała o swoich nie-  
szczęściach.

— Nie, John. Kiedy nie chcesz zostać ze mną, to ja ciebie pożegnaj. Dobranoc! — I Janusz oddalił się spiesznym krokiem. Sam przed sobą nie chciał wyznać, że się oddalił ze smutkiem, że nawet zazdrościł przyjacielowi tego balu, gdzieby tyle miłych osób zobaczył, gdzieby mógł przyjemnie parę godzin przepędzić. Przyszedł do siebie niekontent, a sam nie wiedział dla czego. Wziął książkę do ręki, zaczął czytać, ale go czytanie nie mogło rozerwać. Położył się do łóżka, lecz nie mógł zasnąć od razu. Kręcił się niespokojnie i przewracał, nim w końcu znużonemu sen zamknął powieki.

Śniło mu się w nocy, że był na balu, że go wszyscy radośnie witali, że się doskonale bawił dopóki nie weszła do sali młoda kobieta, w której poznał swoją narzeczoną. Wszyscy na nią ze śmiechem patrzeli, bo była ubogo ubrana. Każdy się Janusza o nią wypytywał, a nie miał odwagi w obec tylu ludzi nazwać ją swoją narzeczoną, i gdy Gretchen z uśmiechem się zbliżyła do niego, gdy wyciągnąwszy szorstką i spracowaną rękę chciała go powitać, on ją odtrącił od siebie i wybiegł

do drugiego pokoju, aby się ukryć przed nią. Ale ona za nim pobiegła, począł znowu uciekać, ona go wszędzie ścigała. W końcu tem ściganiem przyprowadzony do rozpacz, Janusz okno otworzył, wyskoczył i ... obudził się.

Długo nie umiał sobie zdać sprawy z tego co się z nim stało i gdzie się znajdował. W końcu, powoli począł do przytomności powracać, i sen jego niemiły stanął mu jasno w pamięci:

— Biedna, biedna Gretchen! — westchnął.


## R O Z D Z I A Ł IV.

Pewnej kwietniowej niedzieli słońce jasno świeciło nad czarnem, zakopconem Dreznem. Każdy jego mieszkaniec obudziwszy się tworzył najrozmaitsze projekta, aby się gdzie z rodziną, lub znajomymi wybrać na wieś, na świeże powietrze. W te piękne wesole słoneczne dni całe Drezno zwykle wysypuje się do ckołicznych wiosek, wtedy gdy mieszkańce wsi przeciwnie, tłumnie Drezno najechawszy obchodzą kościoły, kawiarnie, muzea i przez dzień jeden w mieście po całotygodniowej, ciężkiej pracy szukają wytchnienia. Koło drugiej już prawie żadnego Drezdeńczyka nie zastaniesz w mieście. Wynieśli się całymi taborami, a każdy nieżonaty mężczyzna wyprowadził swoją wystrojoną, kołyszącą się na płaskich nogach narzeczoną, w pięknie się zieleniące pola i ogrody. Jedni zdążają do Strehlen, drudzy do Räcknitz, inni znowu spieszą do Plauen, lub do górzystego Loschwitz ze słynną kawiarnią *Zum Weissen Hirsch*, gdzie się tak wesóło i dobrze zabawić można, gdzie muzyka gra, a piękna sala zda się zapraszać do tańca. Jedni lubią wieść, kufel piwa

na świeżem powietrzu, lubią patrzeć na odżywającą roślinność, na roztwierające się pączki drzew, a drudzy znów chcą towarzystwa i tańców, chcą na wsi miejskich rozrywek skosztować. Wszystko to znaleźć można w okolicach Drezna, a każdy spieszy, byleby się wyrwać z ciasnych i brudnych ulic, byle już po tym nieznośnym bruku nie stąpać. Jakże wesoło wyglądają dostawiające gości do okolicznych browarów i kawiarni, omnibusy gęsto zaludnione wystrojonymi Niemcami i Niemkami! Na twarzy każdego igra spokojny uśmiech, każdy sady się na dowcipy, a sam się z nich tak serdecznie śmieje, że i drudzy mu towarzyszyć muszą. Słyszą krzyki, wołania, żarty z -przechodniów, a ci, jeżeli Niemcy — śmieją się, jeżeli zaś cudzoziemcy — udają że nie słyszą. Niemieckie dowcipy mają tę specyjalność, że nie są zdolne rozweselić cudzoziemca, ale za to swoi, jak serdecznie, jak nieprzymuszenie się śmieją!

Każda dziewczyna, każda matka lub żona ostrożnie, przed wyjściem z domu, wsuwa do kieszeni spory pakiet starannie w papier zawinięty. Tam obok zaczętej pończochy zwykle się znajdzie kawał kielbasy, szynki albo cielęciny, który przeznaczony na uprzyjemnienie wesołej pogadanki. Silny, misterny, i skomplikowany aromat z wnętrza kieszeni wydziela.

O trzeciej godzinie ulice zupełnie już puste, chyba gdzie niegdzie wałęsa się poziewający tragarz, lub jaka kucharka, której nie wolno na dłuższy czas oddalić się z miasta. Spieszy więc do pobliskiego browaru i tam, przy dźwiękach muzyki, zwieszona na ramieniu chwilo-

wego *Schatza* zapomina o tysiącznych codziennych kłopotach.

— Śliczny dzień! — myślał Janusz powracając z kościoła.

— Jakże pachnie wiosną do koła. Wesole mamy święta. Pójdę do Gretchen aby ją na przechadzkę namówić. Zaprowadzę ją do Grossgartenu; niedzielne koncerta już rozpoczęte, i bardzo przyjemnie kilka godzin spędzimy na świeżem powietrzu.

Zastał Gretchen w domu. Wystrojona była w zieloną wełnianą suknię, w której, chociaż ani gustowną, ani arcydziełem nie była, piękne dziewczę urocze na swoim narzeczonym sprawiła wrażenie. Popatrzał na nią z uśmiechem zadowolenia i rzekł do niej witając ją czule:

— Gretchen. Weź kapelusz, pójdziemy na spacer.

Oczy jój radośnie się zaiskrzyły. Schwyciła kapelusz wołając:

— Jestem już gotowa. Nie mógłś zrobić mi większej przyjemności, Januszu. Z taką radością odetchnę świeżem powietrzem. Chodźmy, mój drogi.

Janusz podał jój ramię i wesole zesli ze wschodów.

— Mam nadzieję, że nikogo nie spotkamy — dumiał. — O ile znam moich rodaków, — nie lubią wychodzić w niedzielę, gdyż to *mauvais genre*. Będę mógł spokojnie rozkoszować się mojem szczęściem, przebyć chwil kilka przy jój boku, i słuchając dobrej muzyki pełną piersią napić się trochę świeżego, balsamicznego powietrza, o które w Dreźnie dość trudno.

Szli żwawym krokiem, a zielona, fałdzista suknia Gretchen nieustannie się płacząc, fantastycznie się drapo-

wała odrzucana co chwilę to wprawo to wlewo. To *bon-genre* nie było i Janusz nic jój o tém nie mówiąc nieznacznie zwolnił kroku i zauważył po chwili z zadowoleniem, że wolniej się poruszając Gretchen prawie przyzwocie wyglądała. Ale wnet przyszło mu na myśl, że on, filozof, tak głośno zwykle deklamujący przeciwko światowym więzom, których człowiek niewolnikiem się staje, sam, chociaż zerwał ze światem i jego próżnościami, dotąd się z nich jeszcze nie otrząsnął zupełnie. Wstyd mu się siebie samego zrobiło i nagle znowu wielkim krokiem pospieszył. Gretchen nic nie rozumiejąc szła za nim w milczeniu. Już się do Grossgartenu zbliżali. Dolatywały do nich dźwięki wojskowej muzyki, i dziewczę mile się uśmiechało, bo jak każda Niemka, Gretchen lubiła muzykę. Uśmiechała się wdzięcznie z kokieteryą główkę na ramię Janusza przechyliwszy, a im się więcej zbliżali, tem się bardziej czuła wzruszoną romantyczna dziewczyna, tém czuliej głowę do ramienia narzeczonego tuliła.

— Jakże ona mnie kocha! — myślał Janusz. — Jakże i ja ją Kocham!

Weszli w końcu w zagrodę gdzie stały rozrzucone stoliki i krzesła; na boku w altanie grała muzyka. Janusz uważnie się do koła rozglądnął, — nikogo ze znajomych nie było. Upatrzwszy zatem wolny stolik podszedł do niego i przy nim się usadowił ze swoją narzeczoną. Gretchen była do tego stopnia rozmarzoną, że zapomniała na chwilę o zwiniętej w kieszeni robótce. Gdy ją w końcu dostała, Janusz ujrzał ze zgorzaniem, że przedstawiała rozpoczętą pończochę.

— Co to takiego? — zapytał z nieukontentowaniem.

— Pończocha... zaczęłam ją dla ciebie... chcę aby wszystkie pończochy, które będziesz nosił były moją ręką zrobione, — rzekła Gretchen i czule zawróciła oczami.

Janusz oglądał się na wszystkie strony. Dookoła siedzące Niemki zajęte były robotami, a po nieustannym ruchu palców i błyskaniu drutów można było odgadnąć, że robią pończochy.

— Nie ma nikogo ze znajomych, — pomyślał Janusz. — Niech się bawi swoją robotą, Niemcy jój nie wyśmieją. — I dodał głośno: — Bardzo mi miło, że tak o mnie pamiętasz, moja droga Gretchen. Bardzo tobie za to dziękuję.

Gretchen wesoło się uśmiechnąwszy poczęła szybko wywijać drutami. Janusz przywołał służącego i kazał sobie przynieść kawy; Gretchen poprosiła o piwo i bułkę, na co się skrzywił jój narzeczony. Nie miała eleganckich zachceń, ale.. no! mniejsza o to! Sami Niemcy do koła... I Janusz starał siebie uspokoić.

— Nikt nie będzie widział... Dziwna to rzecz! Sam się na siebie gniewam, ale nie potrafiłem do téj pory otrząsnąć się z tych głupich przesądów. A jednak pora, już dawno pora..... Chciałbym aby już było po ślubie, chciałbym już gdzieś na ustroniu pędzić z moją Gretchen to wymarzone ciche, wiejskie życie. Ach! Jeszcze dwa tygodnie, nim opuścimy miasto. Im bliżej tego pożądanego terminu, tem się każdy dzień dłuższym wydaje.

Gdy tak Janusz z Gretchen słuchali w Grossgartenie muzyki, w salonie państwa Rokowskich zebrane było dość liczne towarzystwo. Były panny Ignacówny dotąd, choć





już bez potrzeby przez Rokowskich protegowane, gdyż poważna cyfra ich posagów każdemu już dobrze była wiadomą. Uśmiechał się gdzieś w kącie sympatyczny pan Emil, znajdował się tam także nasz znajomy Amerykanin John James. Pan Witold Satowicz nie odstępował Zosi; uważali się już prawie za zaręczonych. Witold co dnia do państwa Rokowskich przychodził i całe godziny w ich gościnnym salonie przepędzał. Gdy pewnego dnia Zosię o jej rękę poprosił nie bardzo się zdawała wahać z odpowiedzią. Bez namysłu prawie odrzekła, że tak uczyni, jak papa i mama rozkażą, a uśmiechała się jak gdyby naprzód odgadła jakiego rodzaju będą rozkazy rodziców. Posłuszny pan Witold zwrócił się ze swoją prośbą do państwa Rokowskich, wezwano Zosię do salonu i oznajmiono jej, że jeżeli tylko tego pragnie, wolno jej swoją rękę oddać panu Satowiczowi. Zosia wiele ceremonii nie robiąc, zlekka się zarumieniła, spuściła piękną główkę i dźwięcznym głosem odrzekła: „dobrze“.

Zebrani goście nie wiedzą co z sobą robić. Tak pachnie rozkoszna wiosna, ale nikt nie śmie nawet zaproponować przechadzki, bo niedziela — to dzień wyrobników. Niech się bawią, niech jej używają ile im się tylko podoba, ale ponieważ wyrobnicy trochę się może nadto hałaśliwie bawić lubią, trzeba w domu zostawać odłożywszy spacer na dzień powszedni, bo to nawet nie jest *Comme il faut* włączyć się w święta po spacerach.

Ale pan Rokowski zawołał:

— Panie i panowie... proponuję wam..

— Co? co? — zawołano do koła.

— *Allons nous encanailler quelquepart!* Chodźmy

gdzie na spacer jakby jacy Niemcy. Czas tak piękny, słońce tak wesoło świeci, że trudno jest w domu usiedzieć!.. Trzeba z wiosennej pogody korzystać.

— Zgoda! — zawołano prawie jednomyślnie, bo już projekt spaceru w święto nikomu się gorszącym nie zdawał, skoro go wnosił taki *gentleman* jak pan Rokowski.

Muzyka gra jakąś piękną uwerturę; Gretchen bardzo robotą zajęta zapomniała o niedopitym kufiu piwa, w koło którego żółcieją pokruszone kawałki bułki. Janusz wpadł w jakąś zadumę, słucha muzyki; tak jest zamyślony, że nawet nie widzi co się w koło niego dzieje. Duma o przyszłym szczęściu, o niedalekim już dniu, w którym z Gretchen połączy się na wieki, o rozkoszy tego cichego, spokojnego życia — celu wszystkich jego długoletnich marzeń. Muzyka gra coraz silniej, takt przyspieszony, po kilku zgrabnych i lekkich *arpeggiach* następuje szereg dźwięcznych, jednolitych akordów ścigających się po nierównościach chromatycznych tonów, i po chwili nastaje cisza; skończyli grać. Janusz podnosi głowę....

Przed nim, o kilka kroków zaledwo stoją osoby, o których by chciał zapomnieć, które znał jeszcze niedawno. Przed nim — państwo Rokowscy, pan Ignacy z córkami, uśmiechnięty i zawsze sympatyczny pan Emil, John i kilka innych jeszcze osób. Na przedzie stoi Zosia, śliczna, świeża, rumiana, a przy niej — pan Witold. Jedni zajęci wyszukaniem swobodnego stołu, a drudzy ze zdziwieniem patrzą na Janusza. I Zosia patrzy na niego.

— Co tu robić? Uciekać?... nie podobna!... taki ścisk dokoła.... Janusz poczuł jak mu krew uderzyła do głowy. Byłby chciał, aby się ziemia pod nim zapadła.

Drżący schylił głowę, udając że nie poznaje nikogo. Gretchen, która nic nie widziała, przerwawszy na chwilę swoją robotę i ułamawszy kawałek bułki swojemi czerwonymi, spracowanemi rękami, poczęła go jeść z apetytem, poczem się zwróciła do niego i czule patrząc mu w oczy poufale poklepała po ramieniu i rzekła z westchnieniem:

— Prawda jakie to ładne, co oni grali. Szkoda że już skończyli, — i dalej go miłośnie po ramieniu klepała.

Na szczęście Janusza wypadło mu z ręki cygaro; począł je szukać pod stołem, a gdy podniósł głowę po chwili — nie było już przed nim nikogo. Odetchnął. Obejrzał się bardzo ostrożnie. Całe towarzystwo siedziało o kilka kroków za nim przy stole. Zapewne o nim mówić musieli, zapewne z niego się śmiali.

— Schowaj swoją robotę! — rzekł ostro do Gretchen.

Ale ona go nie słyszała. Długim stalowym drutem wskazując na Zosię głośno wykrzyknęła:

— Patrz, jaka śliczna panna! Zobacz jak ładnie ubrana.

— Schowaj swoją robotę! — gniewnie ale przytłumionym głosem powtórzył Janusz.

Spojrzała ze zdziwieniem na niego, i przestraszyła się dostrzegłszy gniew w jego oczach. Zwinęła swoją pończochę, włożyła ją do kieszeni i odparła z żalem:

— Szkoda! Już ją kończyłam. To ósma para. Wkrótce będziesz miał cały tuzin.

Janusz spojrział na nią.

— Szkaradnie ubrana! — mruknął półgłosem. — Co oni sobie myślą? John im nie powie kto to taki. Trzeba

ich ztąd wykurzyć, bo choć nie widzę, czuję jak na mnie ciekawie i szydersko patrzą.

I Janusz zamyślił się. Po chwili, wyjął cygarnicę z kieszeni, otworzył ją i z brzydkim uśmiechem zapytał dziewczyny:

— Paliałś kiedy, Gretchen?

— Kiedyś próbowałam, — odparła zdziwiona.

— I cóż? — zapytał Janusz.

— Nic... to mi się dosyć podobało.

— Masz, Gretchen Zapal papierosa. Proszę cię...

Gretchen się zaśmiała.

— Jakto? — rzekła. — Tutaj? Ależ to nie uchodzi.

— Owszem, to bardzo ładnie. Proszę cię, moja Gretchen, zapal papierosa. Zrobisz mi tem wielką przyjemność.

Gretchen zawsze się śmiejąc wzięła podawanego jój papierosa, przyłożyła do ust i zapaliła.

Tymczasem Janusz zatrzymawszy mimo przechodzącego *kellnera* kazał mu przynieść butelkę szampana. Służący bardzo się nisko skłonił, bo mało kto w skromnej restauracyi pytał o tak drogie wino, i pobiegł aby rozkaz wypełnić.

— Jakiś cudzoziemiec, — mruknął, — bo nikt inny szampana nie pija! — I uśmiechnął się znacząco, rzuciwszy na Gretchen ukośne spojrzenie. — Wcale nie brzydka! — pomyślał.

Po chwili powracał z butelką w ręku, a wnet głośny wystrzał korka zwiastował licznie zebrany tłumom, że ktoś, w Grossgartenie, pije musujące, francuzkie, w Niemczech fabrykowane wino.

— Może się jakoś w ten sposób wydzwignę z nieprzyjemnej historii, — myślał Janusz, i lżej mu się zrobiło na sercu.

Nie szczędził wina ni sobie ni Gretchen. Starał się ją rozweselić, starał się ją pobudzić do głośnego śmiechu. O to było nie trudno. Śmiała się najserdeczniej, tak że się wszyscy na nią oglądali. W końcu się już bardzo rozbrykawszy poczęła ciakać na narzeczonego spore okruchy bułki. Co kraj — to obyczaj, — i Niemki umieją kokietować mężczyzn, ale żarty ich niezmaszalną noszą cechę ojczyzny, która je zrodziła.

Zaraz potem, Janusz ujrzał z radością, jak się po za drzewami przesunęli jego znajomi. Dopiął swego celu, wypędził ich od razu.

— No! poszli sobie w końcu! — myślał. — Chciałbym jednak, być już po ślubie, na wsi.... Tu jestem co chwilę narażony na podobne nieprzyjemności. Dotąd się uspokoić nie mogę. To niespodziewane spotkanie bardzo mnie zmieszalo. Po ślubie już nie wrócę do Drezna.

Jeszcze nad świeżo doznanymi wrażeniami rozmyślał, gdy uczuł, że go ktoś w ramię trącił. Obrócił się. Przed nim stał jego przyjaciel, ale jakiś smutny i zagniewany.

— John! Jak się masz! Bardzo się cieszę żeś został! — zawołał Janusz radośnie.

— Januszu, — odparł Amerykanin, — nie poznałem ciebie dzisiaj. Gdzież jest ta twoja cywilna odwaga? Gdzie ta pogarda świata i przesądów, które sam nieznosnymi więzami nazywasz?

— Nie rozumiem ciebie, John.

— Rozumiesz mnie. Zareczyłeś się z tą dziewczyną.



przyszedłeś z nią odetchnąć świeżem powietrzem. Nie ma w tem wszystkim nic złego. Ale wytłumacz mnie, co miało znaczyć to wino, to gwałtowne prawie przymuszenie jej aby paliła? Co to znaczy, Januszu?

Janusz spuścił głowę i nic nie odpowiedział.

Byłeś ohydny, byłeś potwornym, — rzekł John.

— Chciałem się pozbyć moich rodaków. Powiedz mi, John, co ty byś na mojem miejscu uczynił?

— Naprzód, nigdybym nie był na twojem miejscu. W każdym jednak razie, nie kazałbym téj, która ma zostać moją żoną, która ma nosić moje nazwisko, aby odegrała rolę awanturnicy.

— Jestem jeszcze, niestety niewolnikiem światowych przesądów, — rzekł Janusz ze słabem westchnieniem. — Postąpiłem bardzo źle, bardzo nieszlachetnie, wyznaję to najpokorniej. Ale kto temu winien? . . . Wy! wasz świat, wasze głupie poglądy. Gdyby nie one, nigdyby mi podobna myśl nie była przyszła do głowy.

— A teraz, do widzenia, — rzekł John. — Wypowiedziałem to co mi na sercu ciążyło, wymoralizowałem cię poraż może ostatni. Nigdy nie myślałem że mi się kiedyś przyjdzie ująć za tą dziewczyną. Żegnaj cię, Januszu.

— Zostań, John, proszę cię . . .

— Nie. Po tem, czego byłem świadkiem nie mam ochoty z tobą dłużej zostawać. — I John oddalił się szybkim krokiem.

— Ostatni, z którym miałem jeszcze stosunki porzucił mnie, — dumał Janusz. — Już go pewnie nie zobaczę. To boli.. to bardzo boli.. to był wierny przyjaciel.

Żal mi go, będzie mi brakował . . . No! mniejsza o to. Wszak zupełnie zerwałem z moim światem. Może i lepiej, że już nikogo z niego widywać nie będę. On był ostatnim węzłem wiążącym mnie do mojego towarzystwa . . — potem dodał głośno: — Gretchen. Słońce zachodzi. Trzeba nam wracać do miasta.

— Zostańmy jeszcze, Januszu. Oni grać nie skończyli, — prosiła przymilając się młoda dziewczyna.

Janusz powstał z krzesła i słowa nie mówiąc podał jej rękę. Posłuszna, jak zwykle, poszła za nim wzdychając.

— Kiedy się kończy twój miesiąc w tym magazynie? zapytał Janusz po długim milczeniu.

— Za dwa tygodnie. W dzień naszego ślubu.

— Jutro już tam nie powrócisz, Gretchen.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Jutro pojedziesz do Königsteinu, do rodziców. Tam aż do ślubu zostaniesz.

— Nie będziemy się widywali, Januszu?

— Ja tam przyjadę. Trzeba abyś się swoją rodziną nacieszyła, bo jak zostaniesz moją żoną, sam nie wiem gdzie zamieszkamy. Kłaniaj się wszystkim odemnie i powiedz, że przyjadę w Sobotę.

— Dopiero w Sobotę! — westchnęła Gretchen.

— Tak jest. Będę miał dużo zajęcia.

— Rób jak chcesz, Januszu. Tęskno mi będzie za tobą . . Tu się codziennie widzujemy, a tam na wsi . . . Jakże mi się ta wieś dziwną wyda po gwarnem Dreznie. Myślę, że będę musiała przyzwyczajać się do niej, taka się ze mnie teraz miejska dama zrobiła.

— Rzeczywiście . . . nadzwyczajnie . . . — ironicznie mruknął Janusz.

— Jaki śliczny wieczór! — mówiła z zachwytem Gretchen, w której wiosenne powietrze i szampańskie wino obudziły dotąd uspioną poetyczną, żyłkę. — Jakże pachnie powietrze! To tak przyjemnie kochać . . . ta wiosna, jakby umyślnie dla kochania tylko stworzona . . . — i cisnęła się do ramienia narzeczonego. Janusz słuchał z pewnem rozewnieniem tych słów prostą tchnących szczerością, a im dłużej mówiła, tem się bardziej rozjaśniały jego myśli. Kochał ją, i powzięte postanowienie zaślubienia jój z każdą chwilą wzrastało. Był w takim nastroju, że gdyby nie tylko Rokowscy, ale całe polskie Drezno chciało na niego patrzeć w téj chwili, chciało się z niego wyśmiewać, byłby miał odwagę przejść z głową podniesioną i wszystkim głośno objawić, że jest Gretchen jego narzeczoną, że za dwa tygodnie panią Madzicką zostanie.

Przyprowadziwszy Gretchen do domu został przy niej. Parę godzin przed otwartem okienkiem jój ubogiego mieszkania na swobodnej i wesołej gawędzie spędzili. Kochali się.

— Mniejsza o wszystko! — myślał Janusz powracając do domu. — Nie wiem czy jest kto w Dreźnie, równie jak ja szczęśliwy. Jeszcze dwa tygodnie, nim ją nazwę swoją . . . zupełnie swoją.

Janusz zastał w domu list od matki. Ten go zgryzł trochę. Dowiedziała się z boku, bo najgłębsza tajemnica długo się ukryć na tém świecie nie może, że syn jój żeni się, a ona, matka nie o tém dotąd nie wiedziała! Jakże to ją bolało! Nie znała nawet imienia przyszłej swojej



synowój, wtenczas, kiedy ją zapewniano, że już dzień ślubu naznaczony. Co to miało znaczyć? Dla czego się Janusz tak przed matką 'ukrywał? Dla czego się taił w tak niezrozumiały sposób?... i t. d.

Janusz usiadł do pisania. W kwadrans potem list był już gotów. Nie był długi, nie był czuły, ani przyjemny.

— Droga matko! — pisał. — Rozmaici ludzie rozmaicie widzą szczęście. Ja jego szukam w spokoju, prostocie, i znalazłem je. Przyszła moja żona Gretchen, jest ubogą, wiejską dziewczyną. Ładna, cnotliwa i dobra... Przy jój boku, zerwawszy stosunki z głupim, próżnym i fałszywym światem, znajdę prawdziwe szczęście. Nie donosiłem o tém, gdyż mam przekonanie, żebyśmy się z sobą, zgodzić nie mogli, jak się w wielu rzeczach nie zgadzamy. Na nieszczęście, za wczesnie doszła ta wiadomość uszu kochanej matki, bo się obawiam tysięcznych starań przeszkodzenia mnie w wykonaniu mojego zamiaru, i reflektowania mnie póki czas jeszcze. Na nic to się wszystko nie przyda i dla uniknienia matce i sobie nieprzyjemnych dyskusyi, wyjeżdżam jutro z Drezna. Nikt nie będzie wiedział dokąd się udaję, bo od dwóch miesięcy nikogo już nie widuję. Ślub mój nie odbędzie się w Dreźnie. Matka dobrze pojmie dla czego jój nie zapraszam. Będzie bowiem na nim zebrana rodzina mojej narzeczonej, składająca się z wieśniaków, ludzi prostych, ale zacnych i poczeiwych. Naturalną jest rzeczą, że sobie nie życzę, aby moja matka znajdowała się choćby przez chwilę w towarzystwie tych ludzi.

Ściskam rączki matki serdecznie

przywiązany syn

Janusz. —

I sam się obawiając wrażenia, jakie na nim odczytanie własnego listu sprawić mogło, pospiesznie go do koperty wsunawszy i zapieczętowawszy, Janusz wybiegł na ulicę i drżącą, od wzruszenia ręką, wrzucił list do pocztowej puszki.

— No! Stało się! — pomyślał. — Już mi lżej teraz; nie mogę listu zawrócić; pójdzie w swoją drogę.. trochę może nadto suchy, ale obawiam się moich wzruszeń. List trochę tkliwszy byłby otworzył drogę do tych niemiłych parlamentacyi, których się boję, które biedną matkę równie jak i mnie najniepotrzebniej tylko wymęczą.

---

## ROZDZIAŁ V.

Minęło dwa tygodnie. W wagonie trzeciej klasy z pędem i świstem od Königssteinu ku Czechom ciągnionym siedzi liczne towarzystwo. Wszyscy mają wesołe, odświeżone stroje i twarze, wszyscy się widocznie radują. Między młodzieżą, w nowój, skromnej sukience siedzi przesliczna i rozpromieniona Gretchen. Oczy trzyma wstydliwie spuszczone i rumieni się co chwilę, gdy która z dziewcząt, albo jeden z młodych chłopców zaryzykuje jakiś dowcip bardzo wątpliwego smaku. Za parę godzin będzie już żoną tego imponującego i eleganckiego Janusza, który na nią zwrócić raczył uwagę, który ją tak silnie pokochał. Towarzyszki zazdroszczą szczęśliwej Gretchen. Pod wesołą urodziła się gwiazdą, kiedy ją taki świetny los spotkał, kiedy zdołała takiego Pana oczarować. Nikt, oprócz jej rodziny, nie zna Janusza, i najrozmaicięj go sobie wyobrażają. Wypytuja dziewczę o niego, pytają

czy piękny, młody, bogaty... i tym podobne jój zadają pytania. Najwięcej jednak cieszą się rodzice panny młodej. Opowiadają każdemu, kto ich tylko chce słuchać, o Januszu, o tem że jest szlachcicem, że nosi piękny tytuł, że nadzwyczajnie bogaty, bo zawsze jeździ pierwszą klasą, a ze wszystkiego jasno widać jak się ze szczęścia córki radują.

Pociąg już minął granicę i zwalnając biegu zatrzymał się przed skromnym dworcem w Niedergrund, gdzie w katolickim kościele proboszcz ma pobłogosławić młodą parę. Każdy żałuje, że polski hrabia nie wybrał niedzieli na dzień swego ślubu, lub téż innego dnia świątecznego, bo każdy włożywszy na siebie najpiękniejsze suknie, chciałby je skromnym Niedergrundczykom pokazać. Tymczasem wioska zdaje się być zupełnie pustą, a wszyscy jój mieszkańcy od rana w polu na robocie.

— Cóż, moja Gretchen, — pyta stary ojciec. — Będziemy tu, czy w kościele oczekiwali na twego pana *von.... von....* zapomniałem. Jak każesz tak zrobimy. Dziś, w dniu tak uroczystym powinnaś ty nam rozkazywać.

— Zostańmy tutaj, — rzekła Gretchen.

— Kiedy pociąg z Pragi przyjeżdża? — zapytał jeden z weselnych gości jakiegoś urzędnika przechadzającego się po platformie.

— Za pół godziny, — była odpowiedź.

Poczęto się przechadzać. Gretchen usiadła na ławce, a dziewczęta ją okrążyły dokoła.

— Czy on ciebie bardzo kocha? — pytała jedna.

— Dokąd ciebie po ślubie zawiezie?

— Ty o nas nie zapomnisz, choć zostaniesz hrabiną?

— Napisziesz czasem do mnie?...

I tym podobne sypały się pytania.

— Wyobrażam sobie jaka się z ciebie zrobi wielka pani! — zawołała młoda, nie bardzo ładna, ale dosyć zazdrosna dziewczyna. Jak włożysz aksamity i jedwabie zapomnisz o nas, a gdyby która z nas chciała wtedy przyjść do ciebie nie przyjęłabyś jój, nie poznałabyś nawet. Ty będziesz pewnie w wielkiem mieście mieszkała, będziesz jeździła na bale, do teatrów, będziesz znała wszystkie bogate i tytułowane osoby w mieście. Ach! Jakżeż ty będziesz szczęśliwą! Zupełnie o nas zapomnisz... bo cóż jesteśmy?... biedne chłopki, a ty będziesz panią hrabiną.

Nagle Gretchen zerwała się z miejsca.

— Słyszycie? — zawołała radośnie.

— Co?...

— Pociąg nadjeżdża. Słyszałam świst lokomotywy.

W kilka minut później, za każdym obrotem kół zwalniając biegu przed platformą, stawał pociąg idący z Pragi. W oknie wagonu pierwszej klasy widać było Janusza.

— Patrzcie! To on! — zawołała Gretchen.

I wszyscy nadbiegli aby się panu młodemu przypatrzeć.

— Tutaj czekaliście! — rzekł Janusz do Gretchen. — Myślałem że was zastanę w kościele. — Był trochę niekontent.

— Ja chciałam zostać, aby ciebie prędkiej zobaczyć! — odparła Gretchen z łagodnym uśmiechem.

Podbiegł do Janusza przyszył teś jego, schwycił

go za rękę i poczuwszy gwałtownie nią wstrząsać zawołał:

— To on! hrabia!... mój zięć!...

Janusz był bardzo zmięszany. Przez okna wagonu ciekawie wyglądali posażerowie. Janusz to spostrzegł i rzekł:

— Nie traćmy czasu. Idźmy do kościoła.

Począwszy wzięwszy Gretchen pod rękę spiesznym krokiem opuścił platformę. Za nim pospieszyli goście, a kto został w Niedergrund mógł widzieć cały weselny orszak tak wspaniały, jakiego dawno już w lichy nie widziano wioszczyńie. Co to osób było!... Jakie hoże dziewczęta!... Jak z miejska postrojoni młodzieńcy!...

Weszli parami do skromnego kościoła. Janusz poprowadził Gretchen prosto przed ołtarz. Już się miał do zakrystyi udać dla wyszukania księdza, gdy nagle ujrzał zbliżającą się do niego, czarno ubraną, z twarzą grubym woalem zasłoniętą, damę. Za nią szedł zwolna jego przyjaciel Amerykanin. Dama podniosła woal.

— Matka! — zawołał Janusz

— Tak, ja, — rzekła smutnie pani Madzicka. — Nie chciałeś mnie na swój ślub prosić, ale ja przyjechałam.. Chcę być przytomną... — i spojrzała na Gretchen.

— To twoja żona? — zapytała.

— Tak, matko. Dobra, cnotliwa i prosta. Taką sobie wymarzyłem i taką mieć będę.

— Kochasz ją?

— Kocham.

— A ona?

— Także mnie kocha.

— Januszu Czy twoje przedsięwzięcie rzeczywiście jest tak stanowcze?... Jeszcze czas, — zastanów się.

— Najzupełniej stanowcze.

Pani Madzicka westchnęła.

— Przyjechałam za późno. Wczoraj dopiero, dzięki usłudze twego przyjaciela dowiedziałam się, że dziś ma się tutaj odbyć twój ślub. Przybyłam aby, jeżeli się zerwać nie uda, pobłogosławić cię przynajmniej. Błogosławieństwo matki ustali twoje przyszłe szczęście. — I głos pani Madzickiej trząsł się od wielkiego wzruszenia. Duże nieotarte łzy spływały jęj wolno po twarzy.

Janusz schwycił Gretchen za rękę, i klękając przyciągnął ją, dając znak aby przy nim uklękła.

— Niech was Bóg błogosławi, jak ja was błogosławię. — rzekła, płacząc prawie, matka.

Gdy powstali, wzięła Gretchen za rękę i odezwała się do niej łagodnym głosem:

— Od dziś dnia będziesz moją córką. Pamiętaj aby był z tobą szczęśliwym... To moje jedyne dziecko.

Gretchen ucałowała rękę pani Madzickiej.

— Ja jego tak kocham! — rzekła prosto.

— Widocznie Bóg tego chce! — Widocznie tego chce, kiedy do tego dopuścił. Niech się dzieje jego święta wola. Okropnie na tem cierpię, Januszu, ale rób jak się tobie podoba, — mówiła pani Madzicka zwróciwszy się do syna. — Biedne moje dziecko!... — I nagle zapłakawszy schwyciła go za szyję i poczęła tulić do siebie,

W pół godziny potem proboszcz z Niedergrund błogosławił nowożeńców. Janusz był bardzo wzruszony

i drżącym, ale donośnym głosem wykonywał swoje przysięgę. Gretchen zachowywała się dosyć wesoło podczas obrządku, a za jej przykładem — rodzice, krewni i sproszeni goście.

W niewielkim kościółku rozlegały się łkania pani Madzickiej. Gdy wszystko było skończone, gdy Janusz stanął już jako mąż Gretchen przed Bogiem i ludźmi, zbliżyła się do niego matka z zapytaniem:

— Co myślisz z sobą, robić?

— Muszę tu zostać. Obstałowałem ucztę dla tych ludzi w miejscowej gospodzie, i będę musiał z moją.... żoną, przy niej asystować. Inaczej by się na mnie mogli poobrażać.

— Nie o to cię pytam, Januszu.... Jakie masz nadal projekta?

— Kupię tu gdzie w Czechach jaki domek i osiadę w nim na resztę życia.

— Czemużbyś nie wrócił do kraju? Tambyś mógł spokojnie na wsi pędzić życie, a ja bym cię przynajmniej czasem mogła widywać.

— Nie, matko. Tam mnie wszyscy znają, tam by się każdy przypatrywał mojej żonie z niedyskretną ciekawością, a ja bym tego nie przeniósł, i chcę zostać tutaj, bo mnie tu nikt nie znał dawniej. Do kraju nie wrócę tak samo jak się już w Dreźnie nigdy więcej nie pokażę. Zerwałem z moim światem na zawsze.

— A więc gdzie i kiedy cię zobaczę, Januszu?

— O! nie zapomnę o matce. Ja matkę w lecie odwiedzę.



— Z nią? .. — zapytała pani Madzicka wskazując na synowę.

— Nie, sam przyjadę. Czegóżbym ją miał wozić?

— Żegnam ciebie, Januszu. Pisuj czasem do mnie.

— Będę zawsze o tém pamiętał, a listy moje będą częste i długie, bo w nich szczęście swoje opisywać będę, — rzekł Janusz całując rękę matki. — Czy matka powraca do Krakowa?

— Tak, prosto. Twój przyjaciel tak dobry, że mnie zechce odprowadzić na dworzec.

John podał jęj z uszanowaniem ramię.

— Żegnam ciebie Januszu, — powtórzyła wstrzymując się od płaczu, — żegnam cię . . .

— Matka się na mnie nie gniewa? . . .

— Wszystko przebaczam. Jestem matką . . . A ty, moje dziecko, — dodała zwracając się do Gretchen, — nie zapomnij tego o co ciebie prosiłam. Kochaj go i staraj się aby był z tobą szczęśliwym. O to nie trudno, ty to zrobisz. — I ucałowała swoją synową w czoło, poczem spuściwszy woal, wsparta na rękę zacnego Amerykanina odeszła niepewnym krokiem.

— Biedna matka! — myślał Janusz, śledząc za nią oczyma. — Jakże zmieniona! Wygląda jakby odchorowała wiadomość o mojem ożenieniu. A jednak przyjechała, żeby mnie pobłogosławić . . . żebym bez jęj błogosławieństwa nie ważył się iść przed ółtarz Boga! — I Januszowi zakręciły się łyzy w oczach.

— Czego twoja matka taka smutna? zapytała go Gretchen z zajęciem.

— Ty tego nie zrozumiesz, moje śliczne dziecko,

odparł z uśmiechem Janusz całując ją w czoło. I dodał głośno zwróciwszy się do zebranych gości:

— A teraz, proszę was wszystkich na obiad. Proszę tędy. — Poczem idąc naprzód z żoną, poprowadził orszak do niedalekiego *gasthausu*. Tam zastali już stół na trzydzieści osób nakryty.

— Jak to ten polski *Graf* wszystko slicznie umie urządzić! — myślał niejeden z zachwytem.

Na stole wznosiły się bukiety z kwiatami, które po niewielkiej i niskiej izbie przyjemną, woń roznosiły. Stało i kilka butelek wina, a każdy z gości ciekawie im się przypatrywał. Naprzód się delektowano na myśl smacznego obiadu. Gospodarz domu stary, zniemczały Czech, jego żona i młoda służąca w świąteczne poumierani stroje z dobrodusznym uśmiechem uprzejmie i gościnnie witali przybywających. Nie jeden z gości wypytywał gospodarza o obiad, o ilość i rodzaj potraw, mających w dniu tak uroczystym na jego stole wystąpić. Kobiety z zachwytem słuchały wykrzykując od czasu do czasu, jakgdyby się im w głowie pomieścić nie mogło, że tyle naraz doskonałości oglądać i jeść będą. Janusz nie wypuszczając ręki Gretchen patrzył przez czas niejaki z uśmiechem na tę naiwną scenę.

— Jakże oni szczęśliwi! — myślał. — Jakże im mało potrzeba! Już się cieszą, już się radują na myśl nędznego obiadu, na jaki zdobyć się potrafił gospodarz tej dziury. Może i ja z czasem, gdy z podobnymi ludźmi pożyję, nie będę więcej wymagał aby już być zupełnie szczęśliwym . . a wtedy mi nie do życzenia nie pozostanie. Przekouam ludzi, że nie należy szukać szczęścia

w pałacach, na świecących posadzkach, ale pod strzechami wieśniaków, na prostej niemalowanej podłodze. Pocziwi ludziska! . . . uwielbiam ich i zginam przed ich prostotą kolano! . . .

Stary gospodarz zbliżył się do Janusza.

— Obiad już gotów, — rzekł z uprzejmym uśmiechem. — Czy pan każe podawać?

— Można, — odparł Janusz. — Siadajcie, proszę, — dodał zwróciwszy się do przytomnych. — Niech każdy siada gdzie chce i przy kim mu się podoba. Niechaj swoboda panuje dokoła.

I sam usiadłszy na krześle, Gretchen usadowił przy sobie.

Długo trwały wrzawa, weselość i krzyki; długo suwano krzesłami nim każdy sobie znalazł dogodne miejsce za stołem. Jedni woleli pomieścić się na szarym końcu, aby spokojnie i z należną uwagą przystąpić do obiadu, który się zapowiadał tak świetnie. Drugim znowu szło o dobranie sobie stosownego towarzystwa, — starsi trzymali się razem, a młodzież osobno. Co to było śmiechu, gdy dwóch młodzieńców musiało z sobą wojować dla zdobycia miejsca przy boku hożej Idy, córki dość mającego młynarza z okolic Königsteinu. Obawiając się, aby nie przyszło do bójki na seryo, dla pogodzenia walczących zapaśników Ida między nimi usiadła. W końcu nastąpiła stosunkowa cisza, — wniesiono zupę. Gospodarz domu stał przy bufecie a jego żona wraz ze służącą, roznosiły talerze i potrawy, które, od doskonałości dalekie, zupełnie zadowolniały niewybredne podniebienia żarłocznych gości. Janusz nie mógł się dosyć nacieszyć widokiem zgłodnia-

łych Niemców, bez żadnej ceremonii chciwie pożerających podawane im przysmaki. Nie jeden sobie palcami w jedzeniu pomagał, nie jeden, pomimo leżącej przy talerzu serwety, obrusem sobie usta ocierał. Każdy jadł jak umiał i jak chciał, prosto, swobodnie, nie spętany tysiącznymi zwyczajami, bez których człowiek w świecie za źle wychowanego uchodzi, bez których, choćby był najpocziwszym i najszlachetniejszym z ludzi, do samej śmierci napiętnowanym przez świat pozostanie, co zawsze Janusza silnie oburzało.

Chociaż rozlewane wina bardzo złemi nie były, Niemcy tęsknili za piwem. Każdy się obzierał, wzrokiem szukając ukochanych kufelków. Chwalono wprawdzie wina, wypijano do dna kielichy, klaskano językiem w znak zadowolenia, ale każdy wdychał za piwem, nad którym nie mógł przyznać winom wyższości.

Janusz to się przypatrywał gościom, to znów zajęty był piękną, rozpromienioną żoną. Co chwilę pod obrusem jego ręki szukała, i ścisnęła ją z wruszeniem, nie mogąc słów znaleźć na wypowiedzenie swojego szczęścia. Janusz uściśnieniem odpowiadał na te oznaki miłości, szeptał jej, że ją kocha, że ją wiecznie kochać będzie, że jedne ma tylko jeszcze marzenie, to jest widzieć się już wreszcie w tym wymarzonem, cichem, wiejskiem ustroniu, być sam jeden z nią jedną, ale być u siebie, w chacie nawet, lecz w swojej własnej chacie.

Gretchen uśmiechała się słuchając słów jego. Na słowo „kocham“ mówiła „kocham“, na słowa „na wieki“, odpowiadała „na wieki“. Tak im mile czas schodził, że się ani spostrzegli, gdy stary, wielki, ścienny zegar wybił

trzecią godzinę. Obiad miał się już ku końcowi. Podano ostatnią potrawę. Była to remem oblana, paląca się legomina. Słowa nie starczą dla opisanja szumnój radości, z jaką ją powitali przytomni.

Wstano, wreszcie od stołu, i każdy upatrzwszy sobie swobodne miejsce usiadł aby po tak obfitym obiedzie wypocząć, przez chwilę.

— Dwanaście! — szeptala jakaś poważna staruszka ciężko się na wolne krzesło rzucając, — Dwanaście!... Cały tuzin!... Żem się téż podobnej chwili w życiu doczekała!... Dwanaście! — westchnęła. — Dwanaście!

— Co dwanaście? — zapytano.

— Potraw! — mruknęła staruszka, i po chwili głowę skłoniwszy drzemać poczęła.

Tymczasem poczęto kawę z mlekiem po sali roznosić. Żaden Niemiec nie wytrzymał na widok tak nęcący, i pomimo dwunastu pochłoniętych potraw, pomimo nużącego upału, każdy się bardzo chętnie filiżankę kawy posilił. Janusz zauważywszy, że niejeden już dobył porcelanowej fajki, z kieszeni, wszystkich dokoła, poczęstował niezłemi cygarami, i rozpoczęła się dosyć ogólna, ale zawsze prosta i naiwna rozmowa. Nie było można słyszeć tych wstrętnych, wielkoświatowych ploteczek, ale za to proste, z serca płynące wyrazy: „złodziej, szelma, osioł“ i wiele innych jeszcze. Janusz jednak zdawał się być głuchym. Słuchając toczącej się rozmowy sam w niej tylko piękne upatrywał strony, a zresztą zdawał się więcej z żoną, niż gośćmi zajętym.

Tymczasem w pokoju pootwierano okna dla odświeżenia powietrza, gdyż gorąco stawało się nieznośniejsem

z każdą chwilą, a rozmaite potrawy, każda ze swoim charakterystycznym zapachem najniegodniej woń kwiatów przygłuszyły oddawna.

Gospodarz zbliżył się do Jannusza:

— Muzykanci już przyszli. Czy Pan sobie życzy, aby się tutaj tańce odbyły, czy też w ogródku... Mam duży plac równy, gładki, i tam na świeżem powietrzu nieraz w święta tańczą.

— Welabym aby tańczono w ogródku, ale nie wiem co na to moi goście powiedzą. Panowie, panie... rzekł podnosząc głos, — muzyka czeka na wasze rozkazy... Gdzie chcecie tańczyć?... tu, czy na dworze?

— Tu!... w sali!... naturalnie tutaj! — zawołano dokoła.

Janusz mocno się zdziwił słysząc, że nie chciano tańczyć na świeżem powietrzu. Rzekł cicho do żony:

— Tu będzie gorąco. Lepiej na dworze.

Gretchen skrzywiła się.

— Na dworze? — zapytała. — To dobre po robocie, ale w takim dniu jak dzisiejszy, w tych pięknych strojach nie można się bawić jak chłopci.

— Niech muzyka wejdzie! — zawołał Janusz dosyć niechętnie i pomyślał w duchu: — I ci prostacy mają swoje pretensye! Powdziewali świąteczne stroje i nie chcieliby, aby ich wzięto za chłopów. Komedye!... śmieszne komedye!... Więcej, w każdym razie, niewinne od tych, na które nieraz w wielkim świecie patrzymy!... Zawsze jednak komedye. Chciałbym, aby ci ludzie już sobie ztąd odeszli... Chciałbym już sam jeden z moją Gretchen

pozostać. Biedne dziecko! Jakże ją te wszystkie ceremonie i wzruszenia musiały dzisiaj wymęczyć.

Na dźwięki starego, powolnego walca, ruszyło kilka par z miejsca; tańczyli ciężko, niezgrabnie i pomału przeskakując z nogi na nogę. Z pod stóp tancerzy unosiły się kłęby dławiącej kurzawy

— Na dworze by to nie raziło. Nie słyszano by nawet tego nieznośnego hałasu, — myślał Janusz patrzący z niechęcią na obracające się pary. — Ale i oni chcą jakieś role odegrywać, i godność ich nie pozwala aby swobodnie na murawie hasali. Saksonia nadto jest ludną, nadto w niej wiele miast, które jak zwykle najszkodliwszy wpływ wywierają na wiejskich mieszkańcach. Bardzo się cieszę, że wybrałem Czechy na mieszkanie. W Saksonii bym się tylko niepotrzebnie irytował.

Gorąco wzmagało się w izbie pomimo szeroko otwartych okien. Twarze obecnych świeciły się jak słońce, ale tańczono zapamiętale, bez przerwy, bez chwili wytochnienia. Nawet podochoceni starzy, puścili się w płąsy. Gospodarz domu obracał w koło starą matkę Gretchen, gdy ojciec jej podskakiwał dość raźnie, uczepliwszy się grubszą talią pani gospodarzowej. Młoda służąca stojąc w drzwiach ciekawie się tańcom przypatrywała, ale na jej twarzy malował się jakiś smutek.

— Czemu nie tańczysz? — zapytał ją Janusz.

Spojrzała na niego zdziwiona.

— Ja tu przecie służę. Nikt ze mną tańczyć nie zechce.

— Zobaczymy to, — żywo odparł Janusz, i nim

się zdołała opatrzyć już nią, prędko w takt muzyki w koło pokoju obracał.

Wszyscy od razu spostrzegli, że *Herr Graf* ze służącą tańczy. Poczęto się trochę gorszyć z początku, ale gdy Janusz swoje koło skończył, za jego przykładem podeszło do niej kilku mężczyzn, a przez resztę balu uradowana dziewczyna już prawie nie spoczęła na chwilę. Przesady były zwalczone.

— Głupcy! — myślał Janusz ocierając sobie troskliwie ręce, gdyż w pośpiechu, tknięty litością na widok smutku młodej dziewczyny, nie był włożył rękawiczek. — Głupcy!... Nie tańczą z nią, bo służąca. Gdyby należeli do arystokracji nie byłoby w tem nic dziwnego, ale tak nie jest. W czymże są, od niej wyższymi?... Chłopy, głupie chłopy! Nie pojmuję ich nawet. Zkądże się u nich podobne wyobrażenia wziąć mogły?...

— Januszu, — rzekła przymilając się Gretchen — Muzyka gra oddawna, a dotąd ani jednego koła ze mną nie zrobiłeś... Oni grają, tak pięknie!..

Janusz na nią popatrzał. Tak się mile uśmiechała, tak słodko na niego pięknymi oczami patrzyła, że chociaż tańczyć nie lubił, schwycił ją za rękę i puścił się z nią walca. Jak każda Niemka, Gretchen tańczyła ciężko i niezgrabnie. Nie uszło to uwagi Janusza.

— Mniejsza o to! — pomyślał. — Więcej z nią tańczyć nie będę. Nie potem się żenił. — I odprowadził ją na miejsce.

— Ach! jeszcze! — prosiła. — Tańczysz tak przyjemnie!



Janusz dosyć niechętnie uczynił zadość żądaniu żony.

— A teraz, proszę cię, idź tańcować z tamtymi dziewczętami. Gniewają się na ciebie, że się do nich zbliżyć nawet nie raczysz. Idź do Idy, bo ona najbardziej zafalona.

— Mniejsza o to, moja Gretchen. Co mnie może obchodzić jakaś tam Ida. Wolę z tobą pozostać.

— Razem nie zostaniemy, bo przecież ciągle tańczą. Co chwilę podchodzą do mnie kawalerowie. Idź z nimi tańczyć. Niechaj wyniosą tylko przyjemne wspomnienia z tego dnia szczęśliwego.

— Idę, moja śliczna i dobra Gretchen, — odparł Janusz z uśmiechem i, wciągnąwszy pospiesznie czyste, białe, połyskujące rękawiczki, począł każdą dziewczynę po kolei w koło pokoju obracać. Rumieniła się każda, gdy do niej młody *Graf* podchodził i, z bijącym sercem, z krzeselka wstawiała. Ale Janusz, dla zadowolenia żony, starał się być rozmownym, sadził się na dowcipy, które, im były mniej udane, im były więcej niezgrabne, tem łatwiej będąc zrozumiane, hałaśliwą budziły wesołość. To Januszowi nie uszło bezkarnie. Każdy, już z nim oswojony, odpowiadał żartami, które za stosowne uważał, a wkrótce bardzo już polskiego *Grafa* kochano. Doszło do tego, że panna Ida, pieszczona i majątna jedynaczka, znacznie od swoich rówieśniczek odważniejsza, zaczęła go dosyć poufale po ramieniu klepać. Spostrzegł to pan Robert, miły i sympatyczny młodzieniec, bardzo się wyraźnie zalecający do panny Idy. Bez chwili namysłu schwycił Janusza za rękę, wyprowadził do przyległego

pokoju, a, drzwi za sobą zamknawszy, gwałtownie pięście zacisnął wołając:

— Słuchaj no pan!... Jestem z Idą prawie zaręczony i nie lubię patrzeć, jak z tobą poufale zartują.

— Zamknij oczy, — odparł Janusz.

Ale dowcip Janusza nie zdołał pana Roberta rozbroić. Mówił dalej, gniewnie przewracając oczami:

— Jestem bardzo zazdrosny, a zatem panu nie radzę nadto się do mojej Idy przybliżać. Toby się mogło źle skończyć dla pana.

Pan Robert widocznie przy obiedzie nie gardził butelką.

Janusz ruszył ramionami:

— Dziś się przecie ożeniłem. Śmieszne masz podejrzenia.

— Ho, ho! To mi racya! — wykrzyknął Niemiec. — Wiem bardzo dobrze jak się ludzie żenią na świecie! Rzadko kiedy znajdzie się miłość w tych małżeństwach, miłość czysta jak ta, którą pałam dla Idy.

Janusz głośnym wybuchnął śmiechem.

— Zdaje mi się, że ani dla pieniędzy, ani dla kołigacyi nie żeniłem się z Gretchen, a więc tylko z miłości.

Pan Robert zastanowił się przez chwilę.

— Czy tylko pewnie? — rzekł w końcu.

— Najpewniej, — odparł śmiejąc się Janusz. — Dziwi mnie to, że mam ochotę z tobą rozmawiać. Jestem w dobrym humorze, to twoje szczęście. Inaczéj, byłbym ciebie od dawna za okno wyrzucił.

Ale Niemiec nie słuchał. Odezwał się po chwili milczenia:

— Skoro mnie pan zapewniasz, że nie masz zamiaru bałamucenia Idy, nie gniewam się, a, raz zapomniawszy o tém co zaszło, muszę wyznać, że na pierwsze wżerzenie uczulem dla pana wiele sympatyj.

— Bardzo mi to schlebia, — odparł Janusz szydersko.

— Nie ma w tém nic dziwnego. Mam jakiś instynktowny pociąg do ludzi z wyższem ukształceniem. Wychowywałem się w Dreźnie i naturalnie tęsknię za towarzystwem. Tutaj same chłopy, którymi pogardzam, bo czują swoją wyższość nad nimi. Cieszę się, że miał sposobność poznania człowieka, który jest moim równym, bo jednakowe odebraliśmy wychowanie. Ci prostacy darzą pana tytułem, ale ja na podobne głupstwa nie zważam. Dziś nauka wszystko stanowi...

Janusz śmiał się bardzo serdecznie

Zapijmy naszą zgodę, — ciągnął dalej pan Robert.

— Od dziś dnia chcę być pańskim przyjacielem. Wypijemy *Bruderschaft*, będziemy z sobą, na ty!...

Janusz zdawał się przez czas jakiś namyślać. Po chwili rzekł bardzo uprzejmie:

— Sam to chciałem zaproponować! — i dodał w myśli: — Głupiec. Jakie teorye, jakie wyobrażenia! Jak się chce ze mną poufalić... Ja się bawię, ja z niego żartuję, a on wszystko bierze najpoważniej w świecie... On zupełnie pijany...

— Piwa! Dwa kufle piwa! — zawołał Robert otwierając drzwi.

— Pozwól pan... ja każę przynieść, — mówił Janusz.

— Nie, nie, ja płacę! — bronił się Robert.

— Ja, — odparł Janusz. — Jestem tu gospodarzem.

Po chwili dwaj nowi przyjaciele wychylali do dna swoje kufle.

Janusz drwił z Roberta, ale ten, na mocy wypitego *Bruderschaftu* żadnych już ceremonii z nowym przyjacielem nie robił i, poufale wsparty na jego ramieniu z uśmiechem pełnym zadowolenia na twarzy, do sali wolnym krokiem powrócił.

— Sasów nie lubię, — myślał Janusz. — Już mnie ten głupiec nudzić zaczyna.

— Dokąd chodziliście z Robertem? — zapytała Gretchen.

Janusz na nią popatrzał.

— Piliśmy *Bruderschaft!* — odparł parszkając śmiechem.

— Ja tak myślałam, — rzekła Gretchen tonem bardzo naturalnym. — To nadzwyczajnie miły człowiek. Wszyscy go bardzo w naszej wiosce lubimy, a nawet szanujemy, bo jest bardzo wykształcony. Czyta wiele książek. Mówią że posiada bibliotekę, w której się znajduje ze trzydzieści tomów. On wychowywał się w Dreźnie, gdzie przez kilka lat pracował u rzeźnika z *Ostra Allee*. On nadzwyczajnie uczony, ale trochę dumny z niewykształconymi ludźmi. . . . To nasz kuzyn! — dodała po chwili z wyrazem zadowolenia.

Janusz z wielkiem zdziwieniem słuchał słów żony. To co jako żarty uważał, ona brała na seryo!

Tymczasem tańce nie ustawały, a wesołość z każdą chwilą była więcej hałaśliwą. Dowcipy zwolna i pra-

cowicie w niemieckich mózgach wylęgle wychodząc na świat, budziły śmiechy przytomnych.

— Która godzina? — zapytała Gretchen siadając przy mężu.

Janusz popatrzał na zegarek.

— Szósta! — rzekł wesoło. — Za godzinę już pociąg odchodzi. Za godzinę będziemy już sami.

— Czy tu zostaniemy? — zapytała żona.

— Nie. Udamy się do Leitmeritz. Tam mam zastrzymane mieszkanie, aż dopóki nie znajdę domku, w którymbyśmy mogli osiąść na stałe mieszkanie. Wtedy dopiero rozpoczną się dla nas dni prawdziwego szczęścia, ztamtąd już się nie ruszymy, tam, mam tego nadzieję, doczekamy się starości, a będą nas otaczały dzieci. Czyż to nie szczęście, moja śliczna Gretchen? . . . Ale dajmy pokój marzeniom. Trzeba gości wyprawić, aby się nie spóźnili na pociąg. — Wyjeżdżamy dopiero koło ósmej, i w dwie godziny staniemy u celu naszej podróży. Gretchen, pożegnaj rodziców.

Na znak Janusza muzyka grać przestała. Grzecznie ale stanowczo począł przypominać każdemu, że wkrótce pociąg do Königsteinnu odchodzi. W sali powstał ruch, ale ucichły śmiechy i krzyki, a z niemi i dowcipy. Obstąpiono Gretchen, każdy jój składał życzenia, a towarzyszy z uśmiechem ją ścisnęły, obiecując, że będzie szczęśliwą, że tego pragną z duszy, że jój nigdy, nigdy nie zapomną.

Pożegnanie z rodzicami było dość czule. Gretchen

parę łez uroniwszy uroczyście obiecała, że im da znać wkrótce co się z nią dzieje, gdzie i jak mieszka.

Po długich ceremoniach poczęto opuszczać gospodę. Janusz został ukaranym za swoje żarty z Roberta, bo młody rzeźnik na mocy wypitego *Bruderschaftu* i kilkunastu kuflów *extra*, rzucił się jemu na szyję, począł go dusić i gwałtownie całować, zaklinając przyjaciela na wszystko, aby o nim nie zapominał, aby do niego często pisywał i czasem go pod Königsteinem odwiedzał.

W końcu nikogo już oprócz młodej pary nie było.

— Jesteśmy sami! — zawołał Janusz radośnie.

— Jesteśmy sami! — powtórzyła żona z westchnieniem. Żal jej było za rodzicami i gwarnem towarzystwem za tańcami i muzyką.

— Jeszcze chwilę, moja Gretchen, — rzekł Janusz całując ją w czoło, — jeszcze chwilę poczekaj, a będę przy tobie. Muszę pójść rozplącić się z gospodarzem.

Janusz wyszedł z pokoju. I stary gospodarz, sumiennie rachując pieniądze, czuł się w obowiązku złożenia mu życzeń. Winszował mu tak słicznie żony i obiecywał długie i szczęśliwe lata. To tak łatwo obiecać! . . .

Posłyszano oddalony świst lokomotywy.

— O! To pociąg odszedł do Drezna, — rzekł stary Czech.

— Gretchen! zawołał Janusz. — Możemy iść na dworzec.

Gdzie twoje rzeczy?

— Pan pozwoli, że je odnieść każę, — rzekł uprzejmie gospodarz.

— Ja się sam niemi zajmę. Zaraz je wyprawię.

— Dziękuję. Chodźmy już Gretchen.

I pożegnawszy gospodarzy wyszli przed *Gasthaus*. W drzwiach stała służąca. Uśmiechnęła się wesoło i rzekła wyciągając rękę:

— Szczęśliwój podróży. Dziękuję Panu.

— Za co? — zapytał Janusz.

— Gdyby nie pańska dobroć, wcalebym nie tańczyła, a ja taniec tak lubię. . . Ktoby był chciał mnie do walca zaprosić? Jestem biedna służąca. Dziękuję panu, ubawiłam się doskonale. Życzę panu dużo, dużo szczęścia! . . . Pan na nie zasługujesz, boś bardzo dobry!

— Pocziwe stworzenie! — mruknął Janusz, gdy się już z żoną od gospody oddalił. — Jój życzenia i życzenia wszystkich wróżą nam wiele szczęścia. I czemużbyśmy jego zaznać nie mieli? Dotąd mi się tak wszystko wiedzie pomyślnie, tak się kochamy! . . . — I dodał w myśli: — Tu, w Czechach, lud zupełnie inny. Prości, ale pocziwi. . . nie mają tych śmieszności, na które dzisiaj patrzałem. . . Sasów tylko znieść nie mogę. Ten rzeźnik bawił mnie z początku, ale w końcu począł mnie irytować.

Gdy przyszli na dworzec, pociągu jeszcze nie było. Na platformie, na ławce siedziała dama czarno ubrana, a przy niej — młody człowiek.

— Moja matka! John! — zawołał Janusz i zbliżył się do nich, zostawiwszy żonę na środku platformy. Trochę zadziwiona usiadła na wolnej ławeczce i poczęła się ciekawie i nieśmiało przypatrywać matce męża.

— Matka tu jeszcze! — żywo zawołał Janusz.

— Czekam na pociąg do Pragi. Nie wracam do Drezna, lecz jadę prosto do Krakowa. Wiesz o tem, zdaje mi się.

— Jakże się matka w téj dziurze wynudzić musiała.

— Miałam towarzystwo twego przyjaciela. Mówił mi bardzo wiele o tobie. Prosiłam go, aby wracał do Drezna, ale zechciał tu zostać przez grzeczność... Wyjechali przy nas weselni goście... nie w wielkim porządku, nie bardzo spokojnie, ale wyjechali, to główne. Doprawdy, gdyby nie przytomność twego przyjaciela, okrutnie bym się sama obawiała.

— To poczciwi ludziska! — mruknął Janusz.

— Poczciwi... może być. Nie znam ich osobiście, ale w każdym razie... pijani, i wybaczysz matce, że się trochę bała twoich nowych przyjaciół.

Janusz spuścił głowę. — Wcale się nie czuł swobodnym.

— Januszu, — rzekła matka wskazując mu Gretchen.

— Zdaje mi się, że tam siedzi twoja żona. Dla czegoż nie przy mnie?... Zdaje mi się, że przy mnie najwłaściwsze miejsce dla mojej synowej. Powiedz jój, aby się do nas przysiadła.

— Nie śmiałem... nie wiedziałem... — wybąknął Janusz i pobiegł spiesźnie, aby przyprowadzić żonę.

— Co się z niego stało! Pomyśl pan, że to moje





jedyne dziecko! — westchnęła pani Madzicka, zwróciwszy się do Amerykanina. — Biedne dziecko!

Tymczasem Janusz już z żoną powracał. Usadowiono się na jednej ławce. Pani Madzicka pomieściła się między Gretchen i synem. Naturalnie rozmowy żadnej być nie mogło, a długie milczenie stawało się nieznośniejszym za każdą minutą. Nadchodzący wreszeie pociąg czoła wszystkich rozjaśnił, jak zapowiedziana swoboda rozjaśnia, rozwesela twarz więźniów. Ruszono się z miejsca.

— Pani, — rzekł John do matki przyjaciela. — Pozwoliłem sobie wziąć dwa bilety do Pragi. Nie zniosę, aby dama tak zupełnie sama puszczała się w drogę. Obowiązkiem moim jest odprowadzić Panią, przynajmniej do Pragi, a tam starać się ułatwić Pani kupienie biletu do Krakowa.

— Dziękuję ci, — rzekł Janusz, ściskając z wzruszeniem dłoń przyjaciela. — Nie śmiałem ciebie o to prosić.

Pani Madzicka poczęła się przecznie wymawiać, lecz John obstawał przy swoim i Janusz przyłączył się do niego.

— Pierwsza klasa! — zawołał Amerykanin i, gdy drzwiczki do wagonu otwarto, podał rękę pani Madzickiej a gdy usiadła, zwrócił się do Gretchen, chcąc jęj w ten sam sposób usłużyć.

— Nie, John, — rzekł Janusz. — Razem nie jedziemy.

Pani Madzicka wychyliła się z wagonu:

— Żegnam ciebie, Januszu. Pisuj często do mnie.

— Nie zapomnę o tem.

— Jesteś szczęśliwym, Januszu?

— Na wieki, droga matko.

— Daj to Boże!

I raz jeszcze ucałował matkę, ścisnąwszy dłoń przyjaciela, Janusz wziął żonę pod rękę i począł szukać wagonu trzeciej klasy.

— Razem nie jedziemy? — zapytała Gretchen ze zdziwieniem.

— Nie . . . . tutaj jedziemy. Siadaj, bo pociąg zaraz rusza.

— Tu?.. Ależ to trzecia klasa!

— Właśnie. Siadaj, Gretchen.

— Tu sami chłopci, Januszu. Myślałam, że pojedziemy pierwszą klasą, — tłumaczyła Gretchen, która uszom swym wiary dać nie chciała.

Zadzwoniono. Janusz spiesznie żonę podsadził, wskoczył za nią i drzwiczki zatrzasnął. Pociąg ruszył z miejsca.

Gretchen miała łzy w oczach. Spojrzała z wyrzutem na męża.

— Moje dziecko, — rzekł dosyć niecierpliwie, — wybij sobie z głowy twoją pierwszą klasę. Każdy musi być na swoim miejscu, jeżeli się nie chce na śmieszność

narażać. Tutaj nam bardzo dobrze. Godzina, lub dwie podróży wcale nas nie zmęczą.

— Myślałam, że miejsce hrabiny...

— Uspokój się Gretchen. Zapomnij o tem.

Gretchen zasunęła się w swój kąt. Nastąpiło milczenie, które tylko przerywał świst lokomotywy.

To była pierwsza ich sprzeczka.

## ROZDZIAŁ VI.

Upłynęło lat kilka. Janusz osiadł z żoną w Czechach, nabył za drogie pieniądze niewielki kawał ziemi, domek o trzech izbach i wcale się z miejsca nie rusza. Dnie upływają za dniami podobne do siebie, ciche, spokojne. Janusz za pomocą cierpliwości doczekał się tego, o czém marzył od dawna, bo wytrwale nad żoną pracując wytłumaczył jej, że nie na to się z nią ożenił, aby atłasy i koronki nosiła, aby podróże pierwszą odbywała klasą i w jego świecie bywała. Trudno mu było z początku oswoić Gretchen z myślą, że jak dotąd była chłopką, taką nadal zostanie, ale w końcu dopiął celu i cieszył się, że mu dnie spokojnie i cicho płynęły. Gretchen stała się wyborną gospodynią, kucharką, pracowitą sługą i nauczyła się z czasem zapatrywać się wesoło na swoje położenie. Janusz był dla niej dobrym mężem, był wyrozumiałym, a choć nie takie życie pędziła o jakim nieraz marzyła przed ślubem, przestała się frasować i smucić.

Zrozumiała w końcu swoje obowiązki żony, gospodyni i kobiety nie mającej żadnego prawa do stosunków z wyższym towarzystwem, z wielkim światem, do którego jej mąż wprawdzie należał, ale którego się dobrowolnie rzekł przez miłość dla niej. W rok po ślubie, Gretchen urodziła córkę. Dano jej imię matki Janusza — Elizy, i oboje rodzice zajęli się wychowaniem małej dziewczynki, która, się zdrowo na świeżem wiejskim powietrzu chowając, zapowiadała, że kiedyś matce w piękności dorówna.

Gdy Gretchen szła, prała, gotowała, krzątała się po domu, albo w ogrodzie, Janusz także nie chciał zostawać bezczynnym. Całe godziny spędzał marząc przy fortepianie, czasem po długich mozołach jakie wierzchy ulepił, albo malował. Pokój jego był napełniony rozmaitemi zaczętemi pracami. Samych tylko portretów żony zaczął był z piętnaście. Żadnego nie skończył, a rozpoczynając nowe, obiecywał sobie, że wytrwale pracując, uda mu się stworzyć coś prawdziwie pięknego. Ale niestety, na drugi lub trzeci dzień, zarzuciwszy naszkicowane płótno, znów się do innej pracy przerzucał. Nie myślał o tém nawet, że ta jego niby praca żadnej nikomu nie przynosiła korzyści, bo najsumienniejsze wszystkie kąty jego pracowni przedrabowawszy nie znalazłoby się jednego nawet płótna któreby nie w muzeum, nie w galerii obrazów, ale nawet w skromnym, prywatnym salonie można było zawiesić. Równie mierniej wartości były jego gra i jego wierszyki. Ale nie zastanawiając się nad tém, że w inny sposób czas używszy, mógłby ludziom i sobie przynieść pożytek, nie przestawał pracowicie się bawić,

a choć się do niczego nie brał z zawsze niezbędną, wytrwałością, każdą godzinę miał zajętą, a dni mu spokojnie i wesoło mijały. Raz na rok, na cały miesiąc opuszczał swe ciche ustronie i wyjeżdżał do matki, która go zawsze serdecznie i mile przyjmowała. Żona jego odjeżdżała do rodziców, albo téż ich do siebie, na wieś zapraszała, stosując się do rozkazu Janusza, który nigdy jój nie chciał samój zostawiać. Nie był zazdrosnym, a jednak czuł się zawsze spokojnym, gdy wiedział, że ktoś, komu mógł zaufać zostawał przy Gretchen. Nawet, gdy w niedzielę, po całotygodniowej pracy prosiła się u męża do gospody, w której zawsze w dniu świąteczne muzyka grywała i okoliczni wieśniacy w tańcu szukali rozrywki i wytchnienia, Janusz nigdy téj przyjemności nie odmawiał żonie, ale zawsze jój sam towarzyszył. Pod jego okiem tańczyła z miejscową młodzieżą, gdy on z starszymi, poważniejszymi pospodarzami gawędą się zabawiał. W głębi ducha wyznawał, że go te gawędy nie bardzo bawiły, że czasem tęsknił za tym światem, którego się zrzekł dobrowolnie, ale z tém się przed nikim nie zwierzał i nieustannie nad sobą pracował, aby w tych prostych wieśniaczych rozmowach potrafić znaleźć przyjemność. Umiął ocenić szczerłość, dowody serca i gościnności u tych poczciwych Czechów, umiał w nich ukryte wynajdywać zalety, a tłumacząc sobie, że to co porzucił, mniej było pięknem od tego na co teraz patrzy, wesołe tworzył projekta nie porzucenia swojego ustronia, swoich nawyknień i tego spokoju, który mu był miłszym od wszystkiego. Zastanowiwszy się nad swoim losem, nie mógł siebie nie nazwać zupełnie szczęśliwym człowiekiem,

a dawne wspomnienia tych uciech wielkiego świata coraz mu rzadziej w myśli stawały, rzadziej mu dokuczały i nawet nie tęsknił za niemi. Bo i czegoż mu jeszcze niedostawało do szczęścia!.... Miał żonę piękną, dobrą i zdrową. Kochał ją i miał przekonanie, że ona jego prawdziwie kochała. Miał śliczną córeczkę, której wychowaniem się zajmował, a przytem był bogatym, bardzo nawet bogatym, gdy siebie do otaczających go wieśniaków przyrównywał. O byt swój nie miał czego się troszczyć. Odbierał czasem listy od swojego plenipotenty z Podola, który mu donosił, że nie wszystko tak pomyslnie idzie, jakby się tego należało spodziewać, a jednak wiele razy pisał do plenipotenty, aby mu przysłał pieniędzy, zawsze jego żądaniu było uczyniono zadość. Pieniądze przychodziły na zawołanie, a o nic się więcej Janusz nie troszczył.

— O! gdyby tu był John! — myślał nieraz. — Rzuciwszy tylko okiem poznałby, że wszelkie jego teorie na nic się nie zdadzą, że darmo tyle czasu zmarnował na niepotrzebne dyskusye. Poznałby w końcu, że nie głupie i fałszywe przesady, nie jakiejś śmieszne oglądanie się na to co ludzie powiedzą, ale rozsądek, rozum i serce powinny człowiekiem kierować. John wierzył temu co mówił, wierzył święcie, jak ja moim poglądom wierzyłem, jak im dotąd coraz silniej wierzę. Jakżeby się zdziwił, gdyby wbrew swoim przewidywaniom zastał u mnie to szczęście spokojne, bez chmurki, o którym mu tyle powiedziałem, a które nazywał utopią. Co by na to powiedział?... Ha! Pewnieby się cieszył wraz ze mną. On mnie bardzo kochał, a choć szczęściu mojemu nie wierzył, życzył mi

go z całego serca, życzył mi go najszczerzej, gdy się przekonał, że już niczemu nie potrafi zaradzić, gdy odważnie rzuciwszy rękawicę całemu światu śmiało stanąłem do ślubu z prostą, nieokrzesaną wieśniaczką, która zaledwie czytać i pisać umiała. Szkoda, że tu nie ma mojego przyjaciela. Musiał do Ameryki powrócić, nie wiem czy go już kiedykolwiek zobaczę. Szkoda! Może patrząc na moje szczęście, byłby się do moich teorii nawrócił i osiadłby gdzie w pobliżu. Miałbym z kim czasem pomówić, pośmiać się, pożartować. Biedny John! Pewnie gdzieś w swojej ojczyźnie mnoży brzęczące dollary, marnuje młode lata pracując jak murzyn. Uzbiera sobie tych dollarów, ale na co mu się one dadzą, w przedwczesnej starości? Póki młody one mu niepotrzebne do szczęścia, a cóż dopiero na starość...! Mieszkam w chacie jakby chłop jaki, a nie narzekam. Nawet bym się nie zamienił z Rothsildem, bo ja szczęście pojmuję, gdy on przy swoich milionach z pewnością, o niem żadnego nie ma wyobrażenia. Biedni ludzie! Jakże się oni męczą, jakże się mordują, uganiając się za tym marnym groszem, jak gdyby na to żyli na świecie, aby tylko zbierać pieniądze. Szczerze mi ich żal!...

\* \* \*

Pewnego dnia Janusz otrzymał list od swego plenipotenty, który mu donosił, że pierwszego Marca kończy się termin dzierżawy jego majątku, że dzierżawca nie myśli go dłużej trzymać w swoich rękach, gdyż bardzo



wiele na nim strat poniósł. O kredyt nie łatwo, a bez pieniędzy nie ma podobieństwa gospodarować, od kiedy pańszczyzna została zniesiona.

— Cymbał! — pomyślał Janusz. — Po co mnie tém turbuje! Jego rzeczą jest znaleźć drugiego dzierżawcę. Na co bierze pieniądze, — i odpisał plenipotentowi, prosząc go, aby kogo sobie wyszukał, a jego podobnemi drobnostkami nie nudził.

Wkrótce potem nadeszła odpowiedź. Pan Plenipotent bardzo Jaśnie Wielmożnego Pana Madzickiego przepraszał za to, że go znów swoim pismem śmiał utrudzać, ale nie mógł zrobić inaczej, bo interesa wcale niepomysłny obrót wzięły. Nigdzie dzierżawcy znaleźć nie można było, a nawet i marzyć o nich trudno. — Szlachta bez grosza, co dzień słycać o nowym majątku wystawionym na sprzedaż. Kupców także mało, a jeżeli się znajdzie nawet który — chciałby za bezcen nabyć ziemię. A o dzierżawcach ani myśleć!...

— Więc Pan sprzedaj Januszkówkę! — odpisał zniecierpliwiony Janusz. — Będę teraz miał spokój, — myślał. — Sprzedam majątek, a tu za wręczone pieniądze kawał ziemi nabędę, albo też złożę kapitał w jakim banku. — I Janusz począł rozmaite tworzyć projekta na przyszłość, począł rozmyślać w jaki sposób najlepiej ulokuje pieniądze

Tymczasem jak i u niego w majątku, tak i w całej Europie nie świetnie się przedstawiały interesa. Przygotowywano się do wojny. Austrya miała dwóch wrogich sąsiadów, od których się bronić musiała, — z jednej strony Prusy, a z drugiej — Włochy.

Po całym kraju krążyły oddziały wojska i chociaż bąkano o wojnie, choć się każdy starszy frasował o to co ta wojna przyniesie, młodzież bawiła się doskonale w wiejskiej gospodzie „pod Jeleniem“, dokąd i Gretchen uczęszczała w niedzielę. Bawiono się wybornie, bo oprócz cichych wieśniaków tańczyli i żołnierze strojni w zgrabne mundury, a czasem nawet i oficerowie do gospody zaglądali, aby się z hożemi dziewczętami zabawić, pośmiać i poskakać. Tańce bywały bardzo ożywione, bo co żołnierz, to nie chłop, więcéj świata i ludzi widział, zawsze w pamięci znajdzie co ciekawego i zabawnego do opowiedzenia, a mundur tak się pięknie na nim świeci, szabla tak brzęczy wesoło!

— Gretchen! — rzekł pewnego dnia wróciwszy z pobliskiego miasteczka Janusz. — Dzisiaj rocznica naszego ślubu. Kilka lat z sobą, wesoło i szczęśliwie przeżyliśmy. Chciałem uczcić ten dzień tak dla nas pamiętny. Pospraszam wszystkich sąsiadów na wieczór. Będzie muzyka, a zatem i tańce. Mam nadzieję, że się wszyscy dobrze zabawią. Nadto, moja Gretchen, proszę cię przyjm to odemnie na pamiątkę téj tak szczęśliwéj dla nas daty. — I Janusz, pocałowawszy ją w czoło, podał jéj z uśmiechem arkusz stemplowego papieru, na którym widać było rozmaite napisy i pieczęcie.

— Co to jest? — zapytała Gretchen. — Co to znaczy?

— Znaczy, że dla zrównania naszych względem siebie pozycyi zostałam prawą właścicielką tego domu, ogrodu i kilkudziesięciu morgów ziemi przytykającéj do naszéj posiadłości. Dziś jestem u ciebie, nie zaś ty u mnie.

Chciałem byś także jakąś posiadłość mieć mogła, a dzień dzisiejszy obrałem aby nią ciebie obdarzyć.

Gretchen nie chciała uszom swym wierzyć.

— Jakto! — zawołała. — To wszystko moje! I dom i ogród!

— I to pole, które stąd widać. Kupiłem je parę temu tygodni od naszego sąsiada. Cóż, Gretchen? Nie podziękujesz mnie?

Gretchen rzuciła się mężowi na szyję.

— Ach! Nie wiem nawet jak tobie mam podziękować, za tyle dowodów miłości. I ja... ja jestem *Gutsbesitzerinn!* To przecie nie lada szmat ziemi! To już majątek. O! Drogi mój, dobry mój Januszu! --- I poczęła go czule ściskać, a po chwili dodała:

— A ty, Januszu? Ty nic mieć nie będziesz?

Janusz uśmiechnął się.

— Moje dziecko, — odparł. — Jeszcze i dla mnie coś zostanie, nie turbuj się o to; a chociażbym i nic nie miał, mam nadzieję że mnie stąd nie wypędzisz; — dodał śmiejąc się ze swego żartu.

— Dobry, poczciwy Januszu! — mówiła Gretchen. — Doprawdy sama nie wiem na co ty mi ten prezent zrobiłeś. Na co mnie to wszystko potrzebne?... Wszak mnie dobrze było bez tego.

— Na co? — zawołał Janusz. — Bo mnie bolało to, że ty nieraz cierpieć musiałaś na myśl, że między nami zachodziła tak wielka różnica, że gdy ja byłem bogatym, ty grosza nie miałaś.

— Nie! Nigdy! — zawołała Gretchen z zupełną szczerością.

Ale nie jest jasnowidzącym ten, który kilka lat na najdziwaczniejszych strawił marzeniach

— Znam twoją delikatność i wiem, że się do tego nie przyznasz, moja droga, — mówił Janusz z uśmiechem. — Długo myślałem nad tém w jakiby sposób złemu zaradzić, i nic innego nie mogłem uczynić, jak zrównoważyć nasze pozycye, darząc cię tą skromną posiadłością. Jesteśmy teraz mniej więcej równo obdzielonymi, a to nam tylko na dobre wyjść może.

Gretchen nie bardzo rozumiała znaczenia słów męża, ale przestała się upierać. Bardzo jęj schlebiało, że była teraz bogatą, że miała swój własny majątek, którym mogła rozrządzać jak się jęj podobało.

— To będzie posagiem naszęj Lizy, — rzekła po chwili namysłu. — Prawda jaka wyborna myśl?

— Mam nadzieję, że dla nięj więcej uzbieramy, — odparł Janusz wesoło. — Dotąd nie mam grosza odłożonego. Owszem, znajdują się nawet długi, bo musiałem pożyczyć kilka tysięcy guldenów u starego Glücka, żeby nowonabyte grunta zapłacić, ale to wcale nie straszne. Wkrótce ureguluję interesa, a wtedy będziemy mogli co-roczenie jakąś kwotę na bok odkładać. Może nas Bóg zechce jeszcze dziećmi obdarzyć, a wtedy każde z nich będzie miało zapewnioną przyszłość. Wiele im nie zostawię, gdyż sam nie mam dużo, ale zawsze będą miały co zjeść, a więcej człowiek nie potrzebuje. Jak skromnie tutaj od dnia naszego ślubu żyjemy, grosza nie wydajemy na zbytki, a przecie nie wiem czy się kto może nazwać szczęśliwszym od nas. Czyż nie mam słusności, moja Gretchen? — zakonkludował Janusz.

Gdy się goście wieczorem zebrali, gdy muzyka grać poczęła, Janusz i Gretchen tak się swobodnie i wesoło bawili, że na długo im została w pamięci ta szczęśliwa rocznica ich ślubu.

— Gdyby tu był John! — pomyślał Janusz z westchnieniem.

W kilka dni po téj wesoło odbytej uroczystości, Janusz otrzymał telegram od matki.

— Przyjeżdżaj natychmiast! — pisała.

— Co to znaczyć może? — dumiał Janusz. — Co tam w Krakowie zająć mogło? — I po raz drugi na telegram spojrzawszy ujrzał ze zdziwieniem, że był z Podola pisany.

— Jakto! Matka w kraju! Nic o tém nie wiedziałem. Co ona może tam robić?... Chyba interesa... ale nie, wątpię... nie ma w ziemi majątku... Co to może znaczyć? .. Doprawdy nie pojmuję....

I Janusz począł się przygotowywać do wyjazdu. Wieczorem był gotów, a otrzymawszy od żony obietnicę, że do siebie z Königsteinu rodziców sprowadzi, po czułych z nią i córeczką pożegnaniach, pospiesznie wyjechał do Pragi, a stamtąd miał przez Kraków i Galicyą dostać się na Podole.

— Bardzo to wezwanie nie w porę, — dumiał Janusz. — Tu niepokoje polityczne, a żonę samą zostawić musiałem i sam wiedzieć nie mogę kiedy do niej powrócę. Ledwom z domu wyjechał, a już mi za nim tęskno. Żał mi każdego dnia, który daleko ód Gretchen spędzić jestem zmuszony, żał mi mojego cichego szczęścia. Gdyby mnie nie matka wzywała byłbym się nawet z miejsca nie ru-

szył, choćby się tam niewiem co miało wydarzyć. Jaka mnie nużąca podróż oczekuje nim się z Galicyi do Januszówki dostanę. Co to niewygód, co to mil do przejechania po naszych obrzydłych drogach. Darmo kombinuję i na rozmaite wpadam domysły, nie mogę odgadnąć po co mnie matka wzywa tak nagle, i czego, nie uprzedzając mnie wcale, Kraków raptownie opuściła. Ach! gdyby wiedziała jaką mi przykrość sprawia tem wezwaniem, pewnie by nawet nie żądała abym dom i rodzinę opuszczał. Biedna moja Gretchen, biedna moja Liza!... Co one tam same robią?.. Zapewnie tęsknią za mną, jak ja tęsknię za niemi. Gdybym przynajmniej mógł wiedzieć kiedy się z tego Podola napowrót dostanę... Może tam doprawdy zaszło co ważnego?.. Może moja matka choruje... Nie przypuszczam nawet aby mnie powoływała dla interesów, bo mój plenipotent i jój nielicznemi sprawami się trudni. Kapitał ma ulokowany na procencie u szwagra, a zatem... ha! poczynam się na seryo obawiać, czy czasem nie chora... W każdym razie nie zostaje bez opieki, bo ma siostrę w sąsiedztwie..

I biedny Janusz z domysłów wpadając w domysły, nie przestawał się niepokoić o matkę i tęsknić za żoną, za cichą wioską, w której tyle lat przeżył spokojnie i szczęśliwie.

Męczył się na myśl, że na Podolu, gdzie się nie pokazywał od swojego ślubu, znajdzie dawnych znajomych, z którymi trzeba będzie odnowić przerwane stosunki, a to go wcale nie nęciło. Trochę ocięzał, a przez lat kilka nie widując nikogo, zupełnie się odzwyczaił od ludzi; dopiął prawie przedsięwziętego celu, bo Gretchen nie

podniósł do siebie, ale sam do niej się zniżył, wytrwale zwalczając często się nasuwające w początkach trudności. Dopiął prawie swojego celu, bo raz sobie wyrozumowawszy szczęście, raz sobie drogę wytknąwszy, ślepo po niej podązał, a z każdym dniem znaczne robił postępy; nic mu prawie już do szczęścia nie brakło, nie marzył nawet o tém, aby się jego dotychczasowy tryb życia odmienił. Jakże mu nie było na rękę to nagłe wezwanie matki.

Tęskniąc, narzekając i niepokojąc się, rozparty w wagonie pierwszej klasy dojeżdżał do Chrzanowa. Pociąg zatrzymał się i konduktor obiegił platformę ogłaszając, że dwie minuty stać będzie. Janusz wyrztał przez okno, lecz nie znalazłszy wiele powabu w roztaczającym się przed nim widoku na dworzec, na kilku żydów na platformie stojących, na jakieś towarzystwo pospieszające, aby się dostać do wagonu a dalej, na brudne i niepowabne żydowskie miasteczko Chrzanów, — powrócił na opuszczone miejsce przy przeciwległym oknie będące i z nudów począł się przez nie rozglądać dokoła. Piękny widok na niedaleki Kościelec, otoczony malowniczymi wzgórzami zajął go dosyć żywo i nie obrócił się nawet, słysząc, że do wagonu wsiadło kilka osób. Pociąg ruszył pomału, a Janusz stał jeszcze przy oknie i patrzył. Po chwili zjawił się konduktor prosząc o bilety. Janusz odwrócił się.....

## R O Z D Z I A Ł VII.

— A! Jaka niespodzianka! — zawołała Zosia, dziś pani Witoldowa, gdy się Janusz w wagonie odwrócił. — Jaka miła niespodzianka! . . i wyciągnęła rękę do niego.

Janusz dosyć zmieszany, nie dając jednak tego poznać po sobie, począł się witać ze starą znajomą i przy niej siedzącym mężu. W końcu po przywitaniach, gdy się wszyscy uspokoili, wszczęła się dosyć urywana z początku rozmowa.

— Muszę panu moją córeczkę przedstawić, — odezwała się Zofia do Janusza. — Oto jest panna Wanda.. Wandziu ukłoń się i podaj rękę . . . i poczęła wesoło musztrować czteroletnią dziecinę. — Prawda jaka miła i piękna? — dodała po francuzku pół żartem. — Zupełnie do mego męża podobna! — I wzięwszy Wandzię na ręce oddała je siedzącej w wagonie stariej krakowiance.

— Cóżes porabiał? — zapytał Witold Janusza. — Od tak dawna zniknąłeś z naszego horyzontu, że nawet nie mamy wyobrażenia gdzieś przez tyle lat przepadał.



— Nie wyjeżdżałem z Europy. Mieszkam w Czechach, — odparł Janusz z niechęcią. — Teraz jadę na Podole na wezwanie mojej matki . . . A państwo pod Krakowem macie majątek? — zapytał zwróciwszy się do Zofii.

— Tak, jeździliśmy z wizytą do siostry Witolda, a teraz do domu wracamy . . . Mieszkamy o półgodziny od Bochni i . . . mam nadzieję, że nas pan zechcesz odwiedzić, — dodała Zosia nieśmiało, patrząc na Janusza.

— Z wielką przyjemnością, bym to uczynił, ale wezwanie mojej matki nie pozwala mi na to. Muszę jak najprędzej pośpieszać, bo chociaż nawet nie wiem dla jakiego powodu powołała mnie tak nagle, jestem o nią niespokojny i obawiam się, czy przypadkiem nie chora.

— Parę dni mógłbyś starym przyjacielem poświęcić, — rzekł Witold bardzo serdecznie. — Dla czegoż chcesz przypuszczać, że twoja matka chora. Gdyby tak być miało, kto inny by eiebie do niej zawezwał. Za dwa dni mamy piętnasty, dzień świętej Zofii, a zatem imieniny mojej żony; przyjedź do nas, Januszu, zabaw z nami do tych imienin, a potem cię nie będziemy zatrzymywali.

Ale Janusz nie dawał się namówić, chociaż miał szczerą chęć spędzenia kilku chwil z dawnymi znajomymi.

— Porównałbym nasze szczęścia, — myślał. — Ciekawy też jestem, jak ci biedacy znoszą swoje krzyże, nieuniknione przy małym majątku i nieodpowiednich wymaganiach.

Gdy dojechali do Krakowa Zosia rzekła do niego:

— Tu pana nie puścimy przynajmniej. Moi rodzice od kilku lat mieszkają w Krakowie. Razem do nich pój-

dziemy. Bardzo się ucieszą, gdy pana zobaczą, bo wszyscy pana wspominamy najmiliej. Czasu jest podostatkiem, gdyż pociąg za kilka godzin dopiero odchodzi. Chodźmy, zatem, panie Januszu.

— Ale . . . daruje pani . . . Tak przed nimi stanąć nie mogę . . . Wyglądam najszkaradniej w tem podróznem ubraniu.

— Zostawiam więc pana, — odparła Zosia, — ale im pańską wizytę obiecuję. Mieszkają na Floryańskięj w domu własnym. Do prędkiego zobaczenia.

Janusz pozostał na dworcu, gdzie kazał sobie gościnnie pokój otworzyć. Jakaś spolszczała niemka, czy też zniemczała polka, albo wreszcie — żydówka poczęła się po pokoju uwijać, a w pięknym porządku poustawiawszy potrzebne do tualety przedmioty, odeszła zostawiając Janusza samego. Był dosyć roztargniony a sam nie wiedział czemu swoje roztargnienie przypisać.

— Zdziczałeś, Januszu, — myślał, — zdziczałeś i lada stary znajomy dziwne na tobie sprawia wrażenie. No! . . . nie spodziewałem się tego spotkania. Ha! Zdziczałem! Cóż robić? . . . Dziwna to rzecz! Pomimo tylu lat zamkniętego, pustelniczego życia, coś mnie jeszcze do tych ludzi ciągnie. Nie mogę przed sobą utaić, że z prawdziwą przyjemnością powitał Zosię, a nawet i pocziwego Witolda . . . Jakże ona wyładniała! Jakże się zmieniła... Nie widać już w niej tych trochę słabych i wątych kształtów młodej i niezgrabnej panienci. Gdym ją znał dawniej była raczej podobną do rysunku początkującego artysty, który sił swoich próbuje. Dzisiaj, po kilku latach, przypomina mi arcydzieło mistrza, który pęzłem śmiało,

bez najmniejszego wachania pociąga . . . Zawsze wesola, zawsze się uśmiecha po dawnemu. Ciekawy jestem czy też doprawdy szczęśliwa? . . . Może się nawet nie zastanawia nad sobą, może powierzchownie patrząc na rzeczy, jasnej sobie z nich sprawę (nawet nie zdaje . . . Czy też jeszcze o dawnych czasach pamięta? Czy pamięta o tym swoim pierwszym balu, o tem co na nim zaszło? . . . Musiała zapomnieć . . . a może nie . . . może jeszcze siedzi jęj w myśli ten nieszczęśliwy mazur? Powitała mnie jednak bardzo uprzejmie, bardzo serdecznie i swobodnie; nie zarumieniła się nawet . . . To przecie niemożliwe, aby kobieta mogła zupełnie o pierwszej miłości zapomnieć . . . Zapomina się porządek i ilość późniejszych romansów, ale pierwszy do śmierci tkwi w pamięci tak jak się do śmierci nie zapomina pierwszej pokryjomy przeczytanęj powieści . . . Prawie żałuję, że do nich wstąpić nie mogę. Przypatrzyłbym się im, studyowałbym ich . . . Zastałbym zapewne pożącaną nędzę . . . Jaka dziś ta Zosia wystrojona! . . . jaki strój sukni, jakie bogate materye! . . . Dobrze wiedziałem, coby mnie czekało, kiedy słuchając dźwięków jęj głosu z towarzyszeniem orkiestry niewzruszony i zimny jak posąg siedziałem . . . Zosia chodzi w jedwabiach, a moja Gretchen w skromnych wełnianych sukienkach. Witeld ma dwa albo trzy razy tyle majątku ile ja, a jednak ręczę, że u nich nędza straszna, bo pożącana, gdy u mnie we wszystkim widać dostatek, chociaż zewnętrzne formy wcale nie są wykwintne. Wielka to na tym świecie nauka, żeby umieć się zastosować do swojęj pozycyi. Bez tego szczęście nie jest możebnem!

Janusz skończył tualetę i zbliżył się do lustra, aby sobie włosy poprawić.

I ja się zmieniłem... — mruknął. — Zmieniłem się przez tych kilka lat tak wesoło ubiegłych. Dziwna to rzecz, że mnie jeszcze poznali... Co widzę! Na skroniach trochę siwych włosów!... Pierwszy raz je spostrzegam.... Nie mam do nich prawa, nie mogę pojąć za co już siwieć zaczynam. To dziwne!...

I począł sobie szczotką, siwe włosy innemi zakrywać.

— Gotowi myśleć, że to zgryzoty i zmartwienia... — myślał z uśmiechem, — nie mam jeszcze trzydziestu pięciu lat, a już siwieć zaczynam..

Po chwili wyruszył na miasto aby mieszkanie państwa Rokowskich odszukać i wkrótce był już u celu.

Powitanie było bardzo serdeczne z obu stron, gdyż pomimo wszelkich swoich teoryi Janusz witał z prawdziwą przyjemnością, dawno nie widzianych przyjaciół, nie zważając na to, iż wchodził w skład przewrotnego i obłudnego świata, z którym zerwał na wieki, (z którym nie chciał mieć żadnych stosunków, którym pogardzał, którym się brzydził, jak wszystkim co kłamliwe, próżne i bez serca.

— Mogę panu udzielić wiadomości o matce, — rzekła do Janusza pani Rokowska. — Wczoraj odebrałam list od niej.

— Czy zdrowa? — zapytał Janusz.

— Zupełnie zdrowa.

— Chwała Bogu!... Byłem o nią niespokojny, bo



mnie nagle telegramem do siebie wezwała, ale teraz widzę, że mnie tylko zapewne dla interesów przywołuje.

— O tém nie wiem, — odparła pani Rokowska. — Nic mi o interesach nie wspomina. Pisze, że się pana spodziewa i ma nadzieję za miesiąc albo najdalej za sześć tygodni do nas na wieś przyjechać, jak to nam wyjeżdżając obiecała.

— W takim razie, kiedyś zupełnie o matkę spokojny, możesz nam parę dni czasu poświęcić, a nie będzie się za to na ciebie gniewała, — mówił Witold nalegając na Janusza.

— Koniecznie nas pan musisz odwiedzić! — zawołała Zosia. — Próżno się pan chcesz wymawiać, nie puścimy.

— O! Bynajmniej się wymawiać nie myślę, — odparł Janusz. — Widzę, że mnie matka wezwała dla interesów, a te zawsze mogą poczekać. Z największą zatem przyjemnością złożę państwu na wsi wizytę.

— Dziękuję! — rzekła Zosia podawszy mu rękę.

Po chwili toczyła się w salonie dosyć ożywiona rozmowa. Pytania sypały się za pytaniami po tyłu latach nie widzenia, ale Janusza wypytywano bardzo ostrożnie. Każdy wiedział, że był żonatym, wiadano że wziął chłopkę za żonę, i sama przeto delikatność nie pozwalała wypytywać się o nią, równie jak i o wszystko co z nią tylko styczność mieć mogło. Janusz od razu zauważył te wszystkie manewra; bolało go to, że przed tak przychylnymi i dobrymi przyjaciółmi nie śmiał mówić o tém, co miał najdroższego na świecie, a jednak pewną czuł wdzięczność za te dowody delikatności. Biedny Ja-

nusz! Nie mógł nawet mówić o swoim szczęśliwym z Gretchen pożyciu.

Ale za to o córce, o małej Lizie opowiadał z zapalem. Opowiadał o jej dziecinnych naiwnościach i docwipach, o jej czułym i wrażliwym sercu i czarującej towarzyszce, a wszyscy go z zajęciem słuchając, nie mogli nie ubolewać na myśl, jaki los czeka to dziecko tak pięknie przez Janusza opisywane, jakie je koleje czekają przy tak niestósownie dobranych rodzicach. W końcu Janusz się ośmielił, począł opowiadać o cichem i spokojnem życiu jakie w Czechach pędził, a raz nawet, wspomniawszy żonę. Ale wnet, jakby zawstydzony, zamilkł i po chwili rozmowę niezgrabnie na inny zwrócił przedmiot.

Zbliżyła się godzina odjazdu. Wszyscy powstali.

— Rodzice z nami jadą? — zapytała Zosia.

— Nie, moje dziecko, — odparła pani Rokowska. — Jutro przyjedziemy. Przyszliście po nas konie do Bochni. Nie wiedzieliśmy, że nas dziś odwiedzicie... Jutro przyjedziemy wieczornym pociągiem.

— Wiele osób się spodziewacie? — zapytał pan Rokowski.

— O! Kilka zaledwie.... Parę osób z sąsiedztwa; może kto zechce z Krakowa przyjechać... — odparła Zosia.

— Więc frak nie jest obowiązujący?

— O papo! zawsze! — zawołała Zosia. — Frak niezbędny!

— Przesady i komedye! — pomyślał Janusz.

— Widzisz, Januszu, — rzekł pan Rokowski. — Starzeje się. Już się nawet od fraka wypraszam.

— Komedye i przesady! — myślał Janusz.

— Ale zapomniałem panu powiedzieć, — zawołała Zosia, zwracając się do niego, — że się spodziewamy dawnego i dobrego przyjaciela pańskiego, pana James, który był tak przylgnął w Dreźnie do polskiego towarzystwa. Musisz się pan bardzo cieszyć z téj wiadomości.

— Jakto! John w Europie! — zawołał Janusz i serce mu żywiój zabiło. — John ma przyjechać!...

— Dotąd w Europie. Nieustannie podróżuje. Bardzo na nas jest łaskaw ba regularnie na nowy rok i na moje imieniny pisuje z powinszowaniami. Parę tygodni temu odebraliśmy list od niego z Lizbony. Pisał, że już całą Europę dokładnie zwiedziwszy, myśli ją opuścić i do Ameryki powrócić. Nie chce jednak wyjeżdżać nie odwiedzwszy nas na wsi i na moje imieniny ma do nas zawitać, przyczém skorzysta z okazji i będzie się starał dotrzeć aż do Tatrów. Pisze dalej, że myśli się już ustatkować, wyszukać sobie piękną i dobrą żonę a wtedy osiąść na wsi w Florydzie i tam pędzić pracowite życie.

— Wspaniałe projekta! — rzekł Janusz z uśmiechem.

— Dodaj, moja Zosiu, — wtrącił Witold, — że chce szukać żony pod każdym względem podobnej do ciebie. Tak stało w jego liście.

Zosia się roześmiała.

— Prawda, — rzekła, — zapomniałam o tém. Uprzedzę go jednak, aby nim wybór uczyni, u ciebie rady zasięgnął i spytał, czy żona pod każdym względem do mnie podobna jest w stanie uczęścić męża.

— Wiesz naprzód jaką, mu dam odpowiedź, — rzekł Witold.

— Komedye! Zawsze i wszędzie komedye! — myślał Janusz słuchając rozmowy małżonków. — Moja Gretchen nie ma czasu na podobne reprezentacje. Pracuje i wie, że ją kocham, choć się mnie o to przy obcych nie pyta. Szczęśliwa, o moje szczęście spokojna.

— Czemu się pan na nas patrzysz tak ironicznie? — zapytała Zosia. — To nie ładnie tak otwarcie drwić z kogoś.

— Pani się mylisz, — rzekł Janusz. — Nie śmiej drwić ani nawet ironicznie spoglądać. Owszem, uśmiech mój wywołało wzruszenie na widok niepewności z jaką się pani pytałaś Witolda o to, czy jest szczęśliwym. To był uśmiech politowania.

Zosia ze zdziwieniem spojrzała na niego.

— Nie rozumiem pana... nie pojmuję dla czego litość wzbudzić mogłam. Wytłumacz się pan.

— Żona, która po kilku leciech nie wie jeszcze czy ją mąż kocha i czy z nią szczęśliwy, pod każdym względem obudza litość w człowieku, który jak ja, tyle ma dla niej przyjaźni, — mówił Janusz sentencyonalnie i udając naiwne. Przytem nie spuszczał z niej oczu.

— Czyżes pan tak zdziczał na swojej odludnej pustyni, że nie umiesz prawdy od . . . żartu rozróżnić? — zapytała Zosia z lekkim, jakby wahającym się uśmiechem. Nie wiedziała czy Janusz się z niej wyśmiewał, czy też mówił poważnie.

— Na mojej pustyni patrzę na prawdę i prawdę tylko słyszę, bo nie umięją tam... żartować. Miałem,



pokazuje się, słuszność, kiedym się z panią nieraz spierał przed laty, dowodząc, że téj prawdy nie ma czego szukać w wyższym świecie, bo się jój tam nie znajdzie.

Zosia lekko zarumienwszy się odparła z żywością :

— Widzę, że i na pustyni nie lepiej, bo jeżeli pozwoliłam przed panem małą scenę odegrać, pan także musisz przyznać, żeś nie był szczerym, gdyż chciał widzieć inaczej jak rzeczywiście było.

— Nie ma nic szkodliwego nad zły przykład, — odparł śmiejąc się Janusz.

— Dzieci! — zawołał pan Rokowski. — Nie sprzecząjcie się niepotrzebnie, ale lepiej jedźcie już, bo pociąg na was czekać nie będzie. W domu waszą sprzeczkę skończycie, choć ja wam powiem szczerze, że nawet tego nie warta.

I Janusz i Zosia przyznali w duchu słuszność słowom pana Rokowskiego, choć głośno, niby protestować chcieli. Nie stało im nawet na to czasu. Godzina była spóźniona a chcąc w porę trafić na pociąg, trzeba było się spieszyć.

Po krótkich pożegnaniach nasi podróżni zdążyli na dworzec. Janusz Zosię prowadził, a Witold idący za nimi, zdawał się zupełnie zabawieniem małej Wandzi zajęty.

---

## ROZDZIAŁ VIII.

Majątek Witolda nie był wielki, a i wszystko zdawało się zastosowaniem do niego. Domek był mały, pokoje w nim — odpowiednie. Wchodziło się przez salę jadalną, jak w dawnych staropolskich dworach. Sala miała dwa okna na dziedziniec wyglądające. Meble w nich były nadzwyczajnie skromne, ale świeciły się od częstego ścierania z nich kurzu. Równie pięknie świeciła się woskowana posadzka. Na wielkim, staroświeckim bufecie stały wazy z kwiatami, roznoszącymi miły zapach po całym pokoju. Na ścianach wisiały portrety rozmaitych osób, należących do rodziny Witolda i jego żony, a złote ramy portretów dobrze się odbijały na ciemnym, brunatno zielonym szpalerze, którym pokój był oklejony. Wesole *тік так* ściennego zegara przerywał ciszę w pokoju. Z sali jadalnej drzwi prowadziły do salonu, dość obszernego w stosunku do innych pokoi, gdyż łatwo mógł w sobie piętnaście, albo nawet i więcej par w kadrylu pomieścić. I tu ściany niknęły pod obrazami, z których niektóre niezłe, mogły

na chwilę uwagę znawcy zatrzymać; inne zaś zupełnie nieszczególne gubiły się w massie. Meble w salonie były proste, skromne, ale wygodne; stały porozrzucane w pięknym malowniczym nieładzie. Na stołach, oknach, gdzie tylko znaleźć można było trochę miejsca, zieleniły się i pstrzyły kwiaty w doniczkach, a różnorodnym, jakby nieśmiało się roznoszącym w powietrzu zapachom przywozcił zapach rezedy, zawsze najprzyjemniejszy w pokoju. Troje zaszkłonych drzwi wyprowadzało z salonu na niski, kamienny taras, z kąd rozlegał się widok na niewielki ale stary ogród, zarosły ogromnymi drzewami, na staroświeckie cieniste aleje i porozrzucane na trawniku klomby z kwiatów lub krzewów. Ogród słabą pochyłością, schodził do niewielkiej, o szklistej powierzchni, nie zarosłej trziną, sadzawki. Za nią wznosił się stary kościółek, a przy nim dokoła gromadziły się wiejskie chałupy i cieniste owocowe ogrody. Dalej, tło tego pejzażu stanowiły niewysokie, dość strome, lasem zarosłe pagórki, a nad niemi — niebo.

I nic się już więcej widzieć nie dawało, ale też nikt więcej nie wymagał, bo chociaż żaden *Mont-Blanc* nie strzelał pod niebo śnieżnym swoim szczytem, żadna Niagara nie szumiała jakby uragan, nie podnosiły się, nie szalały bałwany rozhukanego oceanu, chociaż w ogrodzie zamiast wellingtonii, eukaliptusów i baobabów wznosiły się lipy, modrzewie i klony, chociaż kościółek nie przypominał bazyliki świętego Piotra w Rzymie albo kolońskiej katedry, choć wszystko było skromne w tym wiejskim krajobrazie, widok z tarasu był wesoły, czarujący i godzinami można było z przyjemnością nań patrzeć.

Z salonu wchodziło się do małego buduaru Zosi, —

wonnego i uroczego gniazdka, pomimo tego nawet, że się pod oknem wznosiło poważne, surowe, staroświeckie biurko, — spadek po prababce Witolda, które z gniewną miną zdawało się patrzeć na cały pokój i jego nowożytnie umeblowanie. Meble były niskie i miękkie. Nie można było dojrzeć w nich kawałka drzewa, tak zewsząd były jasną, wesołą materią obite. Zdawały się uśmiechem odpowiadać na groźne wejrzenia sztywnego biurka. W buduaru jak i w salonie wisiały obrazy na ścianach; były zastosowane do pokoju, do téj uroczej świątyni pięknej kobiety. Można tam było widzieć rozmaite akwarelle, niektóre wcale dobre, niektóre zaś zupełnie mierne, jakie się często widuje po prywatnych salonach. Wisiał też tam na ścianie owalny pastelowy portret Zosi, wykonany przez jedną z córek znanego nam pana Ignacego, który, pomimo tego, że w oczach ojca uchodził za niepospolicie utalentowaną artystkę, mało się mógł przyczynić do ustalenia jej sławy.

Jednem słowem nic tam nie było nadzwyczajnego, jak w całym domu, jak i w ogrodzie, jak i we wsi wreszcie a jednak, wszystko razem było miłe, powabne i wesołe. Reszty domu nie ma potrzeby opisywać, składa się z pokoi mieszkalnych i gościnnych. Przy sali jadalnej znajduje się kancelarya Witolda, służąca razem za bibliotekę. Dookoła ścian obiegają proste, bez pretensyi, półki, a na nich jak żołnierze uszykowane w porządku stoją książki. Mebli niewiele, ale wygodne, przyjemne, okryte zielonym, wytartym i wypłowiałym safianem.

Zewnątrz, najsumienniejszy badacz i znawca nie odkryłby w jakim stylu dwór pobudowany. Ściany nikną

pod gęstą, zieloną zasłoną z dzikiego wina, hedery i innych pnących się roślin. Wystrzyżone w téj zasłonie otwory pozwalają światłu przez okna się do wnętrza domu dostawać. W około niego obiegają szerokie wstęgi nasiane różnorodnymi pachnącemi kwiatami, a głównie brzydką, nieokazałą, ale najwonnejszą ze wszystkich — rezedą. Przed dworem od strony najazdu ciągnie się dość wielki trawnik, na którym wznoszą się majestatycznie oddzielnie stojące stare lipy. Po prawej stronie podwórza, za gęsto zarosłemi drzewami postawione gospodarskie budynki Zosi, oficyny, spiżarnia, kurnik i krowiarnia, a na lewo, równie drzewami zakryte — stoją stajnie, dalej stodoła i inne zabudowania, zostające pod nadzorem Witolda.

Już słońce było zaszło od dawna. Na niebie świecił wązki, ostro zarysowany sierp księżycy, kiedy przed ganek zajeżdżał koczyk ciągniony przez dwa piękne i rasowe konie.

— Jak tu przyjemnie pachnie! — zawołał Janusz, wyskakując z powozu i podając rękę wysiadającej Zofii. — Jaka szkoda, że już ciemno, i nie mogę dziś jeszcze miejscowości obejrzeć. Bardzobym chciał zobaczyć, jak też państwo mieszkacie... Co za miły zapach w powietrzu!...

— Nie ma tu nic do widzenia, — odparła Zosia. — Wszystko skromne, małe, bez żadnych pretensyi, ale miłe i urocze. Od razu pokochałam ten zakątek i za żadne skarby nie chciałabym go zamienić na inny.

— Na spotkanie nowoprzybyłych wybiegł staruszek pochylony, ledwo mogący, zda się, utrzymać na nogach. Uśmiechnął się na widok swoich państwa i począł ku-

ferki wyjmować z powozu. Był to sługa, Jan, siedemdziesięcioletni starzec, od dzieciństwa zostający na usługach rodziny Witolda. Znał jego ojca i dziada. Nieraz go Witold namawiał, aby już sobie na łaskawym chlebie wypoczął, aby spokojnie przy mnogich wnukach już osiadł. Ani namowy ani nawet prośby do niczego przyprowadzić nie mogły. Stary Jan był uparty i zawsze jedno odpowiadał:

— A któż będzie sreber pilnował? Kto będzie do-  
glądał czy porcelany nie tłuką? Kto będzie prochy ścierał  
po pokojach, jeżeli mnie przyjdzie chętka do próżnowania.  
Jabym sam nawet nie mógł się obejść bez dworu i co-  
dziennego zajęcia. Jak się po pokojach nie przejdę, jak  
nie pozamiatam pyłu ze stołów, zaraz potem czuję, że  
mi czegoś nie dobrze... że czegoś chory jestem. O! Ja  
mam jeszcze sił dosyć, a najmniejszej ochoty nie mam  
chorowania z próżniactwa. Państwo się bezemnie obejść  
nie potrafią, jak ja bez nich żyć nie mogę.

I poczciwy staruszek zostawał, prochy ścierał, sre-  
bra i porcelany rachował.

Zauważono jednak od jakiegoś czasu, że się wido-  
cznie począł zaniedbywać. Temu była winną mała Wand-  
zia. Nie mógł jój widzieć przechodzącej przez pokój  
aby się z nią nie pobawić, nie! popieścić. Brał dziecię  
na ręce, biegał z nią udając konia, śmiał się do niego,  
chował się pod stół, aby jego szukało i nieustannie sobie  
głowę suszył nad tem, aby jaką nową zabawę dla niego  
wymyślić, aby ją czem nowem rozweselić! Gdy mu się  
jaki wynalazek udawał, gdy Wandzia śmiechem i kla-  
skaniem w ręce okazywała mu szczerą swą radość, stary  
Jan cieszył się jak dziecko i jak dziecko czasem wzru-

szony ukradkiem łyż rozrzewnienia ocierał. Żadna niańka nie mogła mu sprostać w troskliwości o małą dziewczynkę. Często ją prowadził na spacer, sadzał do wózka i po ogrodzie obwoził. Wiele razy Zosia widziała córkę stojącą pod opieką starego Jana, zupełnie była o nią spokojna, jak gdyby sama nad nią czuwała. Jan umiał ocenić zaufanie swój pani, gdyż wiedział, że nikomu innemu nie powierzonooby dziecka, nawet niańce, której nie było wolno oddalać się z niem od domu.

— Janie, — rzekł Witold, wskazując na Janusza.

— Rzeczy pana każesz do zielonego pokoju na wieży przynieść.

— Cóż to! — zawołał Janusz. — Czyż jesteśmy w jakim feudalnym zamczysku?.. — i począł się w około rozglądać.

— Nie, — odparła śmiejąc się Zosia. — Jest parę pokoi na górze i my to szumnie wieżę nazywamy. Zobacz pan jutro z rana jaki z niej piękny widok na wieś i na okolicę.

— Z niecierpliwością zatem będę jutra oczekiwał.

Po chwili wszyscy siedzieli w sali jadalnej za stołem. Jan nie opuszczał swojego miejsca przy bufecie, gdy drugi młodszy służący obnosił herbatę i półmiski z kolacją.

— Jakże tu wszędzie przyjemnie pachnie! — mówił Janusz, chciwie wciągając w siebie powietrze. — Co pani robisz, aby mieć kwiaty tak wczesnie.

— A! To jęj sekret! — zawołał Witold wesole. — Od dwóch tygodni ma już kwiaty, wtedy gdy w sasi-

dzwie zaledwie je rozsadzają, w ogródnice. Moja żona uchodzi w ekolicy za najlepszego ogrodnika.

— Widzi pan tę salę, jaka mała i nizka, — mówiła Zosia. — Reszta pokoi odpowiedniej wielkości. Jutro pana po całym domu oprowadzę. Ogród także niewielki, ale mamy dużo cieniu a równie starych drzew w zyciu może nie widziałam. Ogród ten zakładał... kto Witoldzie?

— Babka mojego pradziada. Dom jednak mniej stary. Jan pamięta jak go mój dziad stawiał. Musiałem go trochę przerobić i dobudować parę pokoi, a mam nadzieję, że jeszcze długo stać będzie. Dawniej nie tak budowali jak dzisiaj. Prawda Janie? — i Witold zwrócił się do staruszka.

— Oj! prawda . . . prawda . . . Napatrzyłem się ja na to co teraz ludzie stawiają. Nic nie warte! — tu stary Jan pogardliwie kiwnął ręką. — Nic nie warte, jak wszystko co teraz ludzie robią albo wymyślają. Ot!.. te koleje żelazne na przykład. Najeżdżają Niemcy, Włochy... Nikt, o nich dawniej nie słyszał. Jak pan jechał do miasta to kazał sobie zaprzędz sześć koni do landary i najwygodniej w świat wyruszał, a pewnie prędzej do celu dojeżdżał. Z tyłu szła bryka z rzeczami i z kuchnią. O! Niehoszcyk p. podkomorzy...

— Mój pradziad? — zapytał Witold.

— Tak jest. On to przecie dużo się po świecie najężdżił. Gdzieś tam nawet i po morzach pływał, a wszędzie miał swoje konie i powóz. Żyje tu jeszcze wnak jego furmana Stacha, co to go nigdzie nie opuszczał. Gdzie się pan podkomorzy nie obrócił zawsze był panem,



bo był u siebie. Miał swoje konie, swoich ludzi i zatrzymywał się tam gdzie się jemu podobało, a nie tam gdzie jemu kazali, jak to się teraz widzi na tych kolejach. Co chwile stają, jakby nie wiedzieli dokąd jada, i o drogę pytali. A co to rozmaitych ludzi pozamykanych w tych domkach na kołach! Grzech nawet pomyśleć, że czasem polski pan jedzie, a koło niego jakiego Niemca posadzą!

— Cóż to szkodzi, Janie? — zapytał Witold z uśmiechem.

— Jakto co to szkodzi!... E! Ja wiem, że jasnie pan chce tylko ze mnie żartować, a sam wie najlepiej, że nie godzi się Niemcowi siedzieć obok szlachcica. — I Jan roześmiał się na myśl, że Witold chce z niego żartować.

Zosia kręciła się niespokojnie na krześle i z boku badawcze na Janusza rzuciła wejrzenie, obawiając się, aby niepoehlebne odezwanie się Jana o Niemcach nie sprawiło na nim przykrego wrażenia. Ale Janusz słuchał z upodobaniem gawędy staruszka i zdawał się jemu nawet potakiwać.

— Teraz, panie, nikomu wierzyć nie można, — ciągnął Jan dalej smutnie głową kiwając. — To wszystko wina Niemców. Gdy komu wypadnie jaki interes musi się rozpisywać i suszyć sobie głowę nad tem w jakibyto sposób każde słowo obrócić, w razie gdyby kto chciał szukać wykrętów. A jednak, pomimo tego, każdy interes pociąga za sobą tysiączne nieprzyjemności, bo już nikomu wierzyć nie można, bo naokoło łotry czyhają na sposobność wydrwienia cudzego gresza. A dawniej . . . dawniej nie tak się rzeczy odbywały. Ot! pan podkomo-  
rzy . . . kupił przyłogły folwark od starego cześnika...

A w jaki sposób?... Oto pan cześnik potrzebował pieniędzy i tutaj przyjechał. Powiedział panu podkomorzemu, że chce jeden folwark sprzedać, że ma tyle a tyle ziemi po takiej a takiej cenie, że gwałtownie potrzebuje pieniędzy, bo go tam jakiś sprowadzony zamorski Niemiec, w rozmaite, głupie interesa poplątał. Inny na miejscu pana podkomorzego byłby się chciał potargować i zbić ile można na cenie. Byłby sobie pomyślał, że kiedy szlachcie goły, a pieniędzy mu gwałtem potrzeba, należy z tego korzystać i folwark nabyć za bezcen. Dzisiaj każdy by w ten sposób postąpił. Tymczasem pan podkomorzony, dla tego właśnie, że cześnik był w biedzie, nie chciał się nawet targować, bo mu na to nie pozwalało sumienie. a zresztą i ludzie by o tem gadali. Że zaś miał sporo pieniędzy w szkatule, tego samego dnia jeszcze, bez żadnego pisania, bez świadków, bez malowanego papieru, wypłacił panu cześnikowi pieniądze gotówką, a potem żył, chwala Bogu, jeszcze lat ze dwadzieścia i nigdy żadnych nie miał nieprzyjemności. Czyżby się dzisiaj ktokolwiek odważył tak, jedynie wierząc słowu, kupować albo sprzedawać. Ot! jacy ludzie dawniej bywali! zawołał Jan tryumfująco, kończąc swoje opowiadanie, — a teraz . . . — machnął ręką, z niechęcią i oparł się o bufet smutnie głowę zwiesiwszy.

— Macie słusność, Janie, — rzekł Janusz z uprzejmym uśmiechem. — Ja, choć jeszcze młody, szczerze wyznaję, że dalekie już od nas te dawne czasy, kiedy każdemu prawie można było zaufać, kiedy każdy był uczciwy, bo się Boga obawiali. Te czasy już nigdy nie po-

wróca, a z każdym dniem będzie coraz gorzej, bo dzisiaj ludzie zupełnie są inni.

— Tak, tak, — mówił Jan smutnie głową kiwając. — Ja pana nie znam, pierwszy raz pana widzę, ale od razu umiem poznać, że z pana człowiek rozumny.

— Podziękuj pan za komplement! zawołała śmiejąc się Zosia. — Nigdy prawie nie słyszałam, aby stary Jan go go pochwalił. Ale za to jak chwali, to szczerze . .

Janusz był sobie podbił serce staruszka. Choć drugi służący stół obszedł z półmiskiem dookoła, poczem go na bufecie postawił, gdy Jan zauważył tylko, że gość z apetytem kończył zmiatać z talerza, schwycił wnet w drżące ręce półmiskę i uprzejmie go podał Januszowi.

— Dziękuję, — rzekł Janusz z uśmiechem odtrącając półmiskę. — Dziękuję nie będę jadł więcej.

Jan oddalił się mrucząc:

— Myślałem, że kiedy myśli po dawnemu, to i je tak samo.

Już miano wstać do stołu, gdy w tem ścienny zegar zaczął stękać, a po chwili, przez otwierające się na nim dzwiczki wyskoczyła kukółka, trzepnęła skrzydłami i trochę ochryplym głosem dziewięć razy zakukała.

Janusz spuścił głowę, oczy w obrus utkwivszy; na twarzy jego ukazał się uśmiech, ale nie ironiczny, nie zjadliwy.

Zosia trąciła męża i rzekła powstając od stołu:

— Bawi pana ten staroświecki zegar, ta pospolita kukółka. Dawniej, prosiłam Witolda aby ten antyk ztąd zabrał, ale nie dał się przebłagać i sama tego nie żałuję teraz, bo kukółka zawsze prawdziwą radość sprawia Wandzi. Ogromne to szczęście, gdy, wystawszy się nieraz

długo pod ścianą, doczeka się w końcu kukutki i przysłuchuje się jej krzykom z uśmiechem. Nawet Witold ma dziwne, dziecinne przywiązanie do tego zegaru. Przypomina mu dawne lata i dla tego jej tknąć nie śmie . . . A teraz, kiedy się z niej wytłumaczyłam przed panem, nie ujrzę już tego szyderskiego uśmiechu, gdy tylko godziny bić będą.

— Ja się nieśmiałem, — odparł Janusz, podając jej ramię. — Jeżeli to kukanie uśmiech na moją twarz wywołało, było to tylko skutkiem rozrzewnienia. I mnie ono przypomniało moje dziecinne lata, i mnie się wydaje słuchając tego znajomego głosu, że widzę dawne, wesołe ubiegłe czasy, że widzę moich rodziców jeszcze młodych i szczęśliwych . . . Dzisiaj ojciec nie żyje, a matka.. matkę rzadko mogę widywać!

I Janusz westchnął, jak gdyby żałował tych lat ubiegłych, jak by tęsknił za tem dawno minionemi, dziecięcym szczęściem, jakgdyby terażniejszość nie była tak wesołą, tak barwną jak przeszłość, którą krzyk kukutki jemu przypominał. On, który wszystko lubił wyrozumować i wytłumaczyć przed sobą, nie pytał nawet siebie, dla czego mu się to westchnienie z piersi wyrwało.

Podał rękę Zosi i prowadzony przez nią opuścił salę jadalną. Weszli do słabo, jedną lampą oświetionego salonu. Drzwi na taras stały otwarte, a świeże wiosenne powietrze przynosiło woń kwiatów do pokoju. Słychać czasem było coraz radsze, coraz słabsze dźwięki delatujące od strony wioski, która usypiała po całodziennych tródlach. Księżyc świecił na niebie, wysoko się zbliżył do góry; przy nim dokoła gwiazdy uknęły, ale bliżej ho-

ryzontu coraz wyraźniej dawały się rozróżnić. I one i księżyc zdawały się patrzeć na ten skromny domek, na to szczęśliwe i wonne gniazdko. Drzewa poruszane słabym, zachodnim wiatrem, lekko, cicho szemrały. Pod mostem w ogrodzie, słabo im odpowiadała woda wynykająca się z sadzawki.

Wszyscy posiadali na tarasie i długi czas trwało milczenie. Pierwsza je Zosia przerwała lekkim kasaniem.

— Moja droga, — rzekł Witold zwróciwszy się do niej. — Nie dobrze robisz, że tutaj siedzisz. Noce mamy jeszcze bardzo świeże i wilgotne.

— Chcesz, ze mnie zrobić wygnankę i samą w pokoju zostawić podczas gdy z panem Januszem będziecie się rozkoszowali tem upajającym powietrzem, — prosiła się Zosia.

— Ale i my do pokoju przyjdziemy, — odparł Witold. — Myślę, że Janusz chętnie na to przystanie. Jemu to zapewne zupełnie obojętne.

Janusz ocknął się z zadumy.

— Chodźmy do pokoju, — rzekł w odpowiedź Witoldowi.

Powrócono do salonu. Na wielkim, owalnym stole, przed kanapą stojącym, paliła się lampa. W tę stronę skierowano kroki. Na stole leżało kilka wielkich, bogato oprawnych księdek. Janusz machinalnie wziął jedną z nich do ręki i począł z roztargnieniem jej kartki przetrzucać. Zosia skinęła na męża, przyłożyła palce do ust,

poczem na zapytujące spojrzenie Janusza kiwnęła głową w sposób potakujący.

— Palisz, Januszu? — zapytał gospodarz, podając mu cygarnicę.

— Nie śmiałbym tutaj palić . . . przy damie.

— Zosia pozwala. Dowód to wielkiej łaski, gdyż nie lubi aby jój w pokojach kurzono. Dla starych jednak znajomych robi czasem wyjątki.

Janusz nie opierał się, podziękował i zapalił papierosa. Witold poszedł za jego przykładem.

— Nie mogę wyjść dotąd z podziwienia, — odezwał się Janusz po chwili. — Jak tu wszystko skromne, proste, a jednak piękne i wesołe. A przytem tyle wszędzie kwiatów, taki miły zapach w pokojach . . . kto tutaj urządza mieszkanie? Zapewne pani, bo znam Witolda jako zawołanego gospodarza, ale nie wiem, czy mam w nim podejrzewać talent do urządzenia apartamentów.

— Wszystko tutaj zastałam w takim porządku, jaki pan teraz widzisz, — rzekła Zosia. — Witold zajął się wszystkim. Gdy tu przyjechała wszystko już było na moje przyjęcie gotowe i nic mi nie pozostało jak tylko się cieszyć i chwalić. Bardzo mi jest przyjemnie, że nasze skromne gniazdko zdołało się panu podobać. Nie wiem czy jego urządzenie odpowiada surowym regułom, czy jedne meble się z drugimi zgadzają, czy ostry i mądry krytyk znalazłby cokolwiek zasługującego na pochwałę, ale ja bardzo kocham nasz domek, każdy mebel, każdy

obraz na ścianie, chociaż sama przyznaję, że mało który godzin zwrócić na siebie uwagę. Lubię to wszystko, bo mi przypomina każda z tych rzeczy, że ja Witold stawiał lub wieszał na moją intencją, myśląc tylko o tem aby mnie zrobiła przyjemność. Na miesiąc przed moim ślubem zniknął nam z oczu, zamknął się tutaj i całe dnie spędzał na urządzaniu i meblowaniu naszego domu. Choć się z początku za to gniewałam na niego, potrafiłam to później ocenić.

— Ślicznie . . . Prześlicznie . . . — mówił Janusz z uśmiechem. — Wszędzie ślicznie, a co najpiękniejsze to kwiaty, wszędzie kwiaty!

— To rzecz najmniejsza. O te nie trudno.

— To prawda, — mruknął Janusz i westchnął. Przypomniał sobie, że u niego w ogrodzie nie można było jednego znaleźć kwiatka; .. że w cieniu nielicznych drzew, owocowych tylko się grządki z warzywami i kapustą, widzieć dawały.

Spędzono godzinę w salonie. Witold i Zosia żadnych nie szczędzili starań, ażeby gościa rozweselić. Daremne były ich usiłowania. Słowa prawie nie wyrzekł w ciągu wieczoru, a gdy mówił kto inny nie zdawał się nawet jego słyszeć. Był zamysłony i nawet, jak się zdawało, trochę smutny.

Po dziesiątej odprowadził go Witold do gościnnego pokoju na wieży. Pokój był niewielki, ale czysty i wesoły; nie brakło tam na niczem. W żadnym hotelu Janusz by nie mógł równie przyjemnie noc swoją przepę-

dzień. Łóżko było miękkie, wygodne, a pościel — świeża, pachnąca.

Ale Janusz długo się kręcił nim nau się w końcu udało zasnąć snem ciężkim i niespokojnym.

O ósmej z rana przebudził się na odgłos dzwonka.

Po chwili zjawił się służący w pokoju.

— Czy jaśnie panu tutaj przynieść śniadanie? — zapytał.

— Nie, dziękuję. Zaraz sam zejść.

I Janusz począł się spiesźnie ubierać.

---



## R O Z D Z I A Ł IX.

Janusz nie zastał nikogo w pokojach. Gdy przechodził przez salon usłyszał dźwięczny głos Zosi, który do niego doleciał przez stojące otworem drzwi od tarasu u.

— Proszę pana tutaj! — wołała Zosia.

Janusz zastał ją siedzącą za stołem do śniadania przygotowanym. Witolda przy niej nie było. Po przywitaniach Janusz usiadł na wskazanem mu krześle i poszedł się do koła rozglądać. Wszystko, począwszy od samej gospodyni ubrane było w świeżą, poranną sukienkę. Na kwiatach iskrzyły się krople rosy. Powietrze było świeże i wonne. Przed domem uwijali się ogrodowi chłopcy, obficie wodą kłębki kwiatów zlewając.

— Nie ma Witolda, — rzekła Zosia. — Kazał pana bardzo przeprosić, ale musiał w pole wyjechać. Na obiad będzie z powrotem.

— Czy państwo się tak zawsze rano zrywacie? — zapytał Janusz.

— Rano?.. Nie znajduję wcale aby było tak rano. Już przecie po ósmój. Wstajemy zwykle koło siódmój, w lecie często nawet wcześniej. Nie ma nic piękniejszego od wiosennego poranku na wsi. Wszystko tak wesoło i tak świeżo wygląda. Witold zwykle po śniadaniu wyjeżdża w pole i ogląda swoje gospodarstwo, a o pierwszój już jest z powrotem. Zasiadamy do sumiennie zapracowanego obiadu, bo i ja jestem zawołaną gospodynią. Mam mnóstwo w domu zajęcia...

— Jakto! pani się także bawisz gospodarstwem? — zawołał Janusz nie bez zdziwienia.

— Nie bawię się, ale się trudnię najpoważniej w świecie. Pokażę panu moje krowy... przesłiczne! Niedawno sprowadzone z Szwajcaryi. Witold chciał mi zeszłego roku zrobić na imieniny niespodziankę i wypisać cztery srokatę krowy. Co dzień muszę do nich zaglądnąć, aby się o ich zdrowiu dowiedzieć. Potem gospodarstwo obchodzę, a wróciwszy do domu zawsze znajdę jakieś zajęcie. Po obiedzie odpoczywamy, czytamy. Witold śpiewa a ja gram, czasem rysujemy, a często też robimy wizyty. Mamy kilka domów w sąsiedztwie i bardzo nam z nimi dobrze.

— Wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi, — mruknął Janusz. — Nowinki, ploteczki...

— O panie, — przerwała Zosia, — oddawna przysłowiom wierzyć przestałam. Bardzo miłych i dobrych mamy sąsiadów i do nich w żadnym razie, pańskiego przysłowia zastosować nie można. Często się wieczorami zbieramy, muzykujemy, gawędzimy albo czytamy. Czasem nawet staje trzy albo cztery pary do tańca. Wtedy

kto z obecnych siada do fortepianu, meble się usuwają pod ściany i następują tańce, które często dwie lub trzy godziny trwają. Zamiast ciast, cukrów i win zamorskich mamy świeże mleko, owoce albo jagody i w ten sposób, bez wystawy, bez żadnej pretensyi nieraz się u nas lepiej bawią, niżli na najtłumniejszych balach i zebraniach.

Janusz słuchał z zajęciem wesoło szczebiocącej Zosi. Od czasu do czasu ukradkiem na nią spoglądał. Była prześliczna w swojej białej, porannej, skromnej sukience. Twarz jej zawsze wesoła, lekko się rumieniła. Zewsząd otoczona kwiatami, na pięknym, zielonym tle starego ogrodu wyglądała jak leśna jagoda.

Oni doprawdy szczęśliwi, — myślał Janusz prawie bez powątpiewania. — Jakże oboje wyglądają wesoło. Nic, zda się, im do szczęścia nie brakuje. — I dodał głośno: — Rzeczywiście wszystko co słyszę, wszystko na co patrzę daje mi do myślenia jak mało do szczęścia potrzeba.

— Zosia badawczo na niego spojrzała.

— Pan ze mnie żartujesz, — rzekła po chwili. — Panu się śmiesznem wydaje, że się ze mnie taka wieśniaczka zrobiła.

— O nie, pani, nie! — żywo zaprotestował Janusz. — Wcale nie mam żartów na myśli. Owszem, co mówię to czuję, a wcale się nie myślę, bo tam tylko szczęście, gdzie się żyje prosto, więcej sercem niż głową, niż tem co ta głowa wymyśli, wyroi. I ja szukałem szczęścia w prostocie, szukałem go i znalazłem. Nie mam potrzeby słów swoich przed panią w bawełnę obwijać. Ożeniłem się z prostą, nieokrzesaną dziewczyną, a uczyniłem to dla

tego jedynie, że była naiwną i prostą. Nie mówię nawet o jej piękności... — I Janusz zatrzymał się! spojrział ukosem na Zosię, jakgdyby chciał porównanie uczynić. Potem dodał po chwili wachania: — A zresztą... Pani ją sama widziałaś.

Zosia milczała przez chwilę i rzekła w końcu:

— Widziałam. Bardzo jest piękna . . . ale . . . gniewam się na pana, nie mogę mu jednej rzeczy darować, — i zatrzymała się w obawie powiedzenia więcej niż to co zamysłała.

Janusz nie bardzo wiedział do czego dążyła. — Czyby jeszcze pamiętała dawne dzieje? — myślał. — Czyby miała do mnie za to urazę? — Ale choć mu się te myśli nasunęły do głowy nie wywarły na nim przykrego uczucia. Owszem, prawie mu przyjemne sprawiły wrażenie.

— Za cóż na gniew pani mogłem zasłużyć? — zapytał z uśmiechem, a gdyby był chciał wypowiedzieć się przed sobą, w tej chwili, musiałby wyznać, że w jego pytaniu, w jego uśmiechu zawierała się spora doza kokieteryi.

— Za co? — rzekła namysławiając się Zosia. — Za to przedstawienie, które nam pan dałeś pewnej niedzieli.

— Jakie? — zapytał Janusz i czuł, że mu krew uderzyła do głowy.

— Byłam wówczas dzieckiem i nic pojąć nie mogłam. Dziś jasno rozumiem co to wszystko znaczyć miało, a od dnia, w którym mi się oczy otworzyły przez bardzo długi czas byłam zagniewaną na pana za postępowanie tak... tak... — i Zosia zatrzymawszy się, nie-

spokojnie na Janusza spojrzała, jakby się obawiając skutków swojej mowy, jakby żałując, że ją na podobne drażliwe wspomnienia zwróciła.

Janusz milczał czas jakiś z głową spuszczoną, z oczami wlepionemi w kamienną płytę terasu. W końcu rzekł cicho nie śmiejąc podnieść oczu:

— Masz pani słusznosc. To było z mojej strony szkaradne. Do tej pory rumienię się jak dziecko na samo wspomnienie tej sceny. O! żałowałem ja nieraz tej chwili zapomnienia.

Zosia wyciągnęła rękę do niego i rzekła tonem pełnym słodyczy:

— Słowa pańskie wielką mi robią przyjemność. Nieraz o tém myślałam jak pan gorzko musiałeś tej chwili żałować. Nie gniewaj się pan na mnie, za to żem tak szczerze się odważyła wypowiedzieć co mi na sercu ciążyło. Często jestem zbyt może prawdomówną z tak dobrymi przyjaciółmi jak pan. Nie gniewaj się pan na mnie.

Janusz uściął jej drobną i białą rączkę.

Tymczasem dała się słyszeć sygnaturka kościelna, Zosia z krzesła powstała.

— Już czas na mszę, — rzekła. — Zechcesz mi pan towarzyszyć?

— Z największą ochotą, — odparł Janusz.

Po chwili oboje zszedłszy z tarasu zawrócili na lewo i weszli w długą, cienistą aleję, która ich, przez ogród i grablę tamującą kryształowe wody sadzawki, doprowa-

dziła do kościelnego podwórza. Było niewielkie, wybrukowane wielkimi kamiennymi, mchem porośniętymi płytami. Dokoła wznosiły się stare kwitnące kasztany. Weszli do kościoła. Ksiądz w ornacie już stał przed ołtarzem. Zosia w ławce usiadła, a Janusz za nią stanąwszy począł się w koło rozglądać. Kościół był bardzo mały. Zaledwie dwanaście w nim ławek pomieścić można było. Na ścianach uderzały oczy tablice z napisami. Po jednej stronie wznosiła się ambona niezbyt odpowiednia do skromnych rozmiarów kościoła. Naprzeciw niej na ścianie wisiał jakiś bardzo stary i poczerniały obraz. Po długich studiach można było dojść, że wyobrażał portret jakiejś niemłodej już kobiety. W kościele dla braku miejsca znajdował się jeden tylko ołtarz.

Przez kolorowe szyby staroświeckich okien słońce zaglądało swobodnie do wnętrza kościoła a przez drzwi na podwórze otwarte wietrzyk aż tu przynosił wiosenne wonie kwiatów obficie rosnących w dworskim ogrodzie.

Oprócz Janusza i Zofii znajdowało się na mszy kilka jeszcze wieśniaczek. Poustawiawszy próżne koszyki na ziemi, przykładnie klęcząc, ze skruchą, pobożnie się modliły. Już były z powrotem z niedalekiej Bochni, dokąd co rana na targ z produktami swoich ogrodów chodziły. Przy samych drzwiach kościoła dojrzeć można było jakiegoś obdartego żebraka i parę *zbutwiałych* babek, które cienkim głosem często wzdychały zanosząc swe modły do nieba

Po skończonej mszy świętej Zofia wyszła na podwórze kościelne i naraz ujrziała się otoczoną dokoła przez

wieśniaczki. Jedna przychodziła jedynie dla pozdrowienia swojej pani, druga dziękowała za uleczenie dziecka, trzecia chciała rady zasięgnąć, gdy inna znów uskarżała się na silne cierpienia w boku i naprzykrzała się o lekarstwa. Zosia z łagodnym uśmiechem cierpliwie każdej wieśniaczki słuchała, a każda z nich odchodząc błogostawiła swoją dobrą panią. Została wreszcie ta, która się na cierpienia skarżyła. Zosia pocięła ją badać i o najdrobniejsze szczegóły wypytywać z prawdziwie macierzyńską troskliwością.

Janusz stojąc opodal patrzył ze wzruszeniem na tę piękną scenę z życia wiejskiego. Z każdą chwilą wzrastało jego uwielbienie dla Zosi i nie poznawał w niej tej dawniej, roztrzepanej zabawami zajętej panienki. Nie pojmował nawet jak się w tak krótkim czasie zupełnie mogła odmienić. W gronie biednych wieśniaczek wyglądała jakby królowa, a raczej jakby jaka wróżka, w swój białej i świeżej sukience. Tak piękną była a nadewszystko tak wyraz anielskiej dobroci malował się na jej wesołej i uroczej twarzy, że godzinami całemi można było na nią patrzeć, a w końcu padłszy jej do nóg, hołdować jej jakby jakiejś nadziemskiej istocie.

— Moja dobra Jakóbowo, — mówiła. — Przyjdź ze mną do dworu, a ja tobie dam lekarstwo, o które mnie prosisz. Mam nadzieję, że tobie od razu pomoże. — I zbliżywszy się do Janusza, Zosia go wzięła pod ramię, aby się ku domowi skierować. Szli znowu cieniastą aleją a Jakóbową krok w krok postępowała za nimi.

— Pani jesteś, jak widzę, doktorem, — rzekł Janusz

— Trochę, trochę... Nie trudno, zresztą, leczyć reumatyzm. Mam doskonałą książkę i dzięki temu doradcy udało mi się kilka świetnych nawet kuracji... Jakże się panu nasz kościółek podobał?.. Prawda jaki cichy, jaki spokojny? Jak się w nim dobrze można modlić!... Zupełnie się zapomina o wszystkim, aby się Bogu oddać na chwilę.

— Bardzo musi być dawny. Widziałem tam rozmaite napisy i daty o jego poważnym wieku świadczące.

— Tak, to groby dziadów i pradziadów Witolda.

— A ten portret naprzeciwko ambony?...

— Wyobraża fundatorkę kościoła, babkę... nie... prababkę dziada... nie... — i Zosia się zatrzymała. Po chwili rzekła śmiejąc się: — Mniejsza o nią. Witolda nie ma, nie będzie wiedział, żem już zapomniała kto ten kościół fundował. Zresztą, to podobno ta sama dama, która zakładała nasz ogród.

Zbliżyli się do domu i weszli na taras.

— Moja Jakóbowo, — rzekła Zosia. — Poczekaj tu chwilkę, a ja ci zaraz lekarstwo przyniosę. — I wybiegła przez drzwi do salonu wiodące.

— To dobra pani? — zapytał Janusz wieśniaczki.

— To arioł, a nie pani. Takiej drugiej nie ma pewnie na świecie. Wieleż to ona już u nas wyleczyła ludzi! Zna nasze dzieci, wie jak się każde z nich nazywa, o każdym zawsze pamięta. O! To prawdziwa dla nas matka, tak jak dziadzi jest naszym ojcem. Oni wszyscy tacy w tej rodzinie. Ojciec i matka naszego pana również byli dobrymi i troskliwymi o dobro wieśniaków. To samo — dziad i babka, i tak zawsze od wieków... Po drugich





dworach zupełnie inaczej. Do pani się nawet dostać nie można. Często nawet dwór przez całe lata stoi pustkami! A to przecie tak tamo jak król siedzi w swojej stolicy tak i pan powinien swojej wsi nie opuszczać i być ojcem biedaków. A jakże to często bywa, że dwory puste, bo panowie gdzieś w mieście, albo za granicą. Co by to ludzie mówili o królu, któryby gdzieś tylko po zagranicach podróżował! ... Gadaliby, że o swoich dzieciach zapomniał, a czyż to się godzi? ... Czy Pan Bóg na to pozwala? ...

Zosia powróciła na taras z małą fiaską pełną drobnych, białych pigułek i rzekła przywoławszy Jakóbową do siebie:

— Oto dla ciebie lekarstwo. Dwie pigułki wrzucisz do szklanki wody, a gdy się zupełnie rozpuszczą, wypijesz łyżkę tej wody, a później co trzy godziny po jednej łyżce pić będziesz. Nie zapomnij jednak nakryć szklankę z lekarstwem.

— Ej! proszę pani, — odezwała się Jakóbową, — ja sobie tego sama nie przyrządzę. Niechno jaśnie pani z łaski swojej sama mi to lekarstwo przygotuje, bo inaczej z pewnością mi nie pomoże.

Zosia uśmiechnęła się i wzięwszy szklankę ze stołu napełniła ją wodą i wrzuciła do niej pigułki. — Po chwili rzekła:

— Ale nie zapomnij, Jakóbową, abyś nic kwaśnego nie jadła, ani kapusty, ani ogórków, ani nawet czarnego chleba.

— Cóż ja biedna zrobię bez chleba! — zawołała wieśniaczka. — My głównie się chlebem żywimy.

Zosia wzięła bułkę ze stołu i tę wraz z lekarstwem Jakóbowej oddała. Rozrzewniona wieśniaczka do nóg pani upadłszy, poczęła jęj serdecznie dziękować, nazywając Zosię matką i aniołem.

— Gdybyś się nie czuła lepiej, — mówiła Zosia, — przyjdź znowu do mnie, a dam tobie coś innego.

— O to jestem zupełnie spokojną, — odparła zagadniona. — Już jak mnie jaśnie pani da swoje lekarstwo, to z pewnością, od razu pomoże Ot!... moja Marysia...

— A cóż Marysia? — zapytała Zosia. — Czy już zupełnie jest dobrze?

— Biega, bawi się i śmieje jak dawniej. To wszystko pani zawdzięczamy, bo już bardzo źle było z biedaczką.

Zosia wzięwszy swoją książkę do nabożeństwa wyjęła z niej obrazek Matki Boski Częstochowskiej i rzekła podając go wieśniaczce:

— Zaniesz to Marysi odemnie. Niechaj się modli do swojej świętej patronki i niechaj nie zapomina o chrześniej matce.

— Gdzieżby ona mogła o naszej pani zapomnieć! — zawołała wzruszona kobieta. — Cała wieś błogosławi swego dziedzica za to, że nam taką dobrą, taką świętą matkę przywiózł.

W końcu, po długich jeszcze dziękczynieniach, Jakóbową oddaliła się ostrożnie, niosąc lekarstwo i podarunki Zosi.

Janusz milczał. Tak się czuł wzruszonym teną wszystkim co widział i słyszał, że mu się lzy w oczach

kręciły. Dotąd nie mógł wyjść z zadziwienia, że z światowej osoby mogła stać się taka, w całym znaczeniu tego słowa, pani wiejskiego dworu. W końcu się odezwał, a głos jego drżał trochę:

— Nie spodziewałem się zastać pani takiej, jaką teraz jesteś, bo w moich wspomnieniach zawsze występowałaś jako dama wielkiego świata, marząca tylko o strojach i zabawach.

— Pan mnie znałeś dzieckiem, — odparła Zosia. — W pierwszych chwilach głowę miałam więcej zaprzętniętą światem, niżli obowiązkami, jakie na mnie oczekiwały w tym nowym zawodzie. Witold wkrótce mi oczy otworzył i on to przerobił mnie w ten sposób. Nie trudno mu to przyszło, bo bez rad jego, patrząc jedynie na codzien się powtarzające jego przykłady, o niczem innem nie marzyłam jak o godnem naśladowaniu jego we wszystkim. Zrozumiałam obowiązki pani względem włości, którą los jedynie dla tego wyżej od nich wyniósł, aby w niej mieli matkę i opiekunkę. Cytował mnie Witold przykłady z życia swojej matki, babki, prababki, o których tradycje przechowują się z uszanowaniem w jego rodzinie. Poczęłam szczerze pracować nad sobą. Wyznaję, że z początku, pomimo przykładu Witolda i najszczerzych chęci z mojej strony nie bardzo mi to łatwo przychodziło. Często wypełniałam moje obowiązki, aby się ich zbyć, niechętnie, jak dziecko, które się uczy zadanej lekcji. W końcu polubiłam te obowiązki i dziś, każdy dotyczący ich szczegół żywo mnie zajmuje. Zajmują mnie moi chorzy, cieszą mnie tysięczne dowody zaufania i miłości, które umiałam obudzić w wieśniakach.

Po lekarstwo, albo po radę zawsze do mnie przychodzą, a zawsze mi to niewymowną sprawia przyjemność, gdyż widzę, że mam jakieś znaczenie, że nie jestem młą lalką, jakby dla tego tylko stworzoną, aby ją ubierano w wykwintne suknie, a tém samém roznoszono po salonach sławę jakiś modystki, że nie jestem żywą reklamą modystek, jak tyle dam wielkiego świata, lecz kobietą taką, jaką być każda powinna.

— Ludzie są ludźmi, — rzekł Janusz dość gorzko. — Pomimo dobrodziejstw, któremi pani całą wieś obsypujesz, zapewne tylko niewdzięcznością odpłacić umięją.

— Bardzo rzadko... prawie nigdy, — odparła Zosia. — Mamy zresztą tysiączne sposoby wpływania na naszych wieśniaków. Oboje pracujemy z Witoldem nad obudzeniem w nich poczucia honoru i wstydu, które ich powstrzymują od złego. I tak, oprócz leków, rad i za-pomóg mamy inne jeszcze środki, którymi na lud wpływamy, a te dotąd bardzo dobre plony wydają. Jeżeli jakie małżeństwo żyje uczciwie i w zgodzie, a Bóg je dzieckiem obdarzy, wtedy śmiało przychodzą do dworu z prośbą, abyśmy dziecię do chrztu trzymali. Nigdy odmownej nie dostają odpowiedzi, bo przysługę, którą im wyświadczamy uważają za wielki zaszczyt i nagrodę przykładnem zapracowaną życiem. Już siedmioro dzieci do chrztu trzymałam od kiedy tutaj mieszkam. Jeżeli która dziewczyna za mąż wychodzi a używała dobrej u ludzi opinii, Witold ją od ołtarza odprowadza, co również za-niemalę zaszczyt uważają. Przynętem to bardzo dobry wpływ wywiera, bo chociaż dziewczka nie zawsze się Boga boi, wystrzega się jednak złego, dla tego tylko, aby ją Witold

w obec zgromadzonej wsi od ołtarza prowadził. Dzisiaj za okropny wstyd uważają, jeżeli komu dziecka do chrztu nie trzymamy, albo jeżeli której dziewczynie Witold nie chce drużnować, bo na to cała wieś patrzy, bo o tém każdy wie zaraz. Nie śmieję się pan ze mnie, ale rzeczywiście mogę pana zapewnić, że od kiedy tutaj mieszkamy, z każdym dniem prawie dają się spostrześć znaczne odmiany na lepsze. Poczciwy nasz proboszcz nie może się dosyć nacieszyć i często nam dziękować przychodzi... No... cóż pan mówisz o naszych sposobach panowania w tej wiosce?...

— Nadzwyczajnie! nadzwyczajnie! — mówił Janusz ze szczerym zachwytem. — Dziwi mnie to tylko, że państwu czas na wszystko może wystarczyć. Jakże tu wszystko razem połączyć? Gospodarstwo, chrzciny, wesela, wizyty, dobre uczynki, chorzy, muzyka, czytanie... Strasznie to długi i różnorodny program.

— Jakoś czas mamy na wszystko, — rzekła Zosia powstając. — A teraz, chodź pan ze mną. Muszę pana oprowadzić po ogrodzie, a potem zajrzemy do moich ślicznych szwajcerek.

Janusz podał za piękną wrótką. Czuł się trochę zmęczonym, ale się nawet nie śmiał z tém odzywać. Nigdy mu się nie zdarzyło tyle się w jednym dniu nachodzić. Zosia zaś była niezmordowana. Stąpiła lekko i żywo przenosząc się z ogrodu do krowiarni, a locbu do inaspektów. Wszystko chciała Januszowi pokazać. W końcu go zaprowadziła do stajni, gdzie wszystkie piękniejsze konie wyprowadzić kazała.

— To już gospodarstwo Witolda, — rzekła, — ale będzie rad jak się dowie, żeś pan jego konie oglądał.

— Co to za gmachy? — zapytał Janusz wskazując na dwa ogromne, grube i muskularne konie.

— To meklemburgi, — rzekła Zosia prosto.

Słyszac te słowa, stojący w pobliżu masztalerz uśmiechnął się, a pokręciwszy czapkę w rękę odchrząknął, jak gdyby chciał mówić.

Tymczasem Zosia wszedłszy do klatki, w której się zdajdował piękny, jak śnieg biały, arabski wierzchowiec poczęła go czule głaskać i pieścić. Masztalerz oglądnał się za nią i rzekł zbliżywszy się do Janusza:

— Te meklemburgi, to najpiękniejsza rzecz, jaka się w naszej stajni znajduje.

— No! Tego nie powiem, — odparł Janusz. — Bardzo są rosłe, ale kształty ich ani zgrabne ani piękne.

— Ja o tém nie mówię. Zresztą mniejsza o to czy zgrabne i piękne. Najważniejsze w nich to, że są doskonałe do ciężkiej roboty, bo silne i wytrwałe. Nazywają te konie chłopakiami.

— Za co taka nazwa?

— Bo je nasz pan na to tylko sprowadził, aby tutejszym wieśniakom służyły. Ale gospodarz chcący z nich korzystać musi być uczciwym człowiekiem, bo jeżeli tylko pije, albo kradnie, już mu przystęp do stajni wzbroniony. Nasz pan zna każdego dobrze i wie czy który wart nagrody. Niektórzy gospodarze ze wsi dochowali się już trzyletnich koników po tych meklemburgach, a, da Bóg, kiedyś, w całej wsi innych nie będzie. Czyż nie ma za co błogosławić naszego pana?

Zosia zbliżyła się do rozmawiających.

— Czy nie wiesz, Grzegorzu, dokąd pan wyjechał?  
— zapytała masztalerza.

— Jeździł w pole, ale teraz podobno w stodole, bo już jego konie wróciły.

— Czyś pan bardzo zmęczony, panie Januszu?

— Nie, pani. Na tak piękne rzeczy patrząc co chwilę, zaszedłbym na koniec świata, aby nowe pozdziwiać.

— Chodźmy do Witolda. Mamy jeszcze godzinę do obiadu. Stodoła o dwa kroki.

I znowu wyruszywszy minęli obszerny stajenny dziedziniec, minęli porządnie pebudowane wołownie i folwarczne stajnie i w końcu do stodoły dotarli. Witold wyszedł na ich spotkanie.

— Bardzo mnie zawstydzasz, Januszu, — zawołał z daleka. — Przekonasz się, że ze mnie nie tak nadzwyczajny gospodarz, jak dotąd myślałeś. Jesteśmy już w maju, a dotąd owies nie wymłócony. Okropnie się przed tobą rumienię.

— Nie ma czego, Witoldzie. gdyż nie mam nawet wyobrażenia o tém, kiedy się co młóci, albo sieje. Ale... przyjmij moje powinszowania. Byłem w stajni i widziałem twoje meklemburgi.

— Któż tobie o nich mówił? — zapytał Janusza Witold.

— Twój masztalerz. Bardzo mi wielką zrobił przyjemność, gdyż widziałem, że umiał całą piękność twojej myśli ocenić.

— Pocziwy Grzegorz! — mruknął Witold.

— Godzina obiada zastała wszystkich z powrotem we dworze. Potrawy, choć ani wykwintne, ani też wystawne wszystkim bardzo smakowały i Janusz nie potrzebował być bardzo proszonym, aby każdój po dwa razy nabierać.

— Witoldzie! — zawołał. — Masz królewskiego kucharza.

— Nie tyle wart kucharz, — rzekła Zosia, — ile spacer, któryśmy dzisiaj zrobili. Możesz pan sobie wyśtawić jak nam codziennie wszystko wybornem się zdaje, bo Witold i ja w nieustannym zawsze ruchu jesteśmy.

Po obiedzie Zosia zawołała:

— A teraz słusznie nam się koncert należy. Panie Januszu, proszę do fortepianu, a potem każdy z nas zagra lub zaśpiewa.

I rozpoczęły się śpiewy i muzyka, przepłatanie najrozmaitszemi, żywo prowadzonemi, artystycznemi dyskusjami, a czas mijał tak prędko, godziny ubiegały tak przyjemnie, że gdy o szóstą dał się słyszeć głos dżwonka, tego samego, który na śniadanie i obiad zwęływał, Janusz rzekł ze zdziwieniem:

— Znowu?... Ledwośmy wstali od stołu! Wy ta jecie bez końca. Nic nie rozwija tak apetytu, jak to pracowite życie na wsi. Myślę, że to nawet...

— Mylisz się, Januszu, — rzekł Witold. — Dzwonią na wieczorne modlitwy. Cały dwór na szóstą się schodzi, a wtedy razem się modląc przykładowie dzień kończymy. Może mnie weźmiesz za niegościanego gospodarza, ale musisz cię na chwilę porzucić i stawić się



na odgłos dzwonka, bo by inaczej nigdy mi tego moja żona nie darowała.

— Przyznaj, że miałabym słuszność! — zawołała Zosia.

— Najzupelniejszą, Zosiu. Przedewszystkiem obowiązki i dobry przykład. Za chwilę powrócę, Januszu.

— Ależ i ja z wami idę. Poganiem przecie nie jestem.

— Więc pan chodź za mną, — rzekła Zosia i poprowadziła go przez parę swoich pokoi do dosyć obszernej izby. W rogu pokoju, zewsząd zielonością otoczony stał mały stolik białym obrusem przykryty, a na nim, wśród kilku palących się świec, widać było piękną statuetkę Matki Boskiej. W pokoju już się zebrana dwornia cisnęła. Zosia uknęła przed improwizowanym ołtarzem, a wszyscy przytomni poszli za jej przykładem. Po chwili dzwieczny jej głos przerywał milczenie i do Boga modły za wszystkich zanosił. Przytomni głośno odpowiadali.

Po skończonych pacierzach, gdy się nasi znajomi znowu znaleźli w salonie, Zosia rzekła do męża:

— Nie zapomniałeś o tém, aby konie po rodziców wyprawić?

— Już mówiłem, moja Zosiu. Wystałem trzy wozy; może kto jeszcze nadjedzie. Czy każesz zaraz herbatę podawać, czy też będziemy czekać na gości?

— Czekajmy, Witoldzie. Zostaje nam tylko godzina. To nie długo.

— Jednej rzeczy nie pojmuje... — rzekł Janusz; — mając kościół i księdza tak blisko sami go wyręczacie

w odprawianiu majowego nabożeństwa. Myślę, że byłoby właściwsiem, aby mu kapłan przewodniczył w kościele.

— Ksiądz ma dosyć roboty bez tego, — odparł Witold. — I w kościele, gdy ma czas tylko, zbiera wieczorami pobożnych na modlitwy. My go jednak tu wyręczamy, bo nie każdy sługa dwór może opuścić, a dbamy o to, by każdy chwilę czasu na modlitwę poświęcił. Łątwiej je zatem we dworze odprawiać, bo i stajenni mogą na krótko konie swoje porzucić i inni słudzy również bez ambarasu przyjść mogą do naszej domowej kapliczki.

Drzwi na taras stały otworem. Powietrze niecie ochłodzone swobodnie do salonu płynęło. Słońce miało się już ku zachodowi i ostatniemi promieniami skromną wioskę, drzewa i kościółek żegnało, jakby z upodobaniem igrając z białą, blaszaną kopułą jego niewysokiej dzwownicy. Zdała dochodziły ryki powracających z pola wółów. We wsi, główną ulicą biegnące stado owiec podnosiło chmurę kurzawy. Czasem dolatywała urwana nuta wesołego krakowiaka, czasem znów słyhać było oddalone głosy i śmiechy. Wszystko do koła tęnęło wesołym spokojem; wszystko zdawało się dyszeć szczęściem.

Stojąc w drzwiach salonu, długo patrzył Janusz na ten cichy sielankowy krajobraz. Długo stał pogrążony w różnorodnych myślach, aż go głos Zosi ocknął z zadumy.

— Panie Januszu, — rzekła. — Ósma się zbliża, lada chwilę powrócą konie z kolei. Przejdźmy na ganek, aby gości powitać. Chódz Witoldzie.

I wkrótce siedzieli na wygodnych ławkach, pod krytym, zabudowanym gankiem stojących. Na żelaznym

kruku, pod sufitem ganku, zawieszono różnobarwną, wielką chińską latarnię, która słabe rozlewała światło dokoła. Księżyc już wypłynął na niebieski ocean, a gwiazdy, niby jego przytomnością, onieśmielone ledwo się migać ważyły.

Nie długo czekano na gości, gdyż wkrótce dały się słyszeć kilkokrotne trzaskania z biczów i oddalony, głuchy jeszcze turkot, a po chwili ujrzano za drzewami zbliżające się do dworu powozy. W pierwszym z nich siedzieli państwo Rokowscy, a na przedniej ławeczce — Amerykanin John James. Nie było nawet czasu na powitanie ich wszystkich, bo już drugi powóz stawał przed gankiem. Witold począł z niego wysadzać starca, dobrze wszystkim znanego i powszechnie lubionego księcia X. z Krakowa. Za nim wysiadł syn jego z młodą i dowcipną żoną.

— Jaka miła niespodzianka! — zawołali Witold i Zosia.

— Przyjechałem w waszem towarzystwie trochę odmłodnieć, — mówił książę. — W Krakowie trudno już teraz wysiedzieć, tak naokoło wiosną pachnie.

Ale znów go porzucić musiano dla nowych gości, czterech młodych ludzi z Krakowa, krewnych i przyjaciół Witolda.

Rozmowy, żarty, śmiechy nieustannie się krzyżowały. Powtarzano przerwane powitania, opowiadano sobie rozmaite bądź polityczne, bądź światowe świeżo wylęgte nowiny. Zosia jednak zniknęła na chwilę. Można ją było zastać w sali jadalnej na bardzo poważnej konferencji ze starym

Janem. Co chwilę kiwał głową na znak, że swoją panią rozumie i uspokajał ją, powtarzając:

— Już moja w tem głowa! Ja ich wszystkich pomieszczę. Starszy książę będzie stał obok kancelaryi, a syn jego z żoną, na górze, koło pana Madzickiego. Młodzi panowie pomieszczą się w oficynie. Już moja w tem głowa. Wszakże choć u nas mało salonów, na pokojach dla gości nigdy nie zabraknie.

Janusz z dziecięcą radością, uchwycił się Amerykani, i jużby go niechciał przez cały wieczór wypuścić. John rad z nim gawędził, ale ściśle się zawsze przytrzymując obyczajów światowych, co chwilę się wyrwał, aby i z drugimi osobami pomówić, aby dla każdego coś uprzejmego do powiedzenia wynaleźć. Oglądał salon, wychodził na taras, przypatrywał się krajobrazowi, który się dosyć wyraźnie zarysował przy świetle księżyca, wciągał w siebie wonne, wiosenne powietrze i nie mógł się dosyć wszystkim nacieszyć, nie mógł słów znaleźć dla wyrażenia swojego zachwyty.

— Raj! Prawdziwy raj! — wołał co chwilę.

W końcu, długą podróżą znużony, podczas gdy całe towarzystwo jeszcze w salonie siedziało, niepostrzeżenie się wysunawszy, poszedł szukać przeznaczonego dla siebie pokoju.

Około północy goście się rozeszli, a Janusz udał się do siebie na górę. Uchyliwszy drzwi swego pokoju, usłyszał głośne w kącie chrapanie. Zapalił świecę i ostrożnie zbliżył się do łóżka, dla przypatrzenia się temu, kto mu niemiły koncert wyprawiał. Śpiący przebudził się zwrócił się, patrząc ze zdziwieniem na zapaloną świecę.

— John! — zawołał Janusz radośnie. — Jakże się cieszę!.. Co za miła niespodzianka ze strony gospodyni, że nie zapomniała nas razem umieścić.

John skrzywił się, ziewnął i odparł niechętnie:

— Jeżeli kiedykolwiek miałem powód do gniewania się na panią Zofię, to chyba teraz tylko za to, co miłą niespodzianką nazywasz. Przeczuwam, że mi spać nie dasz a ja potrzebuję spoczynku. Od trzech dni przerzucali mnie, z wagonu do wagonu jakby jakim pakunkiem.

— Zkąd jedziesz, John?

— Z Neapolu. Nie chciałem porzucić Europy nie pożegnawszy raz jeszcze ukochanego Wezuwiusza. Daj mi spać Januszu.

I John przymknął oczy, ale po chwili, jakgdyby sobie coś nagle przypomniał, żywo się zerwał i spytał uważnie, patrząc w twarz Janusza:

— Cóż? Jesteś szczęśliwym?

Janusz odparł po chwili namysłu:

— Dotąd byłem szczęśliwym, ale ślepy zarazem. Od dziś dnia rozpocznie się dla mnie nowy szereg dni szczęśliwych, ale już z otwartymi oczami patrzeć będę przed siebie.

— Możesz się pięknie wyrazić, ale jestem zaspany i nie potrafię twoich frazesów ocenić. Prosto mówiąc: co znaczą te słowa, Januszu?

— Znaczą, że mi pani Zofia swoim przykładem pokazała gdzie szczęścia szukać należy. Ona z mężem prawdziwiej szczęśliwa, niż ja z moją biedną Gretchen. Moje słowa znaczą, że powracam do kraju, aby interesa urzą-

dzień, a potem, wyprzedawszy się w Czechach zabieram moją żonę, osiadam w Januszówce i pracuję, biorąc sobie za wzór Witolda i jego żonę. Wierz mi John, że w tym skromnym domku widziałem, patrzałem na najprawdziwsze szczęście. Zostań tu kilka dni, a gdy się goście rozjadą, patrzaj i studyuj, jak Witold i Zofia przykładnie dnie swoje spędzają, jak ich błogosławią i pod niebiosa wynoszą, wszyscy, którzy z nimi mają do czynienia. Nie myślałem nigdy, aby, nie zrywając stosunków z wielkim światem, można było przy skromnej fortunie tak przyjemne życie pędzić jak oni.

— No... Cóż takiego?

— E! Lepiej nie mówić. Wolę abyś sam patrzył. Przekonałem się, że to bardzo rozumna kobieta ta Zosia i wcalem się nie spodziewałem, aby się tak łatwo przerobić dała. Ma swoje teorie i swoje zasady zupełnie dobre, a spostrzeżenia jej nadzwyczaj są nieraz trafne. Wiesz jak nazwała damy wielkiego świata, cały swój czas marnujące na stroje i ich pokazywanie?

— Nie wiem, — odparł ziewając John. — Jutro mi powiesz.

— Nazwała je reklamami modystek. Smutna to rola! Co?... —

— Dobranoc, Januszu. Jutro dam tobie odpowiedź.

I John znów się do ściany zwróciwszy, zasnął snem twardym. Janusz zmęczony dziennymi trudami także długo nie czekał aż mu sen skleji powieki i dziwna rzecz!...

ciągle mu się marzyło że i we śnie chodzi wszędzie za Zosią, która mu coś nieustannie pokazuje i opowiada. Jak długo spał Janusz, tak długo obraz Zosi w białej i lekkiej sukience z marzeń jego nie ustępował. A wciąż była jednakowa — piękna, wesoło uśmiechnięta, dobra i rozumna.

---

## R O Z D Z I A Ł X.

Janusz rozmarzony, jakby pijany opuszczał skromną, ale wesołą siedzibę Witolda. Rozmaite często z sobą sprzeczne myśli snuły mu się po głowie. Czuł się odurzonym tem wszystkim na co przez kilka dni patrzył, tem dziwnem, spokojnem szczęściem, które wcale się nie spodziewał zastać w domu Witolda, w porównaniu którego niczem było jego własne szczęście. Oni żyli w całym znaczeniu tego słowa, gdy on wegetował tylko. Oni pracowali dla drugich, dla biednych cisnących się do nich z dziecięcą ufnością, podczas gdy on, przemarnowawszy lat kilka przy boku Gretchen, nic dotąd nie zrobił, bo nie można było nazwać pracą tych jego urywkowych zajęć, żadnego nie mających celu, żadnego nikomu nie przynoszących pożytku. Cóż dotąd zrobić? . . . , Nic! Nic! . . . O! jakże wyżej stał od niego Witold, mniej starający się,



aby każdą rzecz wyrozumować, mniejsze mający zdolności. Witold powodował się sercem, a Janusz rozumem . . . Ten jego rozum żadnej nikomu nie przyniósł korzyści. Tymczasem Witold zrobił wiele, bardzo wiele. Fakta za nim świadczyły, a dalsza jego praca miała być równie pożyteczną, owoce jój równie zdrowymi i obfitymi jak dotąd . . . I Janusz chwilami zazdrościł szczęśliwemu Witoldowi. Ten swego czasu nie tracił, każda jego godzina przynosiła korzyści. Z ludźmi nie zerwał, a jednak potrafił się zastosować do swojej pozycji. Żył bez wystawy, bez zbytku, a każdy chętnie bywał u niego. Czas mu na wszystko wystarczał. Zaraz po ślubie zajął się wychowaniem Zosi i dopiął swego celu, przerobił ją najzupełniej. Jakże jój pięknie było w tej nowej roli pani wiejskiego dworu! W stajni, w oborze, w salonie, zawsze jednakowa piękna i urocza była zawsze damą wielkiego świata.

I myśli Janusza, jakby dla porównania przeniosły się do Czech, do domku w którym żonę zostawił. Przypominał sobie strój, w jakim Gretchen nieraz chodziła ubrana, jak, często brudna i rozczochrana, podpiąwszy suknię z obnażonymi rękami, wykręcała ścierkę, którą przed chwilą myła podłogę. Przypominał sobie te jój czerwone i niezgrabne ręce, jój stare, na grubych podszewkach trzewiki, flanelowe kurteczki i tym podobne niepowabne szczegóły jój ubioru. Przyszły mu na myśl proste rozrywki żony i niedzielne wieczory, które z takim upodobaniem, w towarzystwie ludzi bez żadnego wychowania, na tańcach w gospodzie spędzała.

Jakże się teraz inaczej zapatrywał na te obrazy, wywoływane w pamięci! Wzdrygał się teraz na samo ich

wspomnienie. Tyle razy patrzył na zaniedbane stroje żony, tyle razy sam ją prowadził do téj karczmy, gdzie tak lubiła śmiać się i tańczyć z młodzieżą, a nigdy to na nim przykrego nie sprawiało wrażenia . . . Owszem. To go nawet wówczas bawiło. Cieszył się obcując z nieokrzesanymi ludźmi, odkrywał w nich skarby prostoty i serca, których nie umiał dojrzeć w osobach, z którymi już żadnych nie chciał mieć stosunków. Janusz sam się sobie nie mógł nadziwić że go to cieszyć i bawić mogło nie tak jeszcze dawno, że znajdował przyjemność w towarzystwie wieśniaków, że znosił spokojnie widok żony myjącej podłogę, albo piorącej bieliznę, albo co gorsze, żony zwieszonéj na ramieniu wieśniaka, śmiejącej się z jego wątpliwego smaku dowcipów.

Janusz był pod wrażeniem, jakby się ze snu obudził. Zdawało mu się, że dotąd spał, najdziwaczniej, najokropniej śniąc tylko.

— Nie! To dłużej trwać nie może! — myślał. — Ja to wszystko przerobię. Porzucę obrzydłe Czechy, bo by mnie już dawny tryb życia nie mógł zadowolnić. Powrócę do kraju, przywiozę z sobą Gretchen, a tam ją przerobię, i wytłumaczę jéj nowe obowiązki, piękniejsze niż te, które dotąd spełniała. Ja jeszcze będę szczęśliwym! — wmawiał w siebie, ostatnie powtarzając słowa.

Przyjechał na Podole. Matkę znalazł zmienioną, schorowaną i smutną. Nawet ją przyjazd syna rozweselić nie zdołał. Zaraz mu wytłumaczyła powód, dla którego zawezwać go nagle musiała. Interesa były w jak najoptymalnym stanie, bo plenipotent Janusza na mocy otrzymanego pozwolenia, sprzedał Januszkówkę za bezcen i prze-

padł bez wieści z wręczonemi pieniędzmi. Tymczasem liczni kredytorowie do których się dawniej zgłaszał, gdy trzeba było Januszowi za granicę wysyłać pieniądze, nie dawali pani Madzickiej spokoju.

— On mi przysyłał pieniądze od dzierżawcy wręczone! — przerwał Janusz. —

— Dzierżawca od dawna nie płacił. Ludzie powiadają, że był z plenipotentem w zmwie. Żadnych jednak nie ma dowodów.

— Co tu robić! Co tu robić! — zawołał Janusz z rozpaczą.

— Już zrobione, — odparła matka. — Długi były na twoje imię, na imię mojego syna. Co matka zrobić mogła? . . .

— Matko! — zawołał Janusz ze strachem, — zapłaciłaś! . . .

Pani Madzicka skłoniła głowę na znak potakujący.

Janusz był rozrzewniony.

— Cóż matce zostało? — zapytał z mocno bijącym sercem.

Uśmiechnęła się z wyrazem smutnej rezygnacji, i odparła po chwili:

— Została mi siostra, która mnie kocha i oddawna namawia, abym przy niej zamieszkała. Do niej pojedę.

— Tak... ale z majątku... co zostało?

Pani Madzicka wyjęła pugilares z kieszeni i podawszy go z uśmiechem:

— Porachuj, Januszu.

Janusz począł rozpaczać. Nie rwał sobie włosów na głowie, nie bił nią o ścianę, nie przechadzał się po po-

koju wielkimi krokami, nie rozprawił o odebraniu sobie życia, bo każde uczucie było w nim wyrozumowane. Szczerze jednak rozpaczął, płakał nawet przepraszając matkę, prosząc aby mu jego winę przebaczyła. Sobie, swojemu niedbalstwu, niedołęztwu i lenistwu całą przypisywał winę. Czemuż wcześniej nie pomyślał o tem, aby na wieś powrócić!... Zamiast tyle lat przeproznować w Czechach wolałby być osiadł w kraju i zająć się interesami.

Zacna matka o tem tylko myślała jakby jego pocieszyć i uspokoić.

— Moje biedne dziecko, — mówiła. — Daj pokój rozpaczaniu, daj pokój próżnym żalom. Złe już się stało trzeba się będzie starać o niem zapomnieć. Jesteś silny i młody, znajdziesz zawsze jakieś zajęcie, którem siebie i żonę utrzymasz. Mój szwagier, który mnie wspierał radami i wiele mi serca w czasie ostatnich wypadków okazał, zaraz się ofiarował z gotowością dania tobie jakiejś posady u siebie przy gospodarstwie albo przy fabryce. Udaj się do niego, rozmów się z nim, a potem po żonę pojedziesz.

Janusz smutnie kiwał głową.

— Za późno, — mówił. — Jestem za stary. Nie umiem nic robić i już się nie nałamię do pracy.

— Cóż więc myślisz robić?

— Zostaje mi domek i mały kawałek ziemi w Czechach. Byłbym go dzisiaj sprzedał, aby matce złożyć wręczone pieniądze, ale już nie do mnie należy, niestety. Gretchen jest prawną właścicielką tej niewielkiej posiadłości i nie śmiałybym jęj zaproponować... niewiem czyby.

Tam przy niéj osiadę a przy oszczędności skromną nasze dochody wystarczyé nam muszą. Możeby matka chciała. ale nie wiem ... nie śmiem, bo ...

— Nie tłumacz się, Januszu. Rozumiem. Co się tyczy téj posiadłości, namów żonę aby ją sprzedała, a wtedy powrócisz z nią razem i, nie wątpię, weźmiesz się szczerze do pracy. Nie tak to trudno jak się tobie zdaje. Przy dobrych chęciach wszystko ci pójdzie jak najpomyślniej.

— Nie, matko. Za późno.

— Mam nadzieję, że tobą, nie kieruje fałszywy wtyd; praca nie poniża człowieka.

— Wiem o tem, matko. Gdybym tylko umiał pracować, uważałbym nawet za punkt honoru pokazać ludziom którzy mnie znali bogatym, że biedny — pracą, nie gardzę, bo ona, mem zdaniem, wynosi i uszlachetnia człowieka, chociażby nawet pełnił obowiązki ekonomy, albo nawet prostego parobka.

— No! Tego od ciébie nikt wymagać nie będzie. Odebrałeś wyższe ukształcenie, a zatem winienesz więcej głową, niż ciałem pracować.

— Nie nie umiem, do niczego zdolnym nie jestem, — mówił Janusz ze smutkiem. — Próbowałem wszystkiego, ale bez najmniejszej wytrwałości. Nie wiem co z sobą zrobię. Gdybym nie miał żony, możebym opuścił Europę i wyniósł się do Ameryki lub Australii. Niewiele tam wymagają i człowiek z byle jakimi wiadomościami łatwo znaleźć może kawałek chleba. Mógłbym dawać lekcyje języków albo muzyki... Ale nie ma czego o tem myśleć. Żona i dziecko trzymają mnie w Europie . .

Ha! Będę nadal w moim domku wegetował, a przy oszczędności wystarczy nam jeszcze na życie. Posiadamy dość duży kawał ziemi, — to nas będzie żywiła.

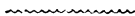
— Rób jak chcesz, Januszu, bylebyś pracował, — prosiła matka.

Nie było czego dłużej w Januszówce siedzieć. Pani Rokowska w każdym liście zapraszała przyjaciółkę do siebie na lato i po uporczywych naleganiach i przestrożkach, czule syna pożegnawszy, pani Madzička opuściła Podole. Janusz został jeszcze w kraju dla odwiedzenia licznych znajomych i krewnych, a wszyscy okazali mu wiele dowodów serca i niejeden bardzo ostrożnie, bardzo delikatnie ofiarowywał się z gotowością wynalezienia dla niego jakiego zajęcia. Janusz serdecznie dziękował, ale stanowczo uchylał od siebie wszelkie nalegania powtarzając nieustannie: „za późno! za późno!“ Nie miał ochoty wziąć się do pracy, nie nawykłszy do niej za młodu. Sumiennie, jak to sobie tłumaczył, nie śmiał nawet, nie miał prawa przyjmować płatnego miejsca, gdyż sądził że jego praca nie byłaby warta pobieranych za nią pieniędzy. Że go jednak wszędzie przyjmowano serdecznie, dłużej na Podolu zabawił, niż tego miał zamiar z początku. Zatrzymywano go w każdym domu, goszczono i wożono, tak iż dopiero w ostatnich dniach Sierpnia wyruszył z powrotem do żony. Po drodze wstąpił do państwa Rokowskich, aby się raz jeszcze z matką pożegnać. Ztamąd jednego dnia się rozjechawszy, gdy ona powracała do siostry, on dalej w swą drogę pospieszył. Choć biedny, chociaż nie wiedział co go czeka, nie mógł sobie biletu do pierwszej klasy odmówić, tłumacząc się przed swoim

sumieniem, że to poraz ostatni czyni, że później oszczędzać się zacznie. Nie dojeżdżając do Krakowa zatrzymał się w Bochni.

— Wstąpię do Witoldów, — pomyślał. — Niechaj się raz jeszcze na ich szczęście popatrzę.

I znalazłszy jakąś furmankę, opuścił dworzec.



## ROZDZIAŁ XI.

Dosyć liczne i wesołe towarzystwo siedziało wieczorem w sali jadalnej pod gościnną strzechą Witolda. Rozmawiano o tysiącznych przedmiotach, ale najwięcej o polityce, Prusakach i Bismarcku. Każdy politykując po swojemu, naturalnie wysiłał się, aby wpoić w drugich swoje poglądy na Europę i jej państwa.

Już miano wstać od stołu, gdy nagle na dziedzińcu dał się słyszeć turkot zajeżdżającego przed ganek powozu. Wszyscy ciekawie ku drzwiom od przedpokoju spojrzeli, stary Jan wybiegł na spotkanie gościa, a Witold za nim podążył.

Po chwili we drzwiach ukazał się Janusz. Jakże był zmienionym!... Zdawało się, że posiwiął przez ostatnich kilka miesięcy, a chociaż starał się nadać twarzy wyraz wesołości, każdy z niój tylko smutek umiał



wyczytać, bo darmo biedny Janusz usta do uśmiechu przymuszał — wykrzywiały się, przykre sprawiając wrażenie.

Zbliżył się do Zosi, powitał ją, a potem wszystkich obecnych z kolei. Znał już każdego. Byli to sami sąsiedzi, których poznał jeszcze w maju, kiedy przejazdem na imieniny Zosi wstępował. Usiadł na wskazanem mu przez Witolda miejscu, ale pomimo najlepszych chęci, pomimo usiłowań, nie potrafił do rozmowy się wnieść, a gdy czasem nawet przemówił, wszyscy widzieli, że był roztargnionym; więc milczał niby ogólnej rozmowy słuchając, a niemący, wymuszony uśmiech nie znikał mu z twarzy.

Po kolacyi towarzystwo przeniosło się do salonu. Zaczęto trochę muzykować i każda z obecnych dam musiała się po kolei popisywać ze swoim talentem. Wieczór minął dosyć nudnie, a koło jedenastej już się goście rozjeżdżali.

— Do jutra — odezwał się młody jeszcze człowiek, pan Alfons Zdernicki, ściskając dłoń Witolda, podczas gdy jego żona wesółą i żywą brunetką gospodynią domu żegnała. — Do jutra, Witoldzie?

— Niezawodnie... nie zapomnimy o imieninach naszej miłej sąsiadki — zapewniał Witold.

Pan Alfons zwrócił się do Janusza.

— Mam nadzieję, że i pan zechcesz nas swoją bytnością zaszczyścić — rzekł bardzo uprzejmie. — Jutro imieniny mojej żony i całe sąsiedztwo do nas się zjedzie.

Janusz skłonił się, ale milczał, nie chcąc odmawiać tego, do czego najmniejszej nie miał ochoty. Ale

i pani Zdernicka przystąpiła do niego i mile się uśmiechnąwszy poczęła prosić, nalegać tak, że znudzony w końcu Janusz przyrzekł jej swoją wizytę na jutro; sam się za to gniewał na siebie i szukał już w myśli sposobu wyswobodzenia się od danej obietnicy.

Gdy już nikogo nie było, Zosia spytała Janusza z zajęciem.

— Co panu jest? . . . Pan się zestarzałeś, posiwiałeś. . . Co to znaczy?

— Nic — mruknął Janusz. — Nie warto mówić o tem.

— Wyglądasz jakby z krzyża zdjęty — rzekł Witold.

— Miałem zgryzoty, nieprzyjemności? . . .

— Powiedz nam. . . Co takiego?

— Jestem zrujnowany — rzekł Janusz tonem, któremu starał się nadać wyraz obojętności. — Nie mam ani grosza.

— Jakimże sposobem? . . . — pytał Witold z zajęciem.

Janusz w krótkości opowiedział jak plenipotent majątek sprzedawszy, uciekł zostawiając długi.

— Okropnie! okropnie! — wołała Zosia.

— Więc nadto, masz długi? — pytał Witold.

— Nie! matka wszystko zapłaciła.

— Chwała Bogu! Przynajmniej pozostaje ci nazwisko bez plamy, Januszu.

Nazajtrz z rana Witold odebrał telegram powołujący go nagle do Lwowa. Zosia przestraszyła się.

— Od kogo to? — spytała niespokojnie. — Obawiam się nieszczęścia.

— Uspokój się, moja Zosiu. Nie ma się czego przestraszać. Tu idzie tylko o interes z pewnym wiedeńskim bankiem. Muszę jednak zaraz jechać.

— Jakto? Nie będziesz u Zdernickich?

— Nie. Będę prosił Janusza aby tobie zechciał towarzyszyć. Nie odmówisz mi tego Januszu?

Janusz zawahał się, ale wkrótce rzekł po namyśle:

— Z największą ochotą, Witoldzie.

— Nieznośny bankier! — wołała Zosia. — Mógł się z tobą zjechać przynajmniej w Krakowie. Czy nie możesz tak się urządzić, aby do niego wcale nie jechać? Nie mógłbyś tam kogo posłać?

— Nie, Zosiu. Koniecznie sam się z nim muszę widzieć. Pojutrze zapewne będę z powrotem.

I po południu Witold wyjechał, Janusz i Zosia zostali sami.

Zosia poczęła wypytywać z zajęciem Janusza o jego projekta i plany na przyszłość. Wypytywała go z takim zajęciem, jak gdyby ją więcej zajmował, niżli każdy inny znajomy, jak gdyby jój szło o rodzonego brata. Janusz odpowiadał niechętnie i krótko. W milczeniu, ukradkiem często spoglądał na nią, zawsze miłą i ujmującą, zawsze starannie i gustownie, chociaż bardzo skromnie ubraną. I znowu mu na myśli stawały porównania z Gretchen, której obraz był zaćmiony, niestety, promieniąjącym widokiem Zosi. Im się dłużej tym myślom oddawał, tem, z każdą chwilą, stawał się więcej smutnym

i pomurym. Zosia od razu spostrzegłszy zły humor Janusza i trudność z jaką od niego słowa wydobywać musiała, szczerze mu sprzyjając, poruszona jego cierpieniami, które się na jego twarzy jak w zwierciadle odbijały, miała nadzieję, że kilka chwil spędzonych na szczerój i otwartój pogadance, przyniosą mu ulgę i rozjaśnią, może rozweselą, zachmurzone jego czoło.

— Nie gniewaj się pan na mnie — mówiła — że się tak natrętnie wypytuję o wszystko. Pan wierzysz mojej przyjaźni, znamy się od dzieciństwa i zawsze byliśmy z sobą jakby brat z siostrą. Jabyłam chciała pana wyleczyć a mam trochę doświadczenia — dodała z uśmiechem. Nie wątpię o tem, że moje rady może się na coś panu przydać będą mogły. Odpowiadaj pan szczerze na moje pytania, które nie prosta ciekawość dyktuje ale — prawdziwa przyjaźń, jaką zawsze czułam dla pana. Pojmuję ten smutek, przeszedłeś przez wielkie nieprzyjemności i zmartwienia, ale tego jeszcze nazwać nieszczęściem nie można.

— Nie uskarżam się — rzekł Janusz dość sticho.

— A jednak, choć się pan nie skarżysz, wszystkie twoje słowa, nawet kiedy o sobie nie mówisz, tchną jakąś goryczą, żalem, tak iż każdy łatwo odgadnie, żeś zapewne jakieś wielkie przebywał nieszczęścia. Tymczasem tak nie jest. Masz matkę, która cię kocha i dała tego dowody, masz żonę piękną i dobrą, o której przywiązaniu nawet nie wątpisz, a nadto, masz córkę miłą i kochaną. Dla tych dobrych sercu osób, powinieneś się otrząsnąć ze swego smutku, ze swego letargu. Dla tych co cię kochają, żyć musisz, a nie masz prawa swojem



ponurem obliczem ich spokoju i ich przywiązania dla ciebie zatruwać. Toby było tylko niewdzięcznością. Jesteś mężczyzną, powinienes przyłożyć wszelkich starań do obudzenia w sobie na chwilę uśpioną energią. Trzeba coś przedsięwziąć, a z wytrwałością, niczem nie dającą się złamać wola, wrócić jeszcze dla ciebie dnie spokoju i szczęścia. Jak się do pracy zaciągniesz, nawykniesz do niej w końcu, stanie się ona u ciebie nałogiem i kiedyś może będziesz Bogu dziękował za dopuszczenie tego, co dziś nieszczęściem nazywasz. Gdyby nie ono, możebyś dalej prowadził to życie bez celu, spokojne wprawdzie, ale nie mogące zupełnie zadowolnić człowieka obdarzonego zdolnościami, umiejącego myśleć szlachetnie i jasnym, zdrowym okiem patrzącego na wszystko. Wyznaj sam, panie Januszu, że nie można było nazwać życiem tych dni i lat, któreś beczynnie w Czechach marnował, zdala od kraju i swoich, względem których masz święte obowiązki jako obywatel, lub krewny.

— Masz pani słuszność. Ja dotąd nie żyłem, lecz gnuśniałem, nie zdając sobie z tego sprawy, a zdawało mi się, że byłem zupełnie szczęśliwym. Dziś by mi podobne życie już wystarczyć nie mogło.

— A widzisz, panie Januszu, sam to przyznajesz. Zatem, raz się ocknąwszy ze swego letargu, trzeba co prędzej szukać zaradczych środków przeciwko temu, co sam teraz ganisz, przeciwko téj spokojnej beczynności. Tem lekarstwem będzie praca, a lekarzem — wola i wytrwałość.

— Nie mówmy o tem — mruknął Janusz z niechęcią. — Nic do dziś dnia nie zrobiłem, ale niestety,

nic nadal uczynić nie potrafię, chociaż może i mam chęci do tego. Nie jestem już młodym, nie umiałem dotąd pracować, nie nauczę się tego na starość.

— Ależ żona... córka... — mówiła Zosia.

— To co mi zostało wystarczy jeszcze do wyżywienia nas trojga. Moja żona nie nawykła do zbytków. Wszak pani wiesz, że to chłopka. Córka także mało potrzebuje. To co nam zostało, jeszcze się może nazwać bogactwem w oczach każdego wieśniaka. Co do mnie... już za późno...

Zosia ruszała głową, a na twarzy jój malował się wyraz szczerzej litości. Mocno ubolewała nad biednym przyjacielem.

— Co się z niego stało! — myślała. — Kilka lat ubiegło, a tak się do niepoznania odmienił. Zawsze myślałam, że umiał chcieć... Dziś mu do tego braknie odwagi. Biedny Janusz!...

— Już za późno! — powtórzył Janusz wychodząc z zadumy. — Żałuję nawet, że oczy otworzył, że jasno teraz widzę czem było moje życie dotychczas, bo ono już mnie zadowolnić nie potrafi. Zostanie żal za zmarnowanymi latami, a zajrzawszy w oczekującą mnie przyszłość, nic w niej nie ujrzę takiego, co by moje myśli na chwilę nawet mogło rozjaśnić. Będę dalej gnuśniał bez celu, bo nie potrafię innego, ale gnuśnieć będę, wiedząc już o tem dokładnie, co dzień jasną sobie zdając sprawę z mojego coraz większego upadku.

— Tak znów czarno patrzeć na przyszłość nie można — mówiła Zosia. — Choćbyś nawet nie miał być zupełnie szczęśliwym, zawsze ci pozostaje pociecha w mi-

łości żony i córki. Czyż tego nie dosyć? Czyż tego samego szczęściem już nazwać nie można?

— I cóż mnie pomoże ta pewność, że mnie kochają, kiedy mnie żadna nie będzie w stanie zrozumieć? Żona jest chłopką bez wykształcenia, a córka... biedna, kochana Liza, także chłopką zostanie. Żaluję teraz, że się z Czech ruszałem. Było mi dobrze i spokojnie. Wyjechałem, a wkrótce jasno mi się przedstawiły rzeczy. Dziś już nie jestem człowiekiem, jakim byłem pół roku temu. Zamknięty przy żonie i dziecku, nie widując nikogo ze swoich, byłem na drodze *zchłopenia się*; dobrowolnie, powoli schodziłem ze szczebla na szczebel tej wysokości drabiny, która mnie od méj żony dzieliła. Jeszcze lat parę, a byłbym mógł zupełnie już stać z nią na równi, byłbym znalazł szczęście o jakim oddawna marzyłem, jakie sobie wyrozumowałem przed laty. Dziś inaczej już patrzę na wszystko... E! — tu machnął ręką, — nie mówmy o tem wszystkim.

Zosia poczęła go pocieszać — jak umiała, dowodząc, że prawdziwa miłość mogła cudów dokazać, że nie trzeba było wglądać w to w jakich ją słowach głoszone — uczenie lub prosto, że tysiączne dowody miłości co chwilę prawie przez żonę lub córkę dawane, osłoda mu niemiłe już życie, które znowu pokocha, że gdy go smutne myśli opuszczają, — zabłyśnie jeszcze szczęście dla niego... Radziła nie zwlekać z powrotem do domu, gdzie go z niecierpliwością, wyglądały drogie jego sercu osoby i różnych tym podobnych używała argumentów.

— Biedna Liza! — mruknął Janusz. — Jakże ona tęsknić musi za mną! Jakże się musi o mnie nie-

pokoić!... Biedne, kochane dziecko! — I na wspomnienie córki uśmiechnął się ze wzruszeniem.

Dawno pan do nich pisał? — zapytała Zosia.

— Ja?... — Janusz zmięszął się trochę. — Wcale do nich nie pisałem, — rzekł krótko.

— Jakto! Dla czego?.. Czyż to się godzi?

— Nie miałem czasu. Miałem głowę nadto innemi zaprzątniętą rzeczami, a zresztą... — dodał jakby chciał siebie wytłumaczyć, podczas gdy złośliwy uśmiech ukazał się na twarzy, — zresztą moje pismo dosyć niewyraźne, a moja żona nie bardzo biegła w czytaniu. Nieźle syllabizuje drukowane wyrazy, ale listy... — tu Janusz wybuchnął gorzkim, nieprzyjemnym śmiechem. Zosia z niemą wymówką, na niego spojrzała.

— I pan jój do téj pory czytać nie nauczyłeś!...

— Na co byto się przydało? — mówił Janusz z goryczą. — Uważałem wszelkie nauki, nawet czytanie za rzecz bardzo szkodliwą i zupełnie niepotrzebną w życiu domowem. Cieszyłem się z braku wykształcenia mojej żony. Wziąłem chłopkę i chłopką jest dotychczas. Mała Liza pójdzie za przykładem matki, bo ją sam tak wychowałem.

— To wszystko nie tłumaczy dla czegoś pan do żony ani razu nie napisał. Wystawiam sobie jak się biedaczka musi niepokoić, jak się martwi i gryzie tem pańskim milczeniem, jak nieraz całe noce spędzać musi bezsennie. Biedna kobieta!

Janusz z ponurego stał się ironicznym i szyderskim. Począł wyśmiewać żonę, a tem samem siebie samego, bo wcale się nie taił z tem, że sam nad jój uformowaniem



pracował, kierując nią i rządząc wedle swoich fantazyi. Zosia ze strachem prawie słów jego słuchając, pytała siebie chwilami, czy nie ma czasem do czynienia z obłąkanym.

— Biedna kobieta, biedaczka jak ją pani nazywasz, — mówił Janusz z uśmiechem, — śpi doskonale, o to jestem najzupełniej spokojny. Biedaczka nie ma czasu się martwić, bo jest zawsze zajęta, a jako wymarzona przezemnie wzorowa gospodyni domu nie poświęca swych zajęć dla marnych wyczekiwań męża w progu chatki i dla rozpaczliwych jeremiad, które do niczego nie prowadzą. Biedaczka z rana myje podłogę, pierze bieliznę albo kopie w ogrodzie. Około południa z obnażonemi rękami uwija się już po kuchni, struże marchew, kartofle albo też przy ogniu się kręci, bo trzeba o sytnym pomysleć obiedzie. Dalej znowu ją czeka robota. Trzeba polatać dziury w bieliźnie, trzeba naprawiać brudne i stare graty, a gdy wieczór nadejdzie śpi już snem twardym. W niedzielę, w święta ta sama biedaczka w tańcu szuka spoczynku po całotygodniowych trudach. W gospodzie pod lwem, słońcem czy jeleniem, w zadymionéj sali zwieszona na ramieniu jakiego wyelegantowanego wieśniaka albo żołnierza prostego i poczciwego jak ona, przy dźwiękach wrzaskliwej muzyki, w takt walca lub polki suwa nogami po nierównościach podłogi. Zmęczona, przystaje na chwilę, lecz wychyliwszy kufel orzeźwiającego piwa, z niestygnącym zapalem znowu się w tany puszcza . . . Powiedz mi teraz pani, czy, przy tak zajętem i urozmaiconem życiu, może mieć czas na niepokoje, zmartwienia i tęsknotę?.. Czy może bezsenne trawić noce wtedy, gdy

jój się spać i chrapać zachciewa?.. A chociażby nawet czasem zawitał smutek w jój myślach, bo o tem, że mnie kocha nie wątpię, czyż ten smutek nie ustąpi od razu przed dowcipami jój niedzielnych tancerzy, bo i prostacy umieją być dowcipnymi, a żarty ich nie tak wyszukane nie tak zawikłane jak te, które po salonach słyszemy, zdolne są ją doskonale zabawić, bo nie przyzwyczajona do innych. Mogę pani niejedną przytoczyć, a sama osądziś . . . .

Zosia już dłużej słuchać nie mogła.

Dosyć tego, panie!... Czyż się godzi w podobny sposób o swojej żonie odzywać. To szkaradne!.. doprawdy szkaradne! — wołała, a jednak nie mogła się oprzeć uczuciu litości. — Biedny Janusz! — myślała. — Co się z niego stało!...

— Moja żona jest moją własnością! — bronił się Janusz, — a zatem mam prawo mówić o niej jak mi się to podoba.

Zosia odparła z uśmiechem:

— Skoro się pan do swoich praw odwołujesz, muszę to samo uczynić i...

— Słucham, — rzekł Janusz ciekawie się jój przypatrując, — słucham.

— Mój dom jest moją własnością, — odpowiedziała Zosia, — a w moim domu nie pozwolę nigdy na to, aby ktokolwiek się ważył żonę mojego przyjaciela wyszydząć.

— Brawo! — zaśmiał się Janusz.

— A teraz opuszczę pana na chwilę, gdyż naprzód

bardzo się gniewam, a powtóre muszę już pójść się wy-  
stroić. Trzeba nam wkrótce jechać.

— Za pięć minut jestem gotów, — odparł Janusz  
powstając.

W pół godziny potem siedzieli w karecie i odda-  
lali się od skromnej i cichej siedziby Witolda.



## ROZDZIAŁ XII.

Rezydencya państwa Zdernickich była jedną z piękniejszych w okolicy. Dom ich dosyć obszerny, pobudowany był w polsko-włoskim stylu, jak się to często w naszym kraju spotyka. Zakrawał trochę na pałacyk. Na dolnem jego piętrze, mieściły się salony i apartamenta pana Alfonsa, a na górze — pokoje jego żony i gościnne. W koło domu wzdłuż i w szerz ciągnął się wielki, umiejętnie zarysowany ogród. Można w nim było znaleźć szmaragdowe, angielskie trawniki, gęste klomby, tajemnicze, cieniste aleje i nawet misternie zawikłany labirynt. Gdziekolwiek wśród zieloności białaly kamienne statuy, niektóre bez rąk albo nosów, jak to często bywa; ale te drobne niedostatki nie psuły pięknej harmonii całości i ogród państwa Zdernickich słusznie był uważany za jeden z wspanialszych w okolicy.

Choć Janusz z Zofią za dnia jeszcze przybyli, już można było widzieć do koła domu porozwieszane kolorowe latarnie z papieru lekko się kołyszące na gałęziach, albo na niewidzialnych drutach.

— Dosyć ładna siedziba — rzekł Janusz wyskakując z powozu i podając Zosi rękę.

— To jedna z piękniejszych w okolicy — odparła Zosia, wbiegając do wielkiego przedpokoju o marmurowej posadzce. Ściany jego niknęły pod porozwieszanymi na nich starymi zbrojami, dzidami i tym podobnymi wojowniczymi sprzętami.

Zosia, zbliżywszy się do wielkiego lustra, poczęła na sobie suknią i włosy poprawiać. Była prześliczna w swym pięknym, materyalnym, jasko-niebieskim stroju, na którym w obmyślanym nieładzie drapowały się ciężkie i bogate koronki. Wygorsowany stanik uwydatniał piękne jój kształty. Janusz patrzył na nią z zachwytem.

— Wygląda jakby coś nadziemskiego — myślał.

Zosia ukończywszy swoje zajęcie, zwróciła się do Janusza.

— Nikt nie wyszedł na nasze spotkanie — rzekła, podaj mi pan rękę, aby wejść do salonu.

Już Janusz spieszył, żeby zadość jój żądaniu uczynić, gdy w tem się drzwi z trzaskiem otwały i wybiegł na ich spotkanie pan Alfons, a po pierwszych przywitaniach począł bardzo Zosię przeproszać za to, że zaraz nie nadbiegł; tłumaczył się gośćmi, którym pokazywał swoje zbiory. Gdy skończył podał jój rękę i skierował się ku drzwiom do salonu wiodącym.

— Wolałbyś wcale nie przychodzić — myślał Janusz krok w krok postępując za nami. — Odebrał mi moją damę.

W salonie już było około pięćdziesięciu osób zebranych, a zatem gwar nie ustawał na chwilę tembardziej, że towarzystwo złożone było po większej części z młodych osób. Pani Alfonsowa pospieszyła na spotkanie Zosi, nastąpiły powitania i stósowne w dniu tym zyczenia, a po chwili nowo przybyli wmięszali się do wesołego towarzystwa. Dziwiono się z początku nieobecności Witolda, ale go Zosia wytłumaczyła bez trudu. Podziwiano przez chwilę jęj piękną suknię i bogate koronki, niektórzy panowie przysięgali, że równie gustownych strojów, jak u nięj nigdy nie widzieli, i, jak zwykle zaraz to samo innym powtarzali damom. Jednem słowem przez czas jakiś nie ustawały te mdłe frazesa, których się tak często w świecie nasłuchać możemy, o których wie każdy, że są głupimi, a pomimo tego sam je wygłasza przy sposobności. Janusz był milczący i ponury, chociaż starał się nadać twarzy pewien wyraz wesołości. Wiodcznem jednak było, że miał głowę zaprzątniętą, czem innem, jak przyczynieniem się do zabawienia towarzystwa. Był zamyślony i mimowolnie, co chwilę na Zosię ukradkiem spoglądał. Jaśniała w gronie młodych, wykwintnie postrojonych dam, jak jaśnieje brylant w oprawie z innych, mniej świetnych, choć drogich kamieni. Była wesoła, ożywiona, rozmowna, ale zawsze dobra i naturalna. Nikt jęj nie mógł nie lubić, tak sobie serca wszystkich od razu podbijać umiała i nawet damy najwięcej światowe, najwięcej dbałe o młodość i wdzięki, marzące tylko

o królowaniu w każdym salonie, nie mogły Zosi nie kochać serdecznie i nie przyznawać jój w duchu pierwszeństwa, a wyznanie to bez żadnej zawiści i żalu czyniły, bo jeżeli zyskała sobie przyjaciół urodą, więcej jeszcze do siebie każdego dowcipem, dobrocią i naturalnością przygarnąć umiała.

— Wystawisz sobie niepokój mego męża — dosyć głośno mówiła do niej solenizantka. — Mija trzecia, czwarta, a ciebie nie ma. Chodził jakby nie swój . . . markotny, skwaszony . . . bo wiesz przecie, że się w tobie kocha, jak wszyscy panowie, a nawet — powiem niedorzeczność — jak my wszystkie zebrane tu panie.

I pani Zdernicka obsypywała Zosię tysiąciami pochwałami wcale niekłamnymi, gdyż każdy czuł i myślał jak ona, chociaż nie każdy śmiał swoje myśli głośno wypowiadać.

— I my wszyscy poczynaliśmy rozpaczać — dalej szczebiotała gospodyni domu, żywo gestykulując i nieustannie się bawiąc wachlarzem. — Co znaczy zabawa bez królowej! . . . Przyjechałaś w końcu zająć miejsce na oczekującym cię tronie. . . Ale doprawdy, moja Zosiu, mam żal do ciebie, żeś nam swego męża nie przywiozła. Mógł sobie ten bankier trochę poczekać. Na to jest bankierem i za to bierze pieniądze. Doprawdy te Schulzy zaczynają sobie z nami bardzo teraz pozwalać! . . . Wystawcie sobie państwo, że raz w Wiedniu na balu, na którym znajdowało się bardzo porządne towarzystwo i nawet był jeden z arcyksiążąt, sama narachowałam aż trzech bankierów. Jeden z nich nawet przyszedł mi się przedstawić. Nie pojmuję doprawdy dokąd my idziemy i na

czem się to wszystko skończy. . . A jakie to dumne, napuszone, harde! . . . jakie bezczelne! . . . Żona jednego z nich miała dyamenty. . . . No! takich w życiu nie widziałam, chyba w *Grüne Gewölbe* w Dreźnie. A jakie korenki i suknie! . . . To doprawdy oburzające! To się nawet nie godzi! . . .

Pani Zdernicka, jak każda wielomówna osoba nieraz się z głupstwem wyrwać umiała, z głupstwem, któreby sama bez trudu wyznała, gdyby się tylko czasem trochę zastanowiła nad tłumnie się z jej ust wymykającymi słowami. Ale nie miała na to czasu, tak się jej myśli całymi rojami cisnęły do głowy, tyle rozmaitych rzeczy naraz opowiedzieć chciała. Często najniewinniej, bo bez namysłu wyrwały się jej bardzo dobre dowcipy, które długo sobie powtarzano, ale jak swoich głupstw, tak i dowcipów spamiętać nie mogła, bo dalej, ciągle dalej mówiła. Bardzo ją w okolicy lubiono, a nikt nie mógł się nieraz nie uśmieć, słuchając tej obfitej katarakty słów spieszenie jedno drugie przed siebie pędzących. Przytem szanowano ją także, bo serce miała najpoczciwsze i starała się każdemu dogodzić. Męża kochała, ślepo mu we wszystkim ufając i wierząc, a gdy ją czasem napominał, zawsze najsolenniej mu obiecując poprawę, chwilę potem przy najmniejszej zrzeczności już zapomniawszy o wszystkim, znowu co prędej obracała językiem.

— A słyszeliście?... Adolf ten piękny Adolf, który temu dwa lata karnawałował w Krakowie... Ten huzar, ułan, czy doboz... Sama już nie wiem... otóż zastrzelił się w Wiedniu! Szkoda go! Taki był piękny! Mówią, że



się zastrzelił z miłości dla jakiejś baletnicy, dla téj Fanny, o której tyle zawsze piszą wiedeńskie gazety. Widziałam ją... nieładna, ruda, a nogi takie chude... Szkoda było dla niej sobie życie odbierać!... Zresztą, w ogóle nie pochwalam tego pogańskiego zwyczaju... Ale coż robić!... To gorzej niż zwyczaj. To tak jak karty, jak wino.. To nałóg, bardzo wprawdzie modny, ale niemoralny. To szkaradny nałóg.

— Co? samobójstwo? — zapytał pan Alfons.

— Tak, samobójstwo — odparła żona bez zastanowienia.

Wszyscy w salonie serdecznym wybuchnęli śmiechem.

— Co? Czego się śmiejecie? Może mi się niedorzeczność wyrwała? — zapytała ze zdziwieniem solenizantka. — Może być! Kto nie ma swoich śmieszności. Mniejsza zresztą o te. Lepiej głupstwo powiedzieć niż zrobić. Ale inni utrzymują, że miał mnóstwo długów — i dla tego się pistoletem zabił. Oswobodził się od swoich wierzycieli. To był figiel trochę może za *mocny*, ale w każdym razie dobry. Bardzo był zabawny, miły, dowcipny, ale doprawdy nie miał potrzeby sobie życia odbierać. Mybyśmy składkę zrobili i od razu byśmy w ten sposób téj zgrai łotrów, tym infamisom nakazali milczenie.

— Jakim infamisom? — zapytał ktoś w salonie.

— Jakim?... Wierzycielom. Teraz mają sobie do wyrzucenia śmierć porządnego człowieka. Ale im to dosyć obojętne o tyle o ile ich kieszeni nie dotyczy. Ręczę, że wolą swoje pieniądze od pięknego Adolfa. Te ban-

kiery serca nie mają. Założyłabym się, że gdyby tylko którego chciano rozplatać, na miejscu serca znalazłoby jakąś arytmetykę, albo może portmonet... Brrr!... Szkaradna rzecz, gdy sobie pomyślę, że u nich zamiast serca bije jakaś arytmetyka!.. Okropni ludzie!.. A co do Fanny — doprawdy nieciekawa. Ruda, nos płaski, ale za to szeroki. Zęby śliczne! z pewnością nie własne. Mina bezczelna... Okrutna! Stała się przyczyną śmierci biednego oficera, na którego przez tyle lat oczy całego Wiednia z zachwytem były zwrócone. Ręczę, że udawała obojętną, kiedy w duchu musiała być uszczęśliwioną, że ją Adolf zauważyć raczył. Sam nawet rozsądek... Ale ba! U niej rozsądek w nogach, w tych okropnych szczydłach, którymi w teatrze przed publicznością wywija. Przyznam, że to nawet nieprzywoicie... Jeżeli są poczciwi sędziowie w Wiedniu, powinni by tę Fanny zamknąć na lat kilka przynajmniej. Niechaj pokutuje za swoje winy. Ale nic z tego!.. Oni nie tylko ją w spokoju zostawiają, ale jeszcze pójdą do teatru patrzeć jak się mizdrzy i skacze! To bezczelność z ich strony. Jabym ją zamknęła tam gdzie siedział ten Silvio Pellico! Czy kto z państwa miał kiedy odwagę doczytać te jego wspomnienia z więzienia? Okropnie nudne! prawda?... Zresztą mam gdzieś fotografię... Biedny Adolf!.. Zaraz wam pokażę...

— Czyją fotografię?... Adolfa? — zapytał mąż.

— Nie Fanny!.. Prześliczna!.. zobaczycie...

— Tylko co nam mówiłaś, że brzydka.

— Ach prawda! Szkaradną. To Berta piękna! Nazywają ją w Wiedniu „Czarną Bertą“... Adolfa miałam, ale go dałam pewnej osobie, która mnie prawie na

kłęczkach o nią prosiła. To bardzo ciekawa historia. Wcale się temu nawet nie dziwiłam, bo Adolf tak doskonale tańczył!... Raz, pamiętam u dworu... ledwo walca zagrano... on zbliżył się do mnie i poczęliśmy tańczyć... Wszyscy przytomni zwrócili na niego uwagę i z zachwytem patrzeli jak lekko, jak posuwicie walcował. Wszyscy, wszyscy na niego tylko patrzeli... Rozrywano go sobie w ciągu całego wieczoru i nic w tem niema dziwnego, bo Wiedeńczycy znaleźli mistrza w Adolffie i każdy należne składał mu hołdy. On był królem wieczoru!

I pani Zdernicka zapomniawszy o fotografii, poczęła się rozwodzić nad Adolfem, potem raptownie przeskoczyła na inny temat i tak bez ustanku mówiła aż póki nie dano znać, że obiad już gotów.

Przeniesiono się parami do sali jadalnej — dużego i wysokiego pokoju, którego ściany okryte były do koła gustownie pozawieszanemi talerzami i misami z porcelany, albo fajansu, świadczącymi o dobrym smaku gospodarza domu. Pan Alfons był miłośnikiem wszelkich starożytności i część dość znacznych dochodów poświęcał na nabywanie pięknych i kosztownych antyków, którymi corocznie swoje zbiory pomnażał. W salonie wisiały malowidła, w przedpokoju zbroje, a w sali jadalnej porcelany. W pięknej bibliotece posiadał piękny zbiór rzadkich dzisiaj książek, pomiędzy którymi można było widzieć kilka cennych rękopismów. Wszystkie pokoje zapełnione były najrozmaitszych kształtów, wieków i stylów meblami, które z Kopenhagi, Drezna, Wenecyi lub Pragi sprowadzał. Żona jego, zupełnie się na niczem

nie znając, wszystko zawsze chwaliła, nad wszystkim się głośno zachwycała, ciesząc się z każdym nowym nabytkiem, jakgdyby jego wartość ocenić umiała.

Goście rozsiedli się za stołem. Janusza posadzono daleko od Zosi i można było zauważyć, że się często w czasie obiadu dosyć dyskretnie wychylał, aby na nią ukradkiem dziwne, nieokreślone rzucić spojrzenie. Chociaż sąsiadki jego były piękne, miłe i dowcipne zdawał się być ich towarzystwem znudzonym, zdawał się niecierpliwie oczekiwać końca obiadu. Małomówność jego i ponure wejrzenia dziwiły z początku piękne sąsiadki, a w końcu bez zważania się z sobą, każda mu w duchu przyznała, że wcale nie znał prawideł grzeczności i obyczajów świata.

Gdy po obiedzie powrócono do salonu, meble były sprzątnięte, a pod ścianami tylko porostawiane — kanapy i krzesła zdawały się oczekiwać chwili kiedy się tańce rozpoczną. Ale pan Alfons zaproponował wprzód przechadzkę po ogrodzie. Papierowe latarki już się z daleka świeciły tworząc wśród zieleności najfantastyczniejsze girlandy i łańcuchy. Goście jak szli od stołu parami, tak się w tym samym porządku za panem Alfonsem udali. Szedł na czele orszaku i prowadził gości przez oświecone ulice i aleje, a w końcu zagłębił się w tajemniczy, o krętych ścieżkach labirynt. Ogród bardzo się pięknie przedstawiał przy słabem, różnobarwnem oświeceniu latarek, a pary spacerujących rzucały jakieś fantastyczne cienie na murawy lub jasny piasek, którymi były wyspane ulice. W ogóle rozmawiano dosyć wesoło. Jeden Janusz był zawsze markotny. Pragnał końca przechadzki

a dama jego znudzona i zniecierpliwiona, prawie się już przed nim nie ukrywała z tem jak mało jój przyjemności jego towarzystwo sprawiało. O kilka kroków przed nimi szła Zosia, a ponieważ jój kawaler najzupełniej się od Janusza różnił śmiała się co chwilę. Do uszu nadąsanego Janusza co chwilę dolatywał ten śmiech jój niezbyt głośny, ale wesoły, dźwięczny i melodyjny jak ona, i gniewny jak ona, i gniewał go, drażnił, równie jak go drażnił mężczyzna którego dowcipy pobudzały ją do wesołości. Nie znał go nawet, nie wiedział czy mądry, czy przyjemny, a czuł jakiś niewytłumaczony wstręt do niego. Im dalej szli, tem go Janusz z każdą chwilą więcej nienawidził, tem się zdawał więcej ponurym i zagniewanym. A jednak, dla czego?.. Wszak o panu Karolu, kawalerze Zosi, mówiono że był miłym, wykształconym i dobrze urodzonym, a dowcipy jego powtarzano ze śmiechem... Ale Janusz go nie znał osobiście. a gdyby go nawet poznał i ocenił, czyby przeto nabrał dla niego sympatyj?...

Patrzył na niego, irytował się, a często powtarzany śmiech Zosi szczególnym sposobem działał na jego rozdrażnione nerwy, w skutek czego najmniejszej już nie zwracał na swoją damę uwagi.

— Będę miała co opowiadać! — myślała biedaczka niechętnie się wlokąc wsparta na jego ramienia. — Miły człowiek!. Perła w swoim rodzaju!.. Ciekawa też jestem jaka ostryga na świat go wydała.. Pięknym nas Zosia obdarzyła kawalerem!... Słówka od niego wyciągnąć nie można... *Charmant!* Nie ma co mówić, — *charmant!*...

W końcu nie mogąc się dłużej powstrzymać zapytała dość żywo:

— Czy pana bardzo ten spacer bawi?...

— W ogóle nie lubię chodzić... chyba w towarzystwie, — odparł z roztargnieniem Janusz, jakby ze snu zbudzony.

— I ja także tak samo, — odparła dama. — Kiedy zatem mamy jednakowe gusta, proszę pana odprowadzić mnie do domu.

Janusz, nie wyrzekłszy słowa, bardzo ochoczo zwrócił się na miejsce dla dogodzenia swój damie. Czuł dobrze że w ciągu obiadu i podczas przechadzki był śmiesznym, ale nie mógł zebrać myśli aby się zdobyć na jakikolwiek błaby nawet frazes. Gdzieś rozproszone swobodnie krążyły i bujały, a wola jego nie była dość silną aby je skupić, aby je zgarnąć jak myśliwy, który trąbką zwołuje sforę rozproszoną, po lesie.

Gdy dość spiesznym nawet krokiem powracali do domu, ujrzeli naprzeciw siebie dążących kilku mężczyzn, którzy się przypóźnili przy cygarach i winie. Między nimi znajdował się brat towarzyszki Janusza. Spostrzegłszy go wysunęła rękę z pod ramienia swego kawalera i przeprosiwszy go dość sucho porzuciła go na środku ulicy. Po chwili Janusz widział jak wzięwszy brata pod rękę oddaliła się z nim od garstki mężczyzn i podążyła za wolno sunącemi po ogrodzie parami.

— Nie mogła mnie większej sprawić przyjemności, — mruknął Janusz z zadowoleniem. — Wynudziliśmy się po królewsku. Ludwik XIII. lepiej się nie nudził.

I poszedł się błąkać po ogrodzie. Gdy powrócił do salonu tańce już były rozpoczęte. Zosia naturalnie była królową, wieczoru, czarowała każdego, a tak była otoczona

dokoła, że trudno było do niej się zbliżyć. Nie odstępował jój pan Karol, a nienawiść Janusza dla niego z każdą chwilą wzrastała.. Czemuż się tak gniewał, gdy widział, że Zosia z upodobaniem jego dowcipów słuchała?.. Czemuż jeszcze więcej ponure ciskał dokoła wejrzenia?... Co jemu zrobił pan Karol, że go tak zmienawdził od razu?..

Do nikogo się nie zbliżając, z nikim przez cały wieczór nie zamieniał słowa. Czasem się tylko uśmiechał, ale uśmiech jego był przykry, jadowity. Dama, która go tak niegrzecznie porzuciła w ciągu przechadzki sownie mu odplacała za nudy wycierpiane w jego towarzystwie, bo kto się tylko do niej zbliżył, wskazywała na stojącego pod ścianą Janusza, nazywając go *le laid ténébreux*. I wszyscy się śmiali serdecznie, a Janusz w nikim nie znalazł obrońcy, bo jego dziwne postępowanie w towarzystwie nie zjednało mu przyjaciół. Jedna Zosia byłaby go broniła, ale każdy się wystrzegał przed nią, o Januszu wspominać, gdyż wiadano, że był z całą jój rodziną w przyjaznych stosunkach, a nikt nie miał odwagi stać się przyczyną, choćby najmniejszego nieukontentowania Zosi.

## R O Z D Z I A Ł   X I I I .

Zabawa przeciągała się dosyć długo. W końcu, nad ranem Zosia na Janusza skinąwszy, z nikim się nie żegnając, wysunęła się z salonu. Janusz za nią pośpieszył i po chwili siedzieli już obok siebie w karecie.

Krew uderzyła Januszowi do głowy, gdy się znalazł przy Zosi, serce mu biło nierówno, gwałtownie. Czasem się Zosia ruszyła, a zdawało się jemu, że od zmysłów odejdzie, tak go dziwnie poruszał każdy jój ruch, szelest jedwabnej sukni, jój oddech równy i spokojny i zapach kwiatów, które w rękę trzymała. Trząsł się i w ciemności ogromnie oczy roztwierał, jakby ją chciał pochłonąć wejrzeniem. Przez chwilę panowało milczenie. Zosia je pierwsza przerwała:

— Ślicznie się zabawa udała! Prawda panie Januszu?



— Tak...

— Jakie przyjemne towarzystwo. Jakże się ocho-  
czo i wesoło bawili!

— Nie uważałem...

— Widzę, że pomimo moich serdecznych nalegań,  
pomimo morałów, których się pan tyle nasłuchałeś ode-  
mnie, wcale się pański humor nie polepszył. Raz pan  
już za siebie energicznie otrząśnij ten smutek; zapomnij  
o tem co się stało, miej trochę woli i wytrwałości. Pa-  
miętaj, że jesteś mężczyzną. Wszak to przez co przejść  
musiałeś jest bardzo przykrem, bardzo bolesnym zapewne,  
ale tego jeszcze nieszczęściem nazwać nie można.

— Dawno o tem zapomniałem — rzekł głucho  
Janusz.

— A więc z kąd ten nowy smutek?... Zawiozłam  
pana do ludzi miłych, uprzejmych, u których zawsze się  
doskonale bawią

— Ładna para! — mruknął Janusz. — Głupiec  
i sroka!...

Pan Alfons może być bardzo znacnym obywatelem,  
ale jest nudziarzem pierwszego gatunku... Dziwi mnie,  
że nam nie pokazał, pomiędzy innymi pamiątkami, gi-  
lotyny, którą Abraham miał ściąć głowę Izaaka... Jego  
żona także ciekawa... Skrzecze bez ustanku.

— Najpocziwsza w świecie kobieta! — zawołała  
Zosia z uśmiechem. — Serce u niej złote, nieocenione...  
Pan Alfons jest dobrym obywatelem i sąsiadem... Nie  
myśl pan aby był nieukiem.. A zresztą było jeszcze  
więcej osób. Nie uwierzę, abys pan, mając tak wielki  
i dobry wybór, nie znalazł sobie przyjemnego towarzy-

stwa. Było wiele bardzo dystygowanych i wykształconych osób. Kogoś pan do stołu prowadził?

— Nie wiem jak się nazywa... Jakaś czarna, niby przystojna... lekkie wąsiki, usta purpurowe... Dyamenty na szyi i w uszach, a w głowie... nie wiem, nie rozmawiałem... zapewne tylko śmiecie.

— Ach! To pewnie Helena, kuzynka pana Alfonsa.

— Podobno! — mruknął Janusz.

— Ależ to jedna z przyjemniejszych osób w sąsiedztwie.

— To co pani mówisz, nie szczególnie mi daje wyobrażenie o waszem sąsiedztwie, które panią Helenę za przyjemną osobę uważać może.

— Chybaś pan z nią nie rozmawiał!...

— Nie... Zupełnie mi się niepodobała.

— Pan jesteś bardzo trudnym, a przedewszystkiem w złym humorze. Zresztą.. oprócz biednej Heleny tyle się innych znajdowało osób! Powiadam panu, że dzisiejsze zebranie bardzo było świetne. Do téj pory odtawać nie mogę, że Witold na niem być nie mógł.

— Pozwalam sobie wątpić o tem — rzekł Janusz ze złośliwym uśmiechem.

— Dla czego?

— To moja tajemnica... Co to za pan Karol?

— Karol!... Al poznałeś go pan!... Prawda jaki sympatyczny?... Nadzwyczajnie dowcipny! Bawił mnie przez cały wieczór.

— Uważałem... Co do mnie.. myślę, że pan Ka-

rol nie musi być zbyt mądrym... Zresztą mam do niego jakąś antypatyą, czuję jakiś wstręt do niego.

— O! To bardzo niesłusznie!... Jak go pan bliżej poznasz, to się twoje zdanie zaraz odmieni. Ma być u nas w tych dniach.

— Uważałem, żeś pani z wielką przyjemnością jego dowcipów słuchała — rzekł Janusz, a głos jego miał dziwne, nieprzyjemne brzmienie.

— Pan zdajesz się mieć do mnie żal za to! — zaśmiała się Zosia.

Janusz wybuchnął:

— Tak pani!.. Wcale się nie mylisz... mnie to gniewało.

— Panie?...

— O! już dłużej milczeć nie mogę! Dławią mnie słowa, których dotąd wyrzec nie śmiałem... Ja ciebie kocham Zosio! Kocham tem gwałtowniej, tem namiętniej, im niespodzianie zapaliła się we mnie ta miłość, im mniej mam do niej prawa!...

— Panie! panie! — wołała przerażona Zosia.

— O! nie dziw się pani.. Myślisz, że można patrzeć na ciebie bezkarnie?... Myślisz, że można przy tobie bezkarnie choćby jedną chwilę przepędzić?... Jesteś piękną, dobrą, rozumną i dziwisz się, że ciebie można kochać?...

— Panie!... Bo każę stanąć! — I Zosia wyprostowała się w karcie.

— I cóż? — drwiąco zapytał Janusz.

— Każę panu wysiąść!...

— Może być, lecz nie wysiądę, póki mnie nie wysłuchasz do końca.

Zosia z rozpaczą opadła na poduszki karety.

— Musisz mnie do końca wysłuchać — mówił Janusz z zapalem. — Może to złe, może nikczemne, co tobie chcę powiedzieć, ale są chwile w życiu, w których chęć się na nic nie zważa, w których się depcze co jest najświętszego na świecie. I dla mnie taka chwila nastąpiła... oddalałem ją póki mi sił starczyło... dłużej już milość nie mogę i depcze co jest dla mnie świętego! Inną przysięgam miłość i wiarę do śmierci, przysięgam przed ludźmi, przed Bogiem... o wszystkim chcę zapomnieć, aby ciebie, tylko ciebie kochać i ubóstwiać. Czuję całą szkaradę mojego postępku, czuję całą jego podłość, ale może dla tego powabniejszym mi się wydaje mój nieczyny występki... wabi mnie swojemi zakazaniami, dziłkami rozkoszami, w pośród których bym się durzał, w pośród których bym miał utonąć wesoło... Ja ciebie kocham od chwili gdy poznałem jaką jesteś w istocie, gdy na miejscu kwiatka, którego listki powoli opadły, ujrzałem dojrziałe i rozrośnięte owoce, owoce piękne i nęćące... Tym owocem ty jesteś, Zosiu!... Dojrzałaś, a kocham ciebie... Z początku nawet nie podejrywałem w sobie tego uczucia... patrzałem z podziwieniem, z zachwytem na ciebie, nie wiedząc nawet o tem, że ciebie już kocham... Upadłem, zginąłem, ale kocham ciebie... chcę abyśmy razem upadli i razem, na wieki zginęli... Ty nie wiesz, jakie nas dzikie czekają rozkosze!...

— Panie!... panie!... — błagała Zosia zalewając się łzami. — Panie! Litości!...

— O! nie prosz, nie prosz daremnie, bo mnie nawet

nie wzruszysz . I tak sobie się dziwię, żeś tyle czasu milczed potrafił, żeś się przed tem z moją miłością nie zdradził... Jesteśmy sami... Czemu masz wracać do domu?... Każ jechać na koleją, tam pożegnamy te strony, w których ciebie dopiero prawdziwie poznać umiałem... Ruszemy w świat szeroki, daleki... Ludzie o nas zapomną, a my o nich — bez trudu. Powiedz tylko jedno słowo, a nawet opuścimy Europę, dowiodę tobie, że jeszcze chcieć umiem, dam ci tysiączne dowody wytrwałości, którą ty jedna we mnie pobudzić potrafisz... Będę pracował jak murzyn dla ciebie... Ty mnie wydzwigniesz z przepaści, w jaką mnie pcha nałogowe lenistwo Ty mnie podasz rękę, a ciebie nie opuszczę na wieki... Miłość nasza uszlachetnia nas w naszych własnych oczach... O! Zofio! Powiedz jedno słowo!... Zofio! Ty jeszcze nie wiesz jakie nas w naszym występku czekają rozkosze!... Zofio! Jedno, jedno tylko słowo!...

— Nie!.. Nigdy!.. — wołała Zosia.

Ale Janusz nie chciał jęj wierzyć. Począł się śmiać z szyderstwem, a upojony własnemi słowami, dalej mówił z wzrastającą gwałtownością:

— Nie? Nigdy? — powiadasz!... Oglądasz się na Witolda, na ludzi.. Boisz się!.. Zapomnij o nich jak ja zapomniałem o wszystkim. Ty mnie kochasz. Zofio, a więcój nam nie potrzeba.

I silnie ją schwycił za rękę.

Zosia ją gwałtownie wyrwała.

— Nie! Nie! Precz odemnie!..

— O! nie mów tego, Zofio!.. To marne tylko słowa, którym nigdy nie dam wiary. Wszak mnie jeszcze



kochasz!.. Czy pamiętasz ten wieczór w Dreźnie?.. Pamiętasz, jakęś mi o swojej miłości mówiła?... O! nigdy nie wierzę, aby ta miłość do szczeru wygasnąć miała w twem sercu!.. Jeszcze w niem tleć musi jakaś iskierka, z której ja płomień rozniecę, z której jeszcze pożar wybuchnie, pożar tak ogromny i straszny jak ten, który mnie pali, pożar równie dziki, namiętny ale rozkoszny... Kochałaś mnie, Zofio, widziałem to dobrze, ale i teraz mnie kochasz!... O! jeszcze mnie kochasz!... Ty dla Witolda żadnej nie czujesz miłości, ty się tylko łudzisz!... Chciałabyś przy nim zapomnieć o dawnych uczuciach, które kiedyś lekkomyślnie śmiałem odrzucić!.. Ale mnie ciebie nie znał wtedy, nie wiedziałem jaką będziesz z czasem... O! Zofio! Powiedz, że mnie jeszcze kochasz, że razem będziemy szczęśliwi; żyjąc tylko dla siebie, zdala od znajomych, obcy, nieznanymi wśród obcych. Powiedz, że chcesz za moim przykładem podeptać co było świętego i z zamkniętymi oczami rzucić się w ten straszny i rozkoszny wir uczuć namiętnych!... Zofio!.. Ty nie wiesz jakie szczęście nas czeka!... Zaufaj mnie, mnie tylko, a zobaczysz jakie nieznanne krainy szczęścia razem będziemy zwiedzali... Patrz! słońce wschodzi... Jakże jasno, jakże wesoło świecą witające nas jego promienie!.. Niech to słońce będzie zwiastunem naszego szczęścia, niech wznosząc się na niebie opowie ludziom, że dwoje kochanków zrzucawszy z siebie pęta z ludźmi i ze światem ich wiążące zakosztowało prawdziwych szczęścia rozkoszy!..

Zosia milczała. Trzęsa się ze strachu, nie śmiejąc nawet na Janusza spojrzeć. Żywo wolno jej po policzkach spływały. Rzuciła ukradkiem spojrzenie przez taflę karety

a na twarzy jój ukazał się wyraz jakiejś nadziei. Już się do domu zbliżali. Janusz do niój zwrócony czekał przez chwilę na jój odpowiedź. Patrzył na nią; na twarzy jego malowała się dzika namiętność, a w oczach złowrogo się iskrzących, nie można było dojrzeć żadnego ludzkiego uczucia. Wyglądał jakby szalony albo pijany. Był straszny!...

— Milczysz, Zofio? — zawołał. — Czyż ci tyle czasu potrzeba aby odpowiedzieć na moje pytanie?.. Czyż się jeszcze wachasz aby wybór pomiędzy szczęściem a niewolą uczynić?... Zofio! zaklinam cię, mów!... Mów, że mnie kochasz, mów, że pójdziesz za mną!.. Nie wachaj się dłużej, bądź moją na wieki!...

I Janusz począł namiętnie ścisnąć jój rękę.

Nagle powóz się zatrzymał.

— Co to jest! — zawołał Janusz.

→ Jesteśmy w domu! — rzekła Zosia z radośnie bijącym sercem.

Stary Jan już był na nogach. Stał przed gankiem i czekał na swoją panią. Zosia pospiesznie wyskoczyła z karety.

— Janie, — rzekła urywanym, drżącym ze wzruszenia głosem. — Niechaj Michał konie zaprzęże... Odwiezie pana Madzickiego na kolój... Niech się spieszy, bo może się spóźnić na pociąg. —

— O! Jeszcze czas! — odparł Jan z uśmiechem. — Zaraz jednak dam znać do stajni, i obrócił się chcąc swoją panią jeszcze o coś zapytać.

Ale już Zosi nie było. Nie czekając odpowiedzi starego kredencera wybiegła do swoich pokoi.

Janusz stał długo jakby sobie nie zdawał sprawy z tego gdzie był i co się z nim działo. W końcu powoli powróciwszy do przytomności, ochłonął ze swoich wzruszeń, a serce mu się boleśnie rozdarło.

— Nie ma już żadnej nadziei, — mruknął rozpacźliwie. — Już dla mnie szczęścia nie ma, . . . już ze mną koniec... — i machnąwszy ręką, z głową zwieszoną, poszedł do swego pokoju.

W pół godziny potem opuszczał ten cichy dom w którym spokój zamącił. Sam nie wiedział dokąd się uda.

— Do żony? — myślał z goryczą, — co ja u niej będę robił?...

Otworzył pugilares i zaczął rachować pieniądze.

— Tysiąc guldenów, — pomyślał. — Pojadę do Wiednia. Tam się może trochę rozerwę, tam może o moich nieszczęściach zapomnę.

W Wiedniu bawił się przez cały miesiąc. Hulał w całym tego słowa znaczeniu, dnie i noce na najwyuzdańszej trawiając rozpuście. Starał się zapomnieć, ale daremnie. W czasie szalonych, piekielnych orgii ścigały go nieustannie wspomnienia zaprawione goryczą. Coraz nowe wymyślał hulanki dla przytłumienia dokuczających mu zgryzot, ale zawsze daremnie... Wreszcie mu już pieniądze nie stało... Pomyślał o żonie, o córce, a wspomnienie małej Lizy rozchmurzyło na chwilę posępne jego czoło.



— Ha! wróćę do domu. Liza mnie może pocieszy.

I pożyczwszy potrzebne na drogę pieniądze od jednego z towarzyszy hulańek, pana Ferdynanda Nagel, ex żyda, który sływał na cały Wiedeń ze swojej niczem nie zaspokojonej rozpusty, Janusz złamany na siłach i duchu wyruszył z powrotem do żony

## ROZDZIAŁ XIV.

Janusz wcale nie był dalekim od prawdy, kiedy troskliwie go wypytnącej Zosi dowodził, że osamotniona Gretchen nie tęskni i nie smuci się daremnie, że śpi doskonale i nie ma czasu na niepotrzebne rozpaczanie.

Jak tego był od niej odjeżdżając zażądał, Gretchen sprowadziła do siebie z Königsteinu rodziców. Zabawili u niej przez miesiąc, a potem czule ją pożegnawszy, powrócili do siebie. Tymczasem Janusz nie wracał i znaku życia nie dawał. Gretchen nie wiedziała już jak wytłumaczyć to dziwne milczenie, ale nie psuła sobie krwi nad rozwiązaniem zagadki. W niczem się jój tryb życia nie zmieniał. Sumiennie w dnie powszednie obowiązki gospodyni domu wypełniając, sumiennie też co niedziele i święta w gospodzie żadnych polek i walców nie przepuszczała. Liza, korzystając z niebytności ojca, zawsze jój towarzy-

szyła, bo matka dobrze wiedziała, że w tem nie było nic złego. Znajomi Gretchen nie mogli się dosyć naopowiadać o jój pięknej aksamitnej sukni, o złotych kolczykach i broszy, w które niedługo po wyjeździe rodziców stroiła się z upodobaniem każdego dnia świątecznego.

— Janusz będzie z początku niekontent z tój sukni, ale udobrucha się w końcu i zapłaci — myślała Gretchen za każdym razem, kiedy na siebie kosztowną suknię wdziewała. — Zresztą, gniew jego sam z siebie upadnie, gdy mnie w niej ubraną zobaczy. Każdy mnie zapewnia, że mi w tem bardzo do twarzy... — I Gretchen przed lustrem wdzięczyła się do siebie, a za złe jój tego mieć nie możemy, bo suknia była rzadkiego amarantowego koloru, wpadającego w gorący pomarańczowy. Gdy jeszcze na nią narzuciła szal jasno zielony, gdy głowę ozdabiał błękitny, ślicznymi różami i jaskrawymi tulipanami upstrzony kapelusz, Gretchen w oczach wieśniaków wyglądała jakby jaka królowa. — Nie! Janusz się gniewać nie może, jak mnie w tym stroju zobaczy! — z dumą myślała rozpromieniona Gretchen. — A gdyby się nawet chciał gniewać?... Czyż ja tu panią nie jestem?... Gdyby nie chciał tych piękności zapłacić, ja jestem dosyć na to bogatą... Wszakże to wszystko do mnie należy!... — I tu, tryumfujące rzuciła spojrzenie na domek, ogród i spory kawał ziemi przytykającąj do niego.

Powoli Gretchen zupełnie o Januszu myśleć przestała. Opuścił ją nawet ten lekki niepokój o to, co powie na widok amarantowej sukni i zielonego szalu... Nie wraca?... widać, że się bawi!... A i ona się także bawiła. Uważno, że z każdą niedzielą, coraz wcześniój do

gospody przybywała a do ostatka, do późnej nieraz nocy wesoło się bawiła w towarzystwie nie zawsze dystyngowanych, ale niezaprzeczenie dowcipnych żołnierzy. Opuszczona Liza zwykle spała gdzieś w kącie, gdy się czuła znudzoną patrzeniem na tańce, a matka tymczasem zabawiła się jak mogła. Zauważano nawet, że często u siebie wesołych przyjmowała gości, którzy długie czasem, w jej gościnniej kuchni, spędzali godziny. I w końcu przyszło do tego, czego należało się spodziewać, nadszedł dzień nieunikniony, w którym Gretchen zaprzestała pragnąć powrotu Janusza.

Pewnego świątecznego poranku, Gretchen już w swoje aksamity i złote kolczyki wystrojona, podniosłszy wyżej łokci rękawy pięknej sukni, krząta się w kuchni przy ogniu. Groźnie zachmurzone niebo zapowiada długą, jesienną słotę. Wiatr przeraźliwie wyje, świszczcze i jęczy w kominie. Liście dawno pożółkły na drzewach. Tak brzydko na dworze, że Gretchen wątpi o tem, czy się odważy przestąpić próg domu, czy pójdzie do gospody na tańce. Ale myśl ta nie zdaje się jej nawet zasmucać, bo nie jest samą, a w przyjemnem towarzystwie spodziewa się równie mile jak i w gospodzie swoją niedzielę przepędzić.

Na ławce pod oknem siedzi młody, dosyć przystojny austryacki żołnierz. Pali fajkę, na krótkim osadzoną cybuchu i błogo się uśmiecha. Śnać jemu dobrze w tej ciepłej i wesołej kuchni, podczas gdy na dworze tak brzydko, gdy wiatr dmie tak przenikliwie, a zimny deszcz lada chwilę lunąć może.... Mała sześciolatnia Liza bawi się jego szablą, u boku wiszącą, bawi się

świecącemi guzikami munduru wojaka. Widocznie, jak każda kobieta w żyłach której germańska krew płynie, Liza nie może zostawać nieczułą, na widok munduru i wszelkich żołnierskich atrybucyi. Lubi już bohaterów, choć sama jeszcze nie wie czem jest właściwie bohater.

Bohater, Franzem zwany, dawno już w domu Janusza codziennym jest gościem, dawno w nim despotycznie rządy w rękę schwyciwszy, kieruje słabą Gretchen i Liza. Dziecię na rozkaz matki darzy go tytułem wujaszka. Obie bardzo przywiązane do niego, bo żołnierz, wyjąwszy w dość częstych zresztą razach kiedy mu potrzeba pieniędzy, jest wesołym i miłym towarzyszem.

Tego dnia po obiedzie nastąpiła dość żywa sprzeczka. Franz według zwyczaju nigdy nie nasycony, uporczywie się domagał pieniędzy, bez których źle żołnierzowi na świecie, a jeśli ich nie ma, musi wzięść u przyjaciół. Gretchen opierała się z początku mówiąc, że sama bez grosza, ale Franz nie chciał jęj wierzyć. Gniewnie ją ofuknął i pogroził zupełnem zerwaniem przyjacielni. Na te słowa słabo się miękkiej Gretchen zrobiło i zdjęta strachem, przyrzekła spełnić wszystkie jego żądania, poczem od razu udobruchany żołnierz począł jęj najserdeczniej i najczuliej dziękować.

W tem się drzwi od ogrodu otwarły, a w progu stanął Janusz. Oslupiał na widok niespodziewanej sceny.

— Kto to jest? — groźnie zapytał.

— Tata! Tata! — zawołała Liza.

— To... to mój kuzyn — odparła mięszając się Gretchen i podbiegła do męża, aby go czule powitać.

Janusz ją odrzucił.

— Precz! — zawołał do Franza na drzwi wskazując.

Żołnierz dotknął ręką szabli... wahał się, spojrzał na Gretchen.

— Precz! — wrzasnął Janusz. — Precz z mojego domu.

Gretchen tego dłużej przenieść nie mogła.

— Jakto! — zawołała. — Nie pozwalasz mi, aby przyszedł swoją kuzynkę odwiedzić! Wypędzasz go?..

— Cicho! — krzyknął Janusz. — Precz! precz! — powtarzał zbliżywszy się do żołnierza.

Była to ostatnia iskra woli i energii, która się obudziła w tym człowieku przedwcześnie zniszczonym, starym i upadłym na duchu w tak krótkim przeciągu czasu.

Żołnierz dosyć gniewem Janusza zmięszany już się do odejścia zabierał, ale go Gretchen wstrzymała, prosząc aby pozostał.

— Milcz! — zawołał Janusz. — Ja tu rozkazuję!..

Ale Gretchen zdobyła się na resztę rozpaczliwej odwagi, widząc, że Franza haniebnie chciano z domu wypędzić. Zawołała:

— Ty nie masz prawa jego za drzwi wyrzucać, Januszu. Nie jesteś u siebie, ten dom do mnie należy! . . .

Janusz z podziwienia oniemiał. Rzekł po chwili:

— Taka twoja wdzięczność za moje debrodziejstwa?...  
A więc mnie ztąd wypędzasz?..

Gretchen złą nie była. Nie chciała się okazywać



okrutną, względem męża. Czuli dobrze; że wszystko co miała, jemu tylko winną była. Odparła łagodnie po chwili namysłu:

— Nie, Januszu... Proszę cię, zostań. To mój kuzyn Franz Niedlich. Boli mnie to, żeś go tak niegodnie powitał. Jesteś zawsze u siebie, dobrze wiesz o tem. Zostań, a wkrótce, mam tego nadzieję, zaprzyjaźnisz się z moim kuzynem.

Janusz zdawał się namyślać jak sobie postąpić. Płacz wystraszonej Lizy doszedł do jego uszu. Obejrzał się:

— Dla niej zostanę... Biedne dziecko! — i nie wyrzekłszy słowa skierował się do swego pokoju. — Zostanę dla Lizy — myślał — Nie zasłużyłem na lepszy los. Gretchen nie wie o Zofii, nie wie o Wiedniu . . . a gdyby się dowiedziała, jój gniew byłby może stuszniejszym od mego. . . O zasłużyłem na to, zasłużyłem. . . A może też moje podejrzenia niesłuszne?... może...

I Janusz starał się pocieszyć i wytłumaczyć swoją słabość przed sobą. Czuli dobrze w głębi, że nie był postąpił jak należało, że w oczach żony i Franza okazał haniebny brak woli i charakteru. Niespokojne sumienie wyrzucało mu co chwilę mierną, podłą jego słabość, ale już pierwszy krok był zrobiony, a ten zawsze bywa najtrudniejszym. Janusz począł pracować nad przytłumieniem dokuczającego sumienia, nad tem, aby sobie wszystko w jaśniejszych wystawić kolorach.

Tymczasem na dole uspakajano się powoli. Franz chciał już odejść, ale go Gretchen wstrzymała.

— Zostań — rzekła: — jak pójdziesz, gotów po-

myśleć, że się jego boisz. . . Zostań, on się uspokoi...  
on dobry i słaby.

I Liza przyłączyła się do matki:

— Zostań, wujaszku. . . Ja się taty boję. . .  
On taki straszny! . . .

Na tak usilne nalegania, uprzejmy żołnierz pozostał.

Gdy w parę godzin potem Janusz go jeszcze zastał w kuchni, znikł z jego twarzy niepokój, jak to przewidywała żona.

— Moje podejrzenia były niesłuszne — myślał patrząc na Franza; — z nas dwojga ja tylko winny...

— Mam nadzieję, że się już nie gniewasz? — rzekła Gretchen z uśmiechem, podchodząc do niego.

— Nie, moja Gretchen — odparł Janusz, całując ją w czoło i gdy ona ukradkiem tryumfująco na Franza spojrziała, nie oglądając się na nikogo, usiadł przy kominiarce w wygodnym fotelu i zapaliwszy cygaro w milczeniu wlepił oczy w ognisko.

Tak się zadumał, że nie zdawał się nawet widzieć i słyszeć tego, co się działo do koła, a dumy jego snąć wesołemi nie były, bo aż dreszcze brały, patrząc na twarz jego ponurą, wyniszczoną i straszną, na której grało kapryśne światło buchające z komina.

---



## ROZDZIAŁ XV.

Wkrótce po swoim powrocie, Janusz już nie mógł nie widzieć jakiego rodzaju porozumienie zachodziło pomiędzy żoną a Franzem; nie mógł także nie czuć jak jego własne położenie z każdym dniem stawało się więcej ohydny i nikczemny. Ale choć się niem martwił, chociaż w początkach ubolewał nad swoim losem, nie ruszał się z miejsca, nie starał się złemu zapobiedz, bo już mu nie dostawało energii; raz się poślizgnąwszy, nie powstał, a teraz już było za późno, nie miał sił ani woli. Myślał, że się przed sumieniem dostatecznie tłumaczył, gdy sobie całą przypisywał winę, gdy siebie źródłem złego nazywał, a to na co patrzył codziennie jako zasłużoną karę przyjmował. W początkach Franz jego unikał, czuł pewien wstyd, pewną obawę, ale powoli, ośmielony milczeniem nieszczęśliwego Janusza, począł się coraz częściej poja-

wiać w gościnnéj kuchni jego pięknej żony i coraz dłuższe spędzał godziny na wygrzewaniu się przed ogniem komina.

Dziwne było położenie Janusza. Codziennie niżej upadał, i z każdym dniem słabła jego konająca uczciwość. O opuszczeniu domu nigdy prawie nie myślał. Gdzieżby się obrócił, nie mając grosza w kieszeni?... Coby zrobić, aby sobie codzienną strawę zapewnić?... Tu przynajmniej miał ciepły kąt i głodu nie cierpiał, bo stosunkowo w domu panował jeszcze dostatek. Całe dni spędzał w kuchni przy ognisku, a w końcu doszło do tego, że z nudów nieraz z Franzem godzinami całemi gawędził; wkrótce upadł jeszcze niżej, bo gdy czasem żołnierz nie przyszedł o zwyczajnej godzinie, Janusz się niecierpliwił i tęsknił za jego towarzystwem. Gretchen zaś, jak zwykle w niczem nie zmieniała trybu życia. Po dawnemu doglądając swego gospodarstwa, uwijała się po domu, a z pięknej jéj twarzy już prawie nie znikał mdły uśmiech. Cieszyła się, że między mężem a żołnierzem najlepsza panowała komitywa. Czasem się tylko zżymała, gdy Franz natarczywie upominał się o pieniądze. Nie mając żadnego o religii wyobrażenia, nie zdawała sobie nawet sprawy z tego co się w; domu działo, a sumienie z którym się Janusz jeszcze pasował, pozostawiało ją w najzupełniejszym spokoju. Skoro mąż milczał nie miała się czem turbować.

Janusz prawie słowa nie mówił, gdy żołnierza w domu nie było. Nieruchomie siedział przy ogniu, i oczu od niego nie odrywał, a twarz wtedy miał tak ponurą, tak straszną, że nieraz Gretchen przecheździło mrowie, gdy czasem dłużej na nim swój wzrok zatrzymywała. Janusz zdawał się być z każdym dniem starszym, włosy już

miał zupełnie siwe, a twarz gęsto mu porały zmarszczki. Czasem sam z sobą rozmawiał, śmiał się lub płakał, a tak nieprzyjemnie, takim dziwnym głosem, że nieraz żona w zwątpieniu czy czasem nie postradał zmysłów, chroniła się z Lizą w najskrytszym kącie domu.

Niegdyś, nie tak jeszcze dawno, Janusz gorliwie wypełniał religijne obowiązki. Dziś już się wcale niepokazywał w kościele, a gdy go pewnego dnia przyszedł zacy, wiejaki prosił o odwiedzić, przyjął go bardzo niechętnie, jakby ze strachem i z prawdziwą radością do czekał się chwili, kiedy go mógł już pożegnać. Na świeże powietrze nawet nie wychodził. Z wstętem patrzył przez okno na огоłocone z liści drzewa uginające się pod ciśnieniem jesiennego wiatru, na ciężkie ołowiane chmury, wiszące na niebie i co prędzej oczy odwracał, aby je utkwiał w wesołe ognisko.

I już mu prawie zupełnie było dobrze. Grzejąc się przy ogniu oczekiwał na obiad, a przy stole myślał tylko o tem aby się co prędzej dostać do komina. Nadto miał z kim pogawędzić i na co popatrzeć, bo Gretchen zawsze piękną była a doszło do tego, że już żadnego do niej nie czuł żalu i z przyjemnością, oczy na nią zatrzymywał.

\* \* \*

Pewnego rana, w pierwszych dniach grudnia zjawił się w kuchni jakiś niemłody mężczyzna dosyć brudno odziany, a gdy mu Gretchen wskazała wschody prowadzące

do męża, ruszył spieszny krok na górę i uchylił drzwi do pokoju Janusza. Zastał w nim starca w brudnej obdartej odzieży.

— Kto tam? — zapytał starzec.

— Ja... Heinrich Glück. Chciałbym się widzieć z panem hrabią Madzickim.

Ja nim jestem, — odparł starzec i zwrócił się twarzą do gościa. — Czego pan żądasz?

Słowa zamarły w gardle pana Glück. Tak! to był Janusz, ten starzec w brudnym ubraniu! —

— Czego pan żądasz?

— Przyszedłem po pieniądze.

— Po jakie pieniądze?...

Heinrich Glück począł przypominać Januszowi, że mu jeszcze na wiosnę pożyczył sporą sumę pieniędzy, o które przyszedł się upomnieć wraz z procentami, gdyż termin na ich wypłatę już nadszedł, na co ma na piśmie dowody.

Janusz nagle sposepniał. Przypomnił sobie, że pan Glück miał zupełną słusność, bo kilka temu miesięcy pożyczył mu pieniądze na zakupienie kawałka ziemi. Ziemię darował Janusz żonie, a pieniądze pożyczył na swoje imię i nie miał z kąd ich oddać. Nie znał praw austriackich, ale domyślał się, że w razie nieuiszczenia się z długu czekało go więzienie... zimne, ciemne, wilgotne więzienie... Zadrzał. Już go nie niepokoiła myśl, że człowiek, który nie oddaje pieniędzy jest łotrem. Dawno się w nim zatarło co było wzniosłego. Dawno już zapomniiał co jest uczciwość. Bał się tylko oczeku-

jących go następstw. Trzeba było zwlekać aby zyskać na czasie.

— Panie Glück, — rzekł zdobywając się na uśmiech — przykro mi jest, że nie mogę w tej chwili zadość uczynić pańskiemu żądaniu, ale w tej chwili nie mam potrzebnych pieniędzy.

Pan Glück skrzywił się na te słowa.

— Pan wiesz, co pana za to czeka? — spytał dosyć ostro.

Wiem, kochany panie Glück, ale wiem także z kim mam do czynienia. Wiem, że pan Glück nie jest lichwiarzem, ale — miłym i uprzejmym człowiekiem, który doskonale interesu rozumie. — Tu Janusz wyciągnął rękę do Niemca, który ją bardzo niechętnie uściśnął. Janusz mówił dalej; — Pieniądzy nie mam w tej chwili, gdyż się pomyliłem w moich przewidywaniach. Majątki jakie mam na Podolu nie sprzedane, ale myślę, że wkrótce mój plenipotent zgodzi o cenę z targującym je kupcem. Najdalej za sześć miesięcy będę miał już tutaj pieniądze... — I Janusz spojrzawszy ukradkiem na Niemca, jakby chciał z jego twarzy wyczytać wrażenie, które na nim jego słowa wywarły. Wrażenie było dość przykre, bo pan Glück nie przestawał się krzywić.

— Nie!. — mruczał, — ja czekać nie mogę..,

Poczęto się targować. Janusz go zapewniał, że mu z procentem należną kwotę wypłaci, ale potrzebuje czasu dla napisania do kraju i przyspieszenia sprzedaży majątku.

Po długich targach Niemiec obiecał poczekać jeszcze przez dwa miesiące i odszedł. W kilka dni jednak potem, gdy się dowiedziano, że polski hrabia długu nie zapłacił drobnym kredytorowie poczęli się do drzwi jego dobijać i nie było dnia w którymby jeden z nich nie przyszedł się upominać o pięć, dziesięć, piętnaście albo i więcej guldenów. Janusz wszystkich zbywał obietnicami, i począł doprawdy przemyślać nad tem, żąd by dostać pieniędzy.

Pewnego dnia, gdy z Franzem siedział przy komi-  
nie, a Gretchen krzotała się po pokoju, zdobył się na  
odwagę i odezwał się do niej czułym głosem:

— Moją dobrą Gretchen...

— Co, Januszu!...

— Źle z nami, Gretchen.

— Dla czego, Januszu.

— Mamy długi, a co gorsza nie dają mi już wie-  
rzyście spokoju...

— Głupstwa, — rzekł Franz. — Kto zważa na  
takie dzieciństwa!...

— Oj nie głupstwa, — odparł Janusz. — Jeżeli  
nie zapłacę to mnie gotowi wziąć do więzienia.

Gretchen zaśmiała się mówiąc:

— O to się nie turbuję. Przecie jesteś bogatym...  
Masz w Rosyji ogromny majątek i jak ciebie pocisną,  
będziesz musiał zapłacić.

— W tem całe nieszczęście, że nie mam już tego  
majątku...

Gretchen z niedowierzaniem spojrzła na męża.

— Żartujesz, Januszu, — rzekła po chwili.

— Nie moja śliczna!... Wszystko straciłem, Nie mam grosza, a zostały długi.

— Nie wierzę temu, Januszu.

— Daję tobie najświętsze słowo honoru, — odparł z westchnieniem. Dawno biedak zapomniał, że już nie miał honoru. Począł żonie opowiadać ze wszelkimi szczegółami w jaki sposób go plenipotent oszukał.

Gretchen uwierzywszy mu w końcu, bardzo się zaprzyła i zawołała z pogardą ramionami ruszając: — Widzę, żeś do niczego!.. Radź sobie jak możesz!..

Nastąpiło milczenie, które po pewnym czasie Gretchen przerwała pytaniem:

— Dla czego mnie nigdy o tem nie mówiłeś, Januszu?

— Nie miałem z czem się chwalić, moja śliczna królowo, — odparł mąż bardzo nieśmiało.

— To było z twojej strony niegodne, Januszu? ... A ja nawet nie podejrzewałam naszego nieszczęścia! Myślałam, żeś był bogatym, a kiedyś narzekał czasem na brak pieniędzy, byłam przekonana, żeś się z wiekiem zrobił sknerą. Cieszyłam się na myśl, że zbierasz skarby, liczyłam na nie... Ty grosza nie miałeś tymczasem!.. Wisząc beczynnianie na łasce biednej kobiety, oszukiwałeś ją najniegodniej!..

I Gretchen poczęła się łzami zalewać.

Znowu nastąpiło milczenie.., Janusz zebrał ostatki sił i odezwał się w końcu, nie śmiejąc podnieść oczu:

— Moja Gretchen... moja droga pieśczołko.. ty jedna mnie możesz uratować z nieszczęścia.

A to jakim sposobem? — kwaśno zapytała żona.

— Ty jesteś bogatą... Długów nie wiele. Można by ziemię sprzedać... Zawsze nam dom i ogród zostaną.

— A! To pięknie! — gniewnie zawołała żona. — Narobiłeś długów, a teraz chciałbyś mnie wykierować na żebraczkę!... Ładnie dbasz o żonę! A z dzieckiem co będzie?...

Cóż ja poradzę, — tłumaczył się Janusz drżącym głosem. — Jeśli nie znajdę pieniędzy....

— To pójdziesz do kozy, — przerwała Gretchen. — Ja nie na to poradzić nie mogę. Musisz za swoje głupstwa odpokutować. Lepiej, żebyś ty jeden przecierpiał, niż my wszyscy razem.

Janusz się rozplakał; nastaly nowe prośby i zaklania. Ale Gretchen nic słyszeć nie chciała. Była nieczułą wtedy nawet, gdy zrozpaczony Janusz przed nią na kolana upadłszy, z załamanemi rękami błagał ją aby go nie gubiła.

— Nie! nie! tego nie zrobię! — powtarza Gretchen, przestawiając rondle przy ogniu. — Sam mi potem za to podziękujesz. Więzienie nie jest wcale tak straszne, jak się tobie wydaje. Przesiedzisz czas jakiś, a w końcu ciebie wypuszczą.

Wtedy nastąpiła ohydna scena. Janusz zwrócił się do Franza i przed nim się na kolanach tarzając, jął go zaklinać, aby się za nim wstawił do Gretchen, zapewniając go, że ona mu nic nie potrafi odmówić.

Ale Franz tylko się roześmiał. Czemuż miał zostać adwokatem Janusza? Byłby tylko mówił przeciwko swoim własnym interesom. Z pewnością mu nigdzie nie będzie tak dobrze jak w domu Gretchen, a ona raz z ma-



jątku wyzuta już żadnej wartości nie będzie miała dla niego.

Janusz płakał i prosił. Zniecierpliwiony w końcu żołnierz rzekł do niego:

— Nudzisz nas wszystkich. Patrz jak twoja żona zagniewana na ciebie. My tobie nic nie możemy poradzić. Ona ma zupełną szłusność, że się nie chce do twojej prośby nakłonić; bo by tem siebie i biedną Lizę wy kierowała na żebraczki ... Prawda Lizo, że ty nie chcesz być żebraczką?

Sliczna dziewczeczka wesoło na żołnierza spojrzawszy kiwnęła główką, wołając:

— Nie! ... nie! ...

— A tata chce abyś była żebraczką! — mówił śmiejąc się Franz, zadowolony ze swego dowcipu.

Liza ze strachem i wstrętem spójrzała na ojca, który zawsze jeszcze klęcząc załamywał ręce i szlochał. Rzeczywiście był strasznym. Po zwiędłej, konwulsyjnie wykrzywionej twarzy spływały łzy zwolna. Włosy i brodę miał długie, brudne, rozczochrane ... Trząsał się i rzucał na boki, a z piersi mu się wydzierały nieludzkie jakieś jęki.

Chwilę jakąś trwało milczenie, które Franz przerwał zawoławszy tryumfująco:

— Mam już sposób ominięcia wszelkich nieprzyjemności. Sposób to stary, prosty, ale zawsze dobry.

— Mów! mów! jęknął Janusz.

— Uciekaj ztąd póki czas, — odparł żołnierz.

Janusz zgłupiał ... Wytrzeszczył oczy ... Po długim czasie spójrział zwolna dokoła ...

Z rondłów lekko się unosiła pachnąca para, sma-

czny zapowiadająca obiad. Na kominie buchał i trzaskał wesoły ogień a przy nim stał wygodny, miękki, sprężysty fotel. Po pokoju uwijała się Gretchen zawsze piękna i świeża . . .

Miałby to wszystko porzucić? . . . Nie, on by tego nigdy nie zrobił! . . . Nie miałby odwagi . . .

— No, cóż? Decydujesz się? — zapytał Franz, ..

— Nie! Nie! — zawołał Janusz żywo głową ruszając.

— Wolisz więzienie?

— Nie! Nie! — powtarzał Janusz jak uparte dziecko.

— Trzeba się decydować. Musisz wybrać jedno z dwojga . . . Więzienie, albo ucieczka, a zatem swoboda, to jest rzecz najpiękniejsza na tym świecie. Granica niedaleko. My tu zostaniemy i pomyślimy nad tem, aby na czas jakiś przynajmniej twoich kredytorów oddalić. Powiemy żeś po pieniądze pojechał.

Janusz wahał się jeszcze. Żał mu było nagle porzucić to życie wygodne, do którego już nawykł, bez którego nie mógł by się już obejść. Nie! On nie mógł się zdecydować na ucieczkę.

— Patrzaj, Gretchen, jaki on śmieszny! — mówił Franz z szyderstwem. — Woli siedzieć w zamknięciu przez długie lata, zamiast w ucieczce szukać wolności. Woli celę ciemną, zimną, wilgotną, z zakratowanym oknem, przez które słońce nigdy nie zaziera . . .

— On się namysli, — mówiła Gretchen łagodnie.

— Nie! On się już namyslił, — odparł śmiejąc się żołnierz. — Zostanie tutaj, a wtedy przyjdą po niego uzbrojeni żandarmi, bo żaden w domu karabina, pistoletów

i pałasza nie zapomni, a wtedy .. bywaj zdrów, panie Januszu! .. Już go pociągną! ...

— Nie! Nie — zawołał trzęsąc się Janusz. — Nie! nie! ... Ucieknę .. dziś ... zaraz ... — ale po chwili, jakby coś sobie przypomniał, rzekł smutnie głowę zwieszszy:

— Nie! nie! nie!

— A to co nowego! zawołał Franz, — Raz mówisz tak, drugi raz — nie. Sam nie wiesz czego chcesz.

— Gdzież ja się obrócę? ... Nie mam grosza przy sobie ... A trzeba jeść, trzeba pić .. pić, pić koniecznie.

No! znajdę może co na drogę, — odezwała się żona. — Będziesz miał pieniądze.

— Tak .. bez pieniędzy wyruszyć nie możesz, bo byś nawet się do granicy niedostał, — mówił Franz, — a w takim razie lepiej się z domu nie ruszać i spokojnie na żandarmów oczekiwać. — Twoja żona nie ma wiele, trzeba jój będzie dopomóc. — To mówiąc żołnierz wsunął rękę do kieszeni i dodał śmiejąc się: — Jak ezuję w kieszeni pieniądze, to wtedy zupełnie inny ze mnie człowiek. I dobre serce się znajdzie i litość i hojność. Masz, Januszu; te pieniądze przysłała mi matka. Szanuj je i marnie nie wyrzucaj. — I wsunął Januszowi parę guilderów do ręki.

I Franz i Gretchen dbali o to, by Janusz ucieczką się od kredytorów ratował. Przynajmniej by potem nie mieli nieprzyjemności z policją i tych wszystkich zawsze niemiłych formalności w domu, kiedy idzie o aresztowanie kogo. Starali się zatem jak mogli, aby się Janusz prędko decydował i, bez uprzedniej narady, jakby w znowie

## ROZDZIAŁ XVI.

Minęło wiele, bardzo wiele czasu...

Cały Paryż śpi jeszcze. Promienie słoneczne dotąd nie przedarły mglistej powłoki unoszącej się nad tem ogromnem miastem.

Na ulicach gdzie niegdzie, błakają się jacyś ludzie wyrobnicy zdążający do fabryk, kucharki na targ spieszące, gałganiarze w łachmanach szukający łachmanów. Czasem przejedzie jakaś dorożka, czasem zaturkocze nawet piękny powóz odwożący do domu jaką wesołą parę, która noc całą spędziła na rozpustnej zabawie w jakiejś modnej i wykwintnej kawiarni. ..

Ale w porównaniu do Paryża żyjącego, ruszającego się w ciągu dnia, albo wieczorem, poranny Paryż śpi jeszcze snem martwym, a cisza w nim panuje grobowa.

Po chodniku *boulevard des Italiens* idzie dwóch gałganiarzy. Obaj mają białe już włosy, obaj odziani w łachmany brudne, odrażające. Idą, wolnym krokiem,

zatrzymują się często, gdy który z nich spostrzeże na ziemi coś godnego zamieszkania w koszu, zawieszonym u niego na plecach.

— Podły Paryż! — mruczy jeden z nich. — Coraz mniej śmiecia! Zamiatają, polewają, czyszczą... Doprawdy, że z czasem uczciwy człowiek nie będzie miał żadnego zarobku... To doprawdy szkoda!... Piękny to fach chociaż trudny, bo wymaga znajomości rzeczy i wprawy.

— No! Zapewne, ojczyźnie Rigot, — odpowiedział drugi gałganiarz, — ale co do mnie... wolałbym stać na czele jakiego banku, albo towarzystwa na akcyach... To więcej przynosi, a przytem... tam czystsze gałgany.

— Zachciało się!... Nie darmo wymagasz abyśmy ciebie *le Comte* nazywali, — mówił, śmiejąc się stary Rigot. — Nie bądź jednak dumnym i przyznaj, żeś tylko z amatorstwa świat dla gałganów porzucił.

— Nie tyle mnie amatorstwo, ile potrzeba do tego zmusiła. Nie wiesz może, że kiedyś byłem bogatym, miałem piękną żonę, a o moją przyjaźń szturmem się dobijano w najświetniejszych salonach.

Stary Rigot roześmiał się na całe gardło:

— Opowiadaj to innym, drogi hrabio! — zawołał. — A jak znajdziesz głupca, który tobie uwierzy, to maie o tem daj znać, abyśmy razem jego zdrowie wypić mogli.

— Ja nie kłamię, Rigot. Co mówię nie zmyślam, jak inni moi dobrzy znajomi....

— To do mnie?...

— Jeżeli się tobie podoba, — Odparł „hrabia“.

— Za cóż mnie o kłamstwo posądzać, gdy wam tylko chcę opowiadać o moich czynach chwalebnych na

polu miłości. Mam szalone szczęście, hrabio. Ot! Wczoraj jeszcze... Spotkałem śliczną, wystrojoną damę... Wyglądała jak oukierok .. jak kieliszek koniaku. Powiadam tobie... Wróżka! Jechała powozem, wychyliła się przez okno i spojrzawszy na mnie znacząco, uśmiechnęła się w sposób czarujący.

— Nie zaprosiła ciebie do powozu?

— Nie miałem czasu... Ale obraz jój zawsze w mojem sercu zostanie! — odparł Rigot patetycznie.

— A co na to powie *la mère Coqueluche*?

Stary Rigot z niecierpliwością machnął ręką.

— Niech ją, licha porwie! Nudzi mnie stara! Wiesz co, hrabio?... Odstąpię ją tobie bez żadnego wynagrodzenia... Pomiędzy nami rozwody nietrudne...

Obaj głośno śmiać się poczęli.

Nagle, tuż przy nich otwarły się drzwi jednej z wspólniejszych paryskich kawiarni, a w nich się ukazał stary, czerwony, pękaty mężczyzna. Prowadził jakąś damę, która przy nim w progu stanęła. Oglądnał się na wszystkie strony i spostrzegłszy gałganiarzy; rzekł do nich łamaną francuszczyzną.

— Moi dobrzy ludzie... Czybyście nie chcieli nam powozu sprowadzić?

Za pieniądze wszystko miłe, nawet rogi na głowie, — zawołał śmiejąc się stary Rigot i nie tracąc czasu pobiegł ulicą.

Towarzysz jego został na chodniku i jął się ciekawie staremu jegomości przypatrywać.

— Gdzieś ja tę twarz widziałem, — mruczał co chwilę.

Stary mężczyzna nosił dosyć wybitny typ żydowski na twarzy. Wargi miał grube, zmysłowe, nos trochę zwieszony, a wejrzenie nieprzyjemne, nieszczerze, jakby jadowite. Towarzysząca mu dama była uderzającej piękności. Nie mogła mieć więcej nad lat szesnaście, albo siedemnaście. Była nieco blada i zdawała się zmęczoną po nocy bezsennej na hulance spędzonej. Nie musiała to być jej pierwsza zabawa, bo cały jej układ, jej strój i postawa, jej uśmiech wyuczony, jej oczy szeroko i wyzywająco rozwarłe, zdradzały osobę wytrawną w sztuce zastawiania siatek na serca i kieszenie upatrzonych ofiar.

Nieznajomi mówili po niemiecku, głośno, bez żadnej obawy, aby ich stojący w pobliżu gałganiarz zrozumiał. Zdawali się go nawet nie widzieć. Tymczasem „hrabia“ nie spuszczał z oka grubego mężczyzny i widocznie się męczył, aby coś sobie przypomnieć.

— No, moja kochana, — mówił Niemiec. — Zdaje mi się, że już Paryż poznałaś i że masz go już po uszy.

— O! Jeszcze nie, — odparła jego towarzyszka.

Gałganiarz zwrócił się i spojrzął na nią badawczo.. Zadrzał.

— Co? Chcesz jeszcze tu siedzieć?... Nie ma jak Wiedeń, moja kochana. Tam zabawy, ale ze swoimi przynajmniej... Tutaj nikogo zrozumieć nie można, a nikt też nas nie rozumie.

— Jabym tu na zawsze została.

— Dziwne podobieństwo, — mruczał gałganiarz nie spuszczać z niej oka.

— O! To by się nie godziło. Byłabyś wyrodną

córką, Wiednia, gdzie w parę tygodni sławną zostałaś. Tam ciebie zna i kocha każdy, a tu nikt. Cobys z sobą zrobiła, gdybys mnie chciała opuścić, bo ja tu już dłużej siedzieć nie mogę. Mam interesa. Wyrwałem się z Wiednia na parę tygodni, aby tobie Paryż pokazać. Zawsze o nim marzyłaś. Poznałaś go, a teraz wracać możemy. Już nie mówię o tem jakiby mnie wstyd spotkał za moim powrotem, bo każdy by zaraz wiedział, że Ferdynand Nagel powrócił bez ciebie.

— Tak! To on! Poznałem go, — pomyślał gąganiarz.

— Każdy by mnie tylko wyśmiewał, a jabym tego przenieść nie umiał, bo Ferdynand Nagel bogaty, bo ma wiele złota, a nikt nie śmiał go dotąd dobrowolnie porzucić. Ale o tem nie mówmy. Mówmy raczej o tobie. Cobys zrobiła opuszczona, bez opieki i pieniędzy na bruku paryzkim?...

— Jużbym dała sobie radę.

— Zrobiłabyś to samo co i twoja matka. Sama mnie o niej opowiadałaś. Zmarniała, choć była jeszcze piękną, a zgubiło ją głupie przywiązanie do jakiegoś żołnierza i gdzieś pod koszarami najędniej skończyła. Ja się obawiam, aby ciebie nie spotkało to samo. Masz po matce niemiecką krew w żyłach, łatwo się przeto możesz zakochać, a miłość zupełnie niepotrzebna jeżeli się chce dojść do jakiejś pozycyi.

— Jabym się miała zakochać? — zawołała śmiejąc się dziewczyna. — Chyba mnie nie znasz moja gruba bombo!



— Oto powóz! — zawołał nadbiegając zasapany Rigot.

— Masz za fatygę! — rzekł Niemiec, rzucając mu srebrną monetę.

Rigot skłonił się uprzejmie.

— No! Namyśl się, — mówił Nagel siadając do powozu. — Uprzedzam cię, że Francuzi więcej na dowcip i wymowność, niż na piękność zważają. Ty słowa po francuzku nie mówisz. Namyśl się.. Jedź ze mną, albo zostań na bruku, Lizo!

Dziewczyna wskoczyła do powozu, który zaraz odjechał.

— Liza! Liza! — jęknął „hrabia — gałganiarz,“ a raczej Janusz Madzicki. — Podobna, ale piękniejsza od matki.

— Albo ta Westalka! — zawołał wesoło stary Rigot. — Czy uważałaś jakie mnie tajemnicze przez okno znaki dawała? Ja myślę, że mi się z nią, uda zawiązać intrygę nielada.

— To moja córka, — głucho rzekł Janusz.

Rigot parsknął śmiechem.

— Tego tylko brakowało! — mruknął jego towarzysz.

— No! Idziesz czy nie? — zapytał Rigot.

— Et!... Przynajmniej ma co jeść... Szczęśliwsza odemnie... — pomyślał Janusz i, wzięwszy kolegę pod ramię, zawołał z wymuszoną wesołością.

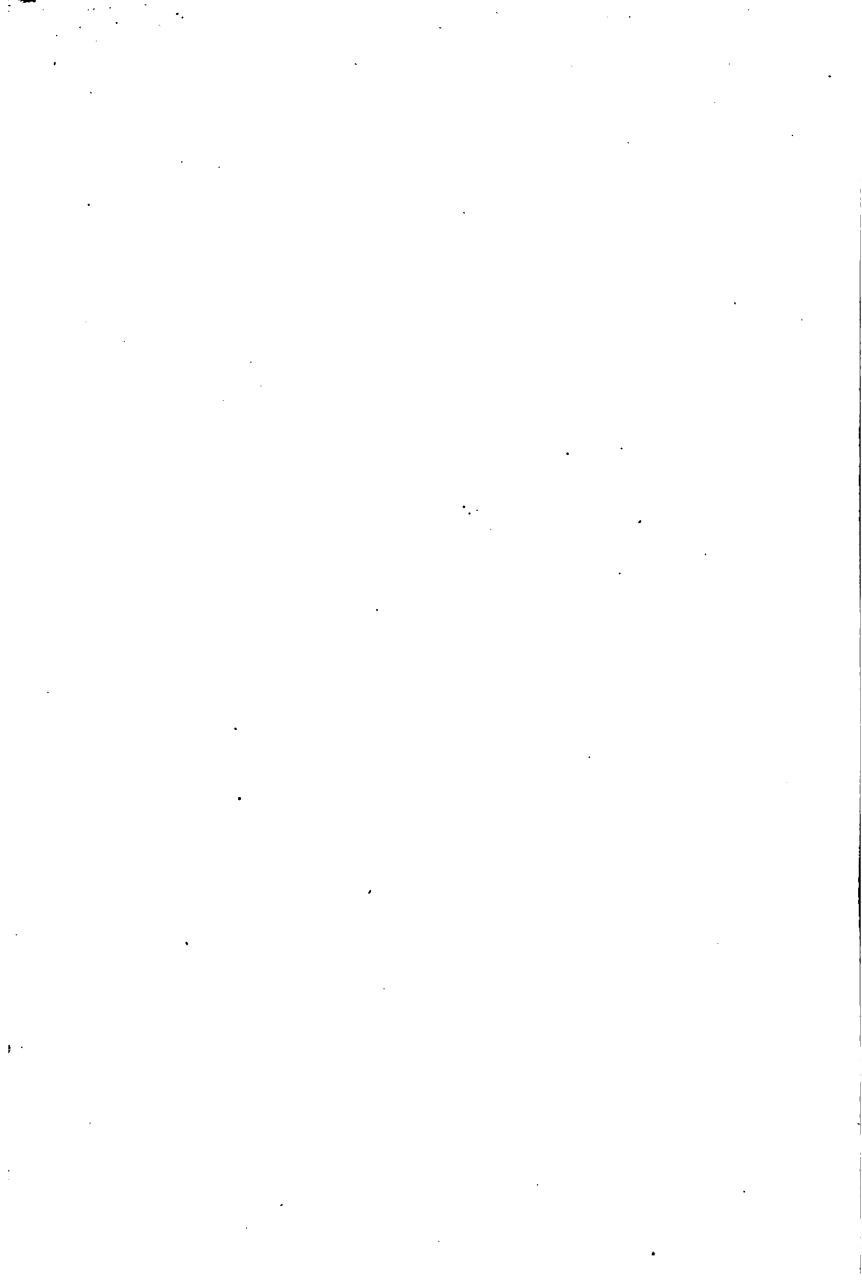
— Wiesz co, stary?... Dostyc na dzisiaj roboty . . .  
Chodźmy się gdzie bawić.. Ja funduję, a ty zapłacisz.

— Zgoda, hrabio, skoro mam kapitały.

I spiesznym krokiem poszli szukać szynku.

KONIEC.





Niektóre nakłady księgarni  
**N. Kamińskiego i Spółki**  
 w Poznaniu:

	Mrk.
<i>Beecher Stowe</i> , <i>Kajdany z Ilii i róż.</i> . . . . .	2,00
<i>Biblioteka Powszechna:</i>	
1) T. T. Jez: „Koleje życia” . . . . .	1,20 mrk.
2) P. Gyulai: „Pamiętniki komedyanta” . . . . .	0,80
3) I. Turgieniew: „Wielki Lyr Stepa” . . . . .	1,20 ”
4) M. Jokai: „Dwurożny człowiek” . . . . .	1,00 ”
<i>Łoziński W.</i> <i>Historja siwego włosa</i> (zam. 3 m.)	2,00
<i>Marrené-Morzkowska</i> , <i>Róża studjum małżeńskie</i> (zamiast 4 m.) . . . . .	2,00
<i>Milkowski Zygmunt</i> , <i>Sprawa ruska</i> . . . . .	1,00
<i>Sokolowski Dr. Konrad</i> , „księżę na Mazowszu” . . . . .	1,00
<i>Skorski Aleksander</i> <i>Filozofia Jana Śniadeckiego</i> . . . . .	1,00
<i>Wobyński Dr.</i> <i>Kopernik w Italii czyli dokumenta</i> <i>italskie do Monografii Kopernika</i> . . . . .	6,00
<i>Wobyński Dr.</i> <i>Część druga</i> . . . . .	3,00
<i>Zatheya Hugona</i> , <i>Uwagi nad Panem Tadeuszem</i> <i>Adama Mickiewicza</i> . . . . .	2,00

POD PRASĄ:

- M. Jokai: „Włosek kobiety”.  
 E. W. Pierce: „Na obu półkulach” tom II.  
 E. Verteszy: „Szkoła nędzy”.

Nakładem księgarni N. KAMIENSKIEGO I SP. w Poznaniu (Bazar) wychodzi od 1 października 1878 r.

## Tygodnik Powieści,

co tydzień 1—1½ wielkiego arkusza. Cena wynosi w Cesarstwie Niemieckim 2 mrk. kwartałnie. W Austrii 1 zlr. 25 ct. W Cesarstwie rosyjskim 75 kop. Przedpłatę przyjmują wszystkie księgarnie i urzędy pocztowe.

Tygodnik Powieści jest bez zaprzeczenia najtańszym i najobfitszym z wszystkich powieściowych Tygodników i daje rocznie mniej więcej

### 12—15 tomów zwykłych formatów książek.

W wysłanych numerach zamieszczono T. T. Jeź „Koleje życia”. Bret Harte: „Waryat” (z angielskiego). „Jakób de Trévannés” (z francuzkiego). P. A. de Alarcon: „Klarnet” (z hiszpańskiego). Maryan: „Entuzysta”. M. Jokai „Dwurożny człowiek” (z węgierskiego). Gyulai „Pamiętniki komedyanta”. Obecnie drukują się:

E. W. Pierce „Na obu półkulach” (z angielskiego), jeden z najznakomitszych utworów obecnego powieściopisarstwa angielskiego.

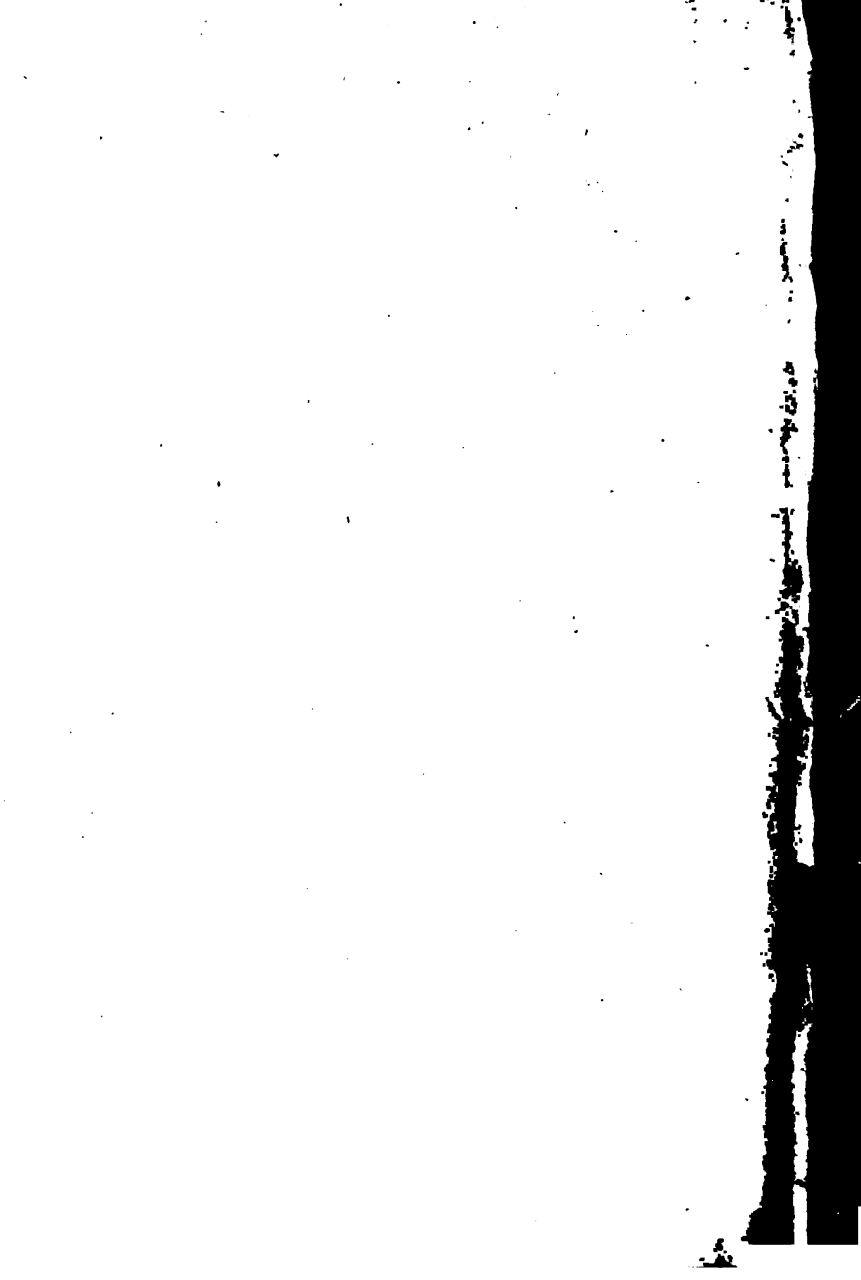
A. Stahl: „Czarowna wyspa” (z niemieckiego).

E. Verteszy: „Szkoła nędzy” (z węgierskiego).

W przygotowaniu są, i następnie drukowane będą: Turgeniew: „Nieszczęśliwa”. Bjornsterne-Bjornson „Córka rybaka”. A. Mancini „Papiery rodzinne”. Vacano „Obraz” (z niemieckiego). M. Jokai: „Włosek kobiety”.

N. KAMIENSKI I SP.







Stanford University Libraries



3 6105 011 690 562

PG  
7158  
236N

**Stanford University Libraries  
Stanford, California**

**Return this book on or before date due.**

--	--	--

